



ROK XIII NR 5-6 (566-567) LONDYN, MAJ-CZERWIEC 1958 R. CENA 3/-

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

FUNDUSZ ŻYCIA • JAN TOKARSKI — ŚW. STANISŁAW I PAPIESTWO •
SEWERYN LESZCZYC GRABIANKA — STUDIUM EWANGELII • HENDRIK
BRUGMANS — ROZWAŻANIA O HISTORII EUROPEJSKIEJ • TADEUSZ FELSZTYN
POCHODZENIE I PRZEZNACZENIE CZŁOWIEKA • JAN RADOMYSKI — NOWY
CZY STARY KC? • JAMINA TOKARSKA — MEDAL MA DWIE STRONY
ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ I MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ — NOTY O
TWÓRCZOŚCI MŁODYCH POETÓW KRAJOWYCH: ZAKOŃCZENIE • BOGUMIŁ
ANDRZEJEWSKI — WERSZE • EWA GIERATOWA — NA BIAŁO • PAMIĘCI
STANISŁAWA WESTFALA • IRENA HUML — WITRAŻE



**PRYMAS POLSKI NA TRZECIM ROKU
WIELKIEJ NOWENNY NARODU**

...Podjęliśmy zobowiązania przyjęte przed trzydziestu laty, uczyniliśmy je własnością całego Kościoła świętego w Polsce, dostosowaliśmy je do potrzeb współczesnych i pragniemy, aby przygotowały nas na Wielką Rocznicę Chrztu świętego Polski. Zaczęliśmy od przyrzeczenia wierności Bogu-Ojcu, Krzyżowi i Ewangelii Chrystusowej, Kościołowi i jego pasterzom. Pogłębiłszy nasze dążenia, głosząc wierność łasce uświęcającej. Dziś chcemy pójść wielkim krokiem w głąb naszego życia osobistego i społecznego, powiązać nasze życie w łasce uświęcającej z czujną opieką nad każdym życiem, własnym czy bliźnich, zwłaszcza nad życiem nienarodzonych, niemowląt i maluczkich, bezbronnych...

...By głębiej powiązać naszą żywą więź z życiem codziennym, postanowiliśmy pracować w trzecim roku Wielkiej Nowenny pod zawołaniem: obrona życia

łaski w duszy i życia ciała. Czynić to będziemy w całej Polsce, we wszystkich diecezjach, w każdej parafii i w naszej parafii...

...Podobnie jak istnieje Święta Matka Kościół, tak też istnieje i „Święta Matka parafia“.

Tak mało o tym myślimy. A jednak, tak jest. Parafia jest komórką życiową Kościoła Powszechnego; jest w niej to samo życie Boże, co w Kościele Powszechnym. Dzieje się w niej to wszystko, co się dzieje w całym Kościele.

Parafia jest święta, gdyż wyrasta z łona świętego Kościoła. W jej członkach żyje po trzykroć święty: Jezus Chrystus. To On — przez biskupa i duszpasterza naszego — chrzci nas, naucza, żywi, omywa z grzechów, jednoczy z Ojcem i z braćmi, nieustannie uczy Prawdy Bożej, obdziela swym Ciałem Eucharystycznym.

Urząd kapłański, którym posługuje się Chrystus, jest sam w sobie święty, wszystkie jego czynności są święte, cała ich treść jest uświęcająca. Celem tych działań jest rodzić świętość w nas.

Wszystko, co się dzieje nadprzyrodzonego w parafii, jest święte...

...Jedność, nad zachowaniem której czuwa Ojciec św., biskup i duszpasterz parafialny, musimy w szczególny sposób pielęgnować w naszej rodzinie parafialnej...

...Jeśli więc miłuję ludzi — miłuję samego Chrystusa w nich, jeśli pomagam im — wspieram Chrystusa, jeśli godzę w ich życie — zadaję śmierć Chrystusowi, jeśli ich nienawidzę, to pozbawiam Chrystusa miłości.

Chociaż ta duchowa wspólnota zespała mnie z całym Kościołem Powszechnym, to jednak czynami swoimi jednoczę się przede wszystkim z najbliższym otoczeniem, z rodziną domową, z sąsiedztwem, z ludźmi pracującymi w tym samym zawodzie, miejscu czy warsztacie pracy, z rodziną parafialną...

...Właśnie dlatego, by tę jedność umocnić, otwieramy serca i usta nasze, aby jeszcze powtórzyć słowa Słubów Jasnogórskich: — Przyrzekamy strzec w każdej duszy polskiej daru łaski, jako Źródła Bożego Życia. Pragniemy, aby każdy z nas żył w łasce uświęcającej i był świątynią Boga... Pragniemy stanąć na straży wszelkiego życia: duszy i ciała. Dar życia uważać będziemy za największą Łaskę Ojca Wszelkiego Życia... Pracować będziemy usilnie nad tym, aby w naszej parafii Miłość Boża jednoczyła wszystkie dzieci „Świętej Matki parafii“ i w modlitwie i w pracy dnia każdego...

...W dzisiejszych czasach trzeba wyraźnie widzieć wielkość człowieczeństwa w Bogu Wcielonym, który ratuje nasze człowieczeństwo, żywiąc je swym Ciałem Eucharystycznym. Właśnie dlatego przyzywamy na pomoc — w Trzecim Roku Wielkiej Nowenny — Chrystusa Eucharystycznego.

Będziemy w sobie pielęgnowali życie eucharystyczne. Odnowimy praktykę Komunii pierwszoplanowej, w duchu zadośćuczynienia Bogu - Człowiekowi za wszystkie gwałty, zadane życiu duszy i życiu ciała. Będziemy przepraszać Chrystusa, mieszkającego w naszej świątyni parafialnej, za wszystkie zgorznięcia dawane dzieciom.

Będziemy czynili zadość Ojcu życia za zmiarnowany dar życia, za pogwałce-

nie prawa maluczkich do życia. Będziemy modlić się za braci naszych, którzy tak nierozważnie niszczą fundamenty moralności chrześcijańskiej, niepomni tego, że gdy dziś zaniknie szacunek dla życia nienarodzonych, to jutro zabraknie sił do obrony życia chodzących po ziemi.

Zwłaszcza małżonkowie chrześcijańscy niech szukają w Eucharystii siły do dochowania wierności swym obowiązkom rodzinnym; niechaj wystrzegają się moralnej samowoli i łatwizny życiowej, niechaj uczą się w szkole Chrystusowej godnego opanowywania swych popędów naturalnych i złych skłonności, gdyż dla człowieka wierzchołkiem jest to jeszcze łatwiejsze, niż wszystkie udreki wyzwolonego z etyki życia małżeńskiego. Małżeństwo bez ducha ofiary i wyrzeczenia się siebie jest prawdziwym piekłem; natomiast wierne przykazaniom Bożym życie małżeńskie jest błogosławionym zwycięstwem nad sobą, któremu człowiek zawdzięcza prawdziwą godność, wzajemny szacunek małżonków i rzetelny postęp moralny...

...Jest moją pasterską wolą, którą przekazuję gorliwym sercom moich najbliższych Współpracowników i Zastępców, duszpasterzy parafialnych, aby odąd w każdą sobotę — zwłaszcza w świątyniach miast, miasteczek i wsi kościelnych — odpawali wieczorem nabożeństwo ku uczczeniu Królowej Polski, Maryi Jasnogórskiej, która jest nam dana do nieustannej obrony narodu naszego (modlitwa z 26. VIII.). U Matki Boga Człowieka wyprosimy wierność łasce uświęcającej dla całej parafii, wysoką godność i uczciwość życia małżonków, skromność młodzieży, czystość i radość serc działwy, poszanowanie praw nienarodzonych...

★

Z ODEZWY OPIEKUNA EMIGRACJI

„...Gorącym pragnieniem moim jest, abyśmy, Polacy na Emigracji, spotęgowali swój udział w tej Wielkiej Nowennie Narodu naszego. Smucę się szczerze pewnymi niechętnymi głosami, wysuwającymi argument, jakobyśmy żyli w zupełnie innych od braci naszych w Kraju warunkach. Istotnie, znajdujemy się w innym, lecz w o wiele lepszym położeniu, a to nas obowiązuje do jeszcze większej dla nich miłości.

Jako Opiekun Emigracji, ustanowiony przez Ojca Świętego, mogę Wam, Kochani Bracia, sumiennie poświadczyc, że zachowaliście dotąd podziwu godną wierność Bogu, Jego Zastępcy na ziemi i czci godnemu Narodowi naszemu...

Już w 1939 r. poświęciło się Wojsko nasze wraz z Naczelnym Wodzem Najświętszemu Sercu Jezusowemu. W Anglii i Szkocji wznosiliście liczne kaplice ku czci Matki Bożej. Troskę o godne przybytki Najwyższego uważaliście za swój szczególnie obowiązek. Pamiętam tę eskadzę lotników, która zapowiedziała strajk w nalotach, gdyby nie otrzymała kościoła na lotnisku, i osiągnęła swój cel.

Czyż mam przypomnieć tę wspaniałą procesję Bożego Ciała, pierwszą po 400 latach, którąśmy w Perth mimo tylu trudności uroczyście przeprowadzili? Wspomnieć o tych cyklach rekolekcji, które tylu oficerów naszych w Szkocji przeszło?

Wzruszony byłem prośbą spadochroniarzy, by mogli na niebezpieczną wyprawę do Kraju zabrać ze sobą Jezusa Eu-

SPIS TREŚCI

| | |
|---|--------|
| Sprawy i ludzie | str. 2 |
| FUNDUSZ ŻYCIA | 3 |
| CZY SW. STANISŁAW ZOSTAŁ ŚWIĘTYM ZA OPÓR PAPIE- ZOWI — J. Tokarski | 5 |
| SŁOWA BOŻEGO UCZMY SIĘ NA PAMIĘĆ — S. Leszczy- Grabianka | 9 |
| ROZWAŻANIA O HISTORII EU- ROPEJSKIEJ — Hendrik Brug- mans | 11 |
| NIEMCY NA ZAKRĘCIE — St. Czechanowski | 13 |
| Nasze sprawy: ŚWIATOPOGLĄD LUDZI SAMOTNYCH — Polo- nus | 14 |
| POCHODZENIE I PRZEZNACZE- NIE CZŁOWIEKA — T. Felsz- tyn | 15 |
| NOWY CZY STARY KC? — Jan Radomyski | 18 |
| MEDAL MA DWIE STRONY — J. Tokarska | 19 |
| DOTRZYMANE ŚLUBOWANIE — T. Ziarski | 20 |
| NOTY O TWÓRCZOŚCI MŁO- DYCH POETÓW KRAJOWYCH — ZAKOŃCZENIE — Z. Ławry- nowicz i M. Paszkiewicz | 21 |
| WIERSZE — B. Andrzejewski | 23 |
| NA BIAŁO — E. Gieratowa | 25 |
| Po lepkach: NASZ EKSPORT KULTURALNY — J. B. | 27 |
| NOTATKI — J. B. | 28 |
| „MILCZENIE“ — J. B. | 30 |
| WZIĘLI SIĘ SZKOCI NA SPO- SÓB — J. R. Lambor | 31 |
| W WENECEJI — A. Milker | 32 |
| WSPOMNIENIE O STANISŁAWIE WESTFALU — S. G. | 34 |
| WITRAŻE KOŚCIELNE DOBRZAŃSKIEGO — I. Huml | 35 |
| BOHUSZ-SZYSZKO W GALERII GRABOWSKIEGO — J. Pięń- kowski | 36 |
| Listy i uwagi: M. Giertych; M. M.; J. B.; Irena Dalgiewicz; KOMU- NIŚCI SIĘ CIESZA | 38 |

charystycznego, którym się wzmocnić pragnęli, gdyby wpadli w ręce nieprzyjaciela. Inni zabierali ze sobą truciznę, Polacy natomiast Pana Żywota...

A cóż powiem o duchu tych niezliczonych wygnańców w Rosji sowieckiej, którzy łączyli miłość Bożą z miłością Ojczyzny? Czulem się wśród Was, jak wśród armii wyzwalców. Ani jednego wśród Was nie było zdrajcy. Od granic Turkmieni do granic Chin — jedna wielka, święta Komunia generalna — jeden ogromny zespół Caritasu dbały o dzieci i biednych...

Przed bitwą o Monte Cassino byliście wszyscy — od Dowódcy Korpusu do ostatniego żołnierza — u spowiedzi i Komunii świętej. Na ruinach zdobytego klasztoru ustawiliście figurę Matki Najświętszej...

Po skończonej niewoli w Niemczech odradzaliście się radośnie w Duchu Świętym. Kilkaset obozów, a w każdym Pan Jezus ze swoim wiernym sługą, kapłanem polskim...

Już od 1946 r. wznosiliśmy co wieczór o dziewiątej modlitwy za Kraj, opasaliśmy nimi całą kulę ziemską, błagaliśmy o ratunek dla Polski, poddanej nowej niewoli... Od Kanady do Australii, od Szkocji do Argentyny Polacy modlili się żarliwie za czcigodnych więźniów Chrystusowych, uświadamiali obcych, włączali ich w nasze święte przymierze, orędowni u rządów i parlamentów, nieśli braciom w Ojczyźnie pocieszenie i pomoc. Nie ma wśród nas ani jednego, kto by im nie śpieszył z ofiarą duchowną czy materialną...

Niedawno powiedział mi wybitny kapłan, przywódca jednego z bratnich narodów, że jego rodacy skoncentrowali wszystko w kierunku obrony. „Widzimy teraz, że sama obrona nie wystarczy. Trzeba jakiejś myśli konstruktywnej i ofensywnej, a tę macie wy, Polacy, w waszej Wielkiej Nowennie. Tam jest program pozytywny i skuteczny“.

Pod auspicjami Najświętszej Królowej Polski rozpoczęliśmy trzeci rok Wielkiej Nowenny. — Rok Życia. Jego hasłem jest troska o zachowanie życia ludzkiego i poszanowanie dla tego wspaniałego daru Bożego. Szczególnie zagrożone jest życie jeszcze nie narodzonych. Zagrożone przez lekceważenie przykazań Bożych, przez nieufność wobec Opatrzności, przez egoizm i wygodę, przez nędzę materialną, złe ustawy, wreszcie przez nieprzyjaciół Narodu naszego...

Silne rodziny katolickie są mocnymi filarami odnowy społeczeństwa... Znam dobrze troski i mozoły rodziców licznej dziatwy, gdyż byłem uważnym świadkiem olbrzymich wysiłków i starań molch czcigodnych rodziców. Moja mitra biskupia wyrosła nie z dobrobytu, ani z roli, ani z soli, ale z ciężkiej pracy, z modlitw i trudu dzielnego Ojca i słodkiej Matki mojej...

Rodzina jest szczególnie ważną częścią Królestwa Bożego, jest warunkiem jego rozwoju na ziemi... Wspaniały ruch rodzin chrześcijańskich, zwłaszcza we Włoszech i Francji otworzył nowe, dynamiczne perspektywy kształtowania życia po myśli Bożej i to wbrew trudnościom czasów...

Nie ulega wątpliwości, że głównym tematem społecznym drugiej połowy XX

(c. d. na str. 4)

DO CZYTELNIKÓW.

ZYCIE nie ukazało się w maju. Obecny numer oznaczamy maj-czerwiec. Prześnamy Czytelników, a zwłaszcza Prenumeratorów, i za opóźnienie i za dostarczenie im numeru, który liczy wprawdzie 40 stron, ale nie jest podwójny. Prześnamy również i Autorów i Czytelników za spóźnioną publikację materiałów, których część była pisana w kwietniu.

Ten nieporządek został spowodowany trudnościami finansowymi, z jakimi pismo walczy. Musieliśmy czekać na wyjaśnienie sytuacji, aby z jednej strony nie kapitulować przedwcześnie, a z drugiej nie brnąć lekkomyślnie w dalsze kłopoty.

Realizacja niektórych zapowiedzi po-

FUNDUSZ ŻYCIA

Dziękujemy — w imieniu Zespołu ŻYCIA oraz Kuratorów Fundacji „Veritas“ i Kierownictwa K. O. W. „Veritas“ — tym wszystkim, którzy pomogli piśmu, bądź nadsyłając dalsze ofiary na FUNDUSZ „ZYCIA“, bądź nadsyłając czy zdobywając prenumeraty, bądź zachęcając do trwania.

ZŁOŻYLI OFIARY NA FUNDUSZ „ZYCIA“

(w porządku chronologicznym od 15. 4. do 28. 5. 1959)

| | |
|----------------------------|-----------|
| Dr T. Poźniak (USA) | £ 3.10. 5 |
| Dr S. Westfal | 1. 0. 0 |
| M-lle L. Somville (Belgia) | 7. 0. 0 |
| S. Tor (USA) | 1. 8.11 |
| Plk W. Czocho | 1. 0. 0 |
| J. Relidziński | 0.10. 0 |
| W. Hawran | 2. 0. 0 |
| Red. J. Bielatowicz | 1. 0. 0 |
| M. Paszkiewicz | 1. 0. 0 |
| Red. F. Śmieja | 2. 0. 0 |
| Min. S. Sopicki | 1. 0. 0 |
| Dyr. S. Szydłowski | 2. 0. 0 |
| T. Maciejowski (Argentyna) | 5. 0. 0 |
| Gen. B. Duch | 1. 0. 0 |
| M. Kleczyński | 0.10. 0 |
| E. Jurowicz (Niemcy) | 0.16. 8 |
| A. Grocholski (Francja) | 3. 0. 0 |
| I Ratiu | 2. 2. 0 |
| J. Baworowski | 1. 1. 0 |
| S. Rolski | 1. 0. 0 |
| Ks. J. Cibor (USA) | 2. 2. 0 |
| W. Kropiński (Afryka) | 0. 6. 6 |

O. Karol van Oost, O.S.B. zachęca swoich współobywateli, przyjaciół Polski, by ŻYCIU pomogli. Dr Jan Hempel rozesał w Australii 200 egzemplarzy ulotki inicjującej akcję jednona prenumeratorów dla ŻYCIA. Ks. Walery J. Jasiński z Orchard Lake (USA) zapłacił prenumeratę do końca roku 1961(!) i zwrócił na sprawę ŻYCIA uwagę amerykańskiego „Sodalisa“, który „całym sercem zachęca Polonię“, aby przez abonenty i ofiary pomóc piśmu. „Horyzonty“ paryskie powtórzyły nasz apel.

PO CO „ZYCIE“?

Groźba zawieszenia i akcja podjęta, by temu zapobiec, wywołały duży oddźwięk. Ale dyskusja dokoła tej sprawy wykazała także, że nie wszędzie istnieje zrozumienie roli piśma i wagi sprawy.

mocy sprawia, że wydać możemy ŻYCIE w czerwcu i w lipcu a nadzieja świta, że uda się może uniknąć zawieszenia piśma.

Do Prenumeratorów obecnych i przyszłych zwracamy się z apelem o życzliwą wyrozumiałość. Jeżeli uda się piśmo utrzymać, dostaną numer podwójny w grudniu br. i w ten sposób — jeżeli pozwolą — wywiążemy się z naszych zobowiązań. Jeżeli, pomimo naszych wysiłków i okazanej już pomocy, trzeba będzie ŻYCIE zawiesić, zwrócimy się do wszystkich tych, którzy wpłacali ofiary na FUNDUSZ „ZYCIA“ i prenumeraty, jak również do Prenumeratorów dotychczasowych — w sprawie dokonanych przez nich wpłat.

Tymczasem zaś prosimy o dalszą pamięć i poparcie wspólnych starań o utrzymanie i rozwój ŻYCIA.

Pisaliśmy w roku ubiegłym: „...stwierdzono zgodnie (Duchowieństwo i świecy), że w obecnym okresie bardziej niż kiedykolwiek musi istnieć piśmo usiłujące formułować stanowisko oparte o zasady katolickie wobec aktualnych zagadnień, piśmo zdolne do podjęcia braterskiej wymiany zdań ze środowiskami inteligencji katolickiej w Kraju, służące jako punkt obserwacyjny i informacyjny na użytek polskich katolików zagranicą i w Polsce...“ To stwierdzenie jest dziś chyba jeszcze bardziej bezsporne.

Brak stanowiska, „brak opinii“ nazwał Pius XII „chorobą, kalectwem życia społecznego“. Prasę katolicką obarczył zadaniem kształtowania i szerzenia tej opinii. Czyż właśnie polska katolicka inteligencja w wolnym świecie ma być jedynym środowiskiem niemym, „kalekim“?

Piśmo jest potrzebne, żeby — w atmosferze pojednania i wzajemnego zaufania — krzepło i promieniowało katolickie środowisko producentów i konsumentów myśli, sztuki i informacji. Piśmo, które postawionym zadaniom sprosta, staje się ważnym narzędziem współczesnego apostołstwa świeckich, pomocą — co najmniej pośrednią — w pracy duszpasterskiej.

SAMOWYSTARCZALNOŚĆ

Istnieje nadzieja, że starania o zwiększenie ilości prenumeratorów oraz zakupu większych ilości numerów, a także dalsza zbiórka na FUNDUSZ „ZYCIA“, dadzą wyniki, które pozwolą ŻYCIU utrzymać.

Jednak przebrnięcie trudności w najbliższych miesiącach nie oznacza jeszcze pomyślnego zakończenia całej kampanii. Utrzymanie i dalszy rozwój piśma zależy na długą metę od tego, czy uda się zwiększyć stałą prenumeratę i sprzedaż do tego stopnia, by znikł deficyt, by ŻYCIE stało się samowystarczalne.

Wszystkich przyjaciół prosimy więc o nieustawianie w staraniach o zdobywanie prenumerat.

Odpowiedź pozytywna na pytanie, czy stać nas, byśmy mieli katolickie piśmo na poziomie, do jakiego ŻYCIE dorosnąć pragnie, nie jest sprawą tylko Zespołu ŻYCIA czy K. O. W. „Veritas“, ale sprawą ogólną, obchodzącą bezpośrednio i nasze Duszpasterstwo i całą polską katolicką inteligencję.

Redakcja

Z ODEZWY OPIEKUNA EMIGRACJI

(Ciąg dalszy ze str. 3)

wieku będzie owa wielka rozprawa o rodzinę, od której wyniku zależy byt i trwałość naszej cywilizacji. Gdyby z niej odpiły wody bojaźni Bożej, pozostałyby tylko bagna...

...Odnówmy się sami w łasce uświęcającej, łączmy się w niej z braćmi w Kraju, z tymi bohaterami na codzien, bohaterami bez poz, rzućmy potęgę modlitwy i rozmach miłości na szalę ich życia, spotęgujmy w sobie ducha Wielkiej Nowenny, który z Ducha świętego wypływa — jedynym słowem bądźmy czysti, wierni, ofiarni...

*

Kościół Katolicki w Polsce — powtarzamy za „Tygodnikiem Powszechnym” — rozpoczyna w dniu 3 maja br., w uroczystość Maryi Królowej Polski, trzeci rok Wielkiej Nowenny przed Millennium. Nowenna ta zajmuje główne miejsce w uroczystościach religijnych związanych z Tysiącleciem Chrztu Polski. Pierwszy rok został nazwany „Rokiem Wierności”, drugi — „Rokiem Łaski”, a obecny, trzeci — „Rokiem Życia”. Programem pracy duszpasterskiej w roku bieżącym jest obrona życia nadnaturalnego i naturalnego człowieka.

W artykule „Kształt życia” pisze Jerzy Turowicz:

„...Nie ma i nie może być żadnego antagonizmu między religią a życiem. Życie ludzkie, życie pojedynczego człowieka i całej zbiorowości ludzkiej, rozwija się w wielowymiarowym układzie odniesienia: świat i Bóg. Życie biologiczne, wegetatywne — w powiązaniu z otaczającym światem przyrody martwej i żywej. Życie umysłowe, psychiczne — w sieci niezliczonych powiązań z ludźmi — żyjącymi obok, tymi, którzy żyli przed nami, tymi, którzy przyjdą po nas. Wreszcie życie nadprzyrodzone, życie łaski — w związku z Bogiem i z całą nadprzyrodzoną społecznością Kościoła. Tylko religia może nadać życiu ludzkiemu pełny sens, bo tylko ona ustawia je wobec całej rzeczywistości, w której odbywa się bieg życia ludzkiego.

W światopoglądzie religijnym mamy pełną aprobatę, więcej: gloryfikację życia...

...Religia ma na celu pomóc człowiekowi budować dodatni bilans życia. Religia mówi o olbrzymiej godności osoby ludzkiej. Mówi człowiekowi o jego prawach i obowiązkach, żąda od społeczeństwa, by szanowało prawo jednostki i egzekwowało jej obowiązki. Tylko bowiem życie w układzie praw i obowiązków pozwala na pełny rozkwit wartości ludzkich, tylko respektowanie tego układu gwarantuje wolność człowieka.

Kościół, społeczność ukształtowana na bazie religii, broni życia ludzkiego i warunków jego rozwoju. To Kościół właśnie mówi o odrębnej, jednorazowej, niepowtarzalnej, nieskończonej wielkiej wartości każdego życia ludzkiego, i zakazuje niszczyć to życie w jakikolwiek sposób i w jakimkolwiek celu. To Kościół mówi o świętości małżeństwa, instytucji prawa naturalnego, w której poprzez miłość i

złączenie cielesne mężczyzna i kobieta dopełniają się nawzajem i rozwijają swoją osobowość. I z której rodzi się nowe życie. Kościół broni praw rodziny, która w ten sposób powstaje, głosząc, że jest ona naturalną formą, w której kształtuje się i rozwija życie ludzkie. Kościół — obrońca i chwalcza życia, domaga się, by małżeństwo służyło powstawaniu nowego życia, mnożeniu wartości ludzkich. Nakaz ten budzi dzisiaj liczne spory, pływające w dużej mierze z nieporozumień. Kościół bowiem nie żąda bynajmniej od ludzi, by mnożyli się jak zwierzęta, bez żadnego umiaru, nie postępując się rozumem. Kościół zna dobrze wszelkie uwarunkowania gospodarstwa, wie o konieczności zapewnienia dziecku egzystencji materialnej i wychowania, wie o trudnych i coraz trudniejszych problemach demograficznych. Jeżeli Kościół zakazuje stosowania środków antykoncepcyjnych, to nie dlatego, że chce, by ludzkość mnożyła się w sposób niemiarkowany, ale dlatego, że są one przeciwne naturze. Jeżeli Kościół zabrania przerywania ciąży, zastępując zresztą ten eufemizm słowem ściślejszym: zabijanie życia ludzkiego, to także nie dlatego, by rodziło się jak najwięcej dzieci, lecz dlatego, że płód rosnący w łonie matki, choćby w najwcześniejszym stadium, nosi w sobie zarodek pełnego kształtu osobowości ludzkiej, kształtu jednorazowego, niepowtarzalnego...

...Zabraniając zabijania człowieka — zabrania on (Kościół) także samobójstwa. Człowiek nie dał sam sobie życia, nie ma prawa go sobie odbierać. Zabrania Kościół także sterylizacji, zabrania eutanazji. Zaleca troskę o zdrowie, troskę o pielęgnację ciała, troskę o równomierny rozwój fizyczny i duchowy człowieka, walczy z niszczącym życie alkoholizmem

A przede wszystkim Kościół — i to jest główne zadanie — żąda od swoich wiernych, by w życie ludzkie, życie biologiczne i umysłowe, życie własne i życie bliźnich wszczepiali i rozwijali życie wewnętrzne, życie nadprzyrodzone, życie łaski. Bez tego wymiaru życie człowieka nie może osiągnąć swojej pełni. I ten tylko wymiar pozwala przezwyciężyć smutek przemijania...

...W liturgii wielkanocnej Kościół — to znaczy nalezające do niego setki milionów wiernych — śpiewa: „Mors et vita duello confixere mirando”... — śmierć i życie bóg stoczyły przedziwny, z boju tego życie wyszło zwycięsko.

O tym przyszłym kształcie wiecznego życia człowieka decyduje przebieg jego życia doczesnego, decyduje stan, w jakim znajdzie się jego dusza w nieprzewidzianej chwili zamknięcia rachunku, w chwili śmierci... Życie duszy, to przede wszystkim życie łaski nadprzyrodzonej, która, choć spływa na człowieka z góry, jako dar Boży, to jednak żyje i rozwija się na podłożu natury i psychiki ludzkiej...

...Cała chrześcijańska koncepcja życia streszcza się w postulatcie świadomego kształtowania życia przez człowieka. Bez świadomego wysiłku ani osobowość ludzka, ani bieg życia ludzkiego nie przybiorą pożądanego kształtu, nie zbliżą się nawet do swojej pełni, nie znajdą swoje-

go miejsca i swojej roli w obiektywnym porządku świata... ..Praca nad kształtem życia pozwala na osiągnięcie jego pełni i bujności, otwiera drogi wielkich przygód: przygody starcia z losem ludzkim, przygody prawdziwej miłości do człowieka, przygody spotkania z Bogiem...

*

INTENCJE PAPIESKIE NA CZERWIEC 1959: ogólna — aby dzięki kulturowi Najsw. Serca Jezusowego zapanowały pokój i miłość; misyjna — za zbawienie dusz w Azji, gdzie Kościół nie może pełnić swobodnie swej apostołskiej misji.

*

DZIEŃ MODLITW NA INTENCJE AFRYKI został zarządzony 31 maja we wszystkich kościołach przez Hierarchię katolicką w Anglii i Walii. Wierni modlili się, aby zwyciężył w krajach Afryki „duch pokoju i wzajemnego zrozumienia”, zgodnie ze wskazaniami encykliki „Fidei Donum”.

*

FEDERACJA UNIwersytetów KATOLICKICH uzyskała 10 lat temu formę prawną w brewe Piusa XII „Catholica studiorum universitas”. Hold złożyli Stolicy Apostolskiej przedstawiciele dzisiejsi Federacji: prefekt św. Kongregacji Seminariorów i Uniwersytetów kard. Pizzardo; przewodniczący i wiceprzewodniczący Federacji: biskup van Waeyenbergh, rektor uniwersytetu w Louvain, i biskup Blanchet, rektor Instytutu Katolickiego w Paryżu; sekretarz gen. — O. P. Dezza, T. J.; delegaci uniwersytetów katolickich w Angers, Bogota, Fryburgu, Leopoldville, Lille, Limie, Lyonie, Manili, Maynouth, Mediolanie, Nimwedze, Ottawie, Porto-Alegre, Kwebeku, Rzymie, Salamance, Tokio i Tuluzie; lubelski KUL nadesłał pismo. Jan XXIII podkreślił rolę Federacji, jako „szansa przeciw materializmowi”.

*

J. E. KSIĄDZ BISKUP ADAM KOZŁOWIECKI został mianowany arcybiskupem-metropolitą w Lusaka (Pn. Rodezja), gdzie Stolica Apostolska ustanowiła nową prowincję kościelną.

*

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ K. U. L. W WIELKIEJ BRYTANII zostało powołane przez społeczeństwo polskie, aby przyczynić się do dzieła wspierania uczelni. Zadaniem Towarzystwa jest uzyskiwanie stypendiów dla naukowców i studentów z Polski, zbieranie funduszków na dodatkową pomoc dla studiujących zagranicą „Kulowców” oraz wysyłka książek i wydawnictw naukowych w obcych językach do Biblioteki KUL-u.

Towarzystwo wydało ulotkę, która dostarcza rzeczowych informacji o celach, osiągnięciach i potrzebach uczelni oraz apeluje o ofiary, od swoich i obcych.

Nazwa angielska Towarzystwa brzmi: **FRIENDS IN GREAT BRITAIN OF THE CATHOLIC UNIVERSITY OF LUBLIN.**

Adres (oraz wpisy na czekach i przekazach): Friends of the C.U.L., 21 Earls Court Square, London, SW5.

(Dokończenie na str. 37)

Czy św. Stanisław został świętym za opór papieżowi?

Chciałbym — oczywiście jako laik i czysto po dziennikarsku — wypowiedzieć kilka wątpliwości, jakie mi się nasunęły przy czytaniu rozprawy dr Karoliny Lanckorońskiej pt. „W sprawie sporu między Bolesławem Śmiałym a św. Stanisławem”. Rozprawa ta ukazała się w londyńskich „Tekach Historycznych” (t. IX, listopad 1958). Dość dawno więc, ale dopiero teraz miałem możliwość ją przeczytać. Jest to — według informacji Autorki — skrót jednego z rozdziałów jej obszerniejszej pracy o obrządku słowiańskim na ziemiach dawnej Polski, która ukazuje się w „Orientalia Christiana” po angielsku.

Pracy tej oczekujemy z ciekawością. Może się ona m. in. przyczynić do sprecyzowania okoliczności naszego Millennium. *) Mówimy: „tysiąclecie chrześcijaństwa w Polsce”, gdy tymczasem, aby nie skracać jego dziejów, rok 1966 winniśmy obchodzić jako tysiąclecie chrztu Mieszka I i — przez ten krok dynasty — tysiąclecie oficjalnego włączenia Polski do rodziny narodów chrześcijańskich. Chrześcijaństwo u nas istniało już na dość długi czas przed Mieszkiem przynajmniej na przyszłych polskich ziemiach południowych, które stanowiły część państwa wielkomorawskiego. I zapewne istniało głównie w swej formie łacińskiej (i może sporadycznie także w formie wschodniej) jeszcze przed wystąpieniem Braci Soluńskich. Pod tym względem sprawy musiały wyglądać tak, jak wyglądały w ogóle na Morawach, a o czym daje nam pewne pojęcie znany list księcia morawskiego Rościława do cesarza Bizancjum Michała, z r. 862.

W odpowiedzi na ten list przybywają na teren Moraw obaj bracia, Konstanty i Metody i oto w Europie występuje obecnie trzecia forma katolicyzmu: chrześcijaństwo tak samo katolickie jak ówczesne wschodnie i zachodnie, lecz już nie w języku greckim ani łacińskim, ale słowiańskim. Z wszystkiego, co na ten temat wiemy i nie wiemy; z wszystkiego czego się domyślamy na podstawie rozumowania, zdaje się wynikać, że ta nowa postać katolicyzmu musiała być w zasadzie przetłumaczonym chrześcijaństwem łacińskim i to zapewne w rzymskim obrządku. Rozwijała się bowiem na terenie, gdzie już istniały dość daleko posunięte formy organizacji kościelnej Kościoła zachodniego; na terenie podlegającym patriarchsze Zachodu. Właśnie fakt, że działalność św. Metodego (bo Konstanty po wezwaniu obu braci do Rzymu już tam pozostanie i wkrótce umrze jako mnich, a tylko Metody, wyświęcony na biskupa, wrócił na Morawy) rozwijała się na terytorium k o ś c i e l n i e już zajęty i w znacznej mierze zorganizowanym, stanowił kolosalną przeszkodę w jej rozwijaniu. W grę weszły finansowe interesy biskupów niemieckich i ich więcej aniżeli niechęć w stosunku do Słowian.

Wiemy, że Metody był prześladowany przez zawistnych hierarchów, którym nie chodziło o dobro dusz; bezprawnie uwięziony; oczerniany na Lateranie przed papieżem; a stanowisko Stolicy św. w sprawie katolicyzmu słowiańskiego było bardzo chwiejne. Wszakże dopóki św. Metody był przy życiu, udawało mu się swego dzieła bronić.

Nawiasem mówiąc, nie potrafię zrozumieć rzeczy przedziwnej: jak to jest możliwe, że ci dwaj bracia, których powinno się zaliczać do największych geniuszy religijnych, jakich w ogóle chrześcijaństwo wydało, że ci dwaj święci, którzy w czasach takiego pomieszczenia pojęć tak głęboko, tak po bożemu umieli wnikać w rdzeń uniwersalności i powszechności Kościoła, zajmują tak małe — jeśli w ogóle zajmują jakiegokolwiek — miejsce w sercach i umysłach chrześcijan! Może dopiero nasza epoka sprawi, że będziemy umieli spojrzeć na ich dzieło we właściwej perspektywie, kiedy znowu, tak jak chrześcijaństwo w czasach Ojców, coraz lepiej zdajemy sobie sprawę, że chrześcijaństwo i Kościół nie są związane z żadnym narodem, z żadną częścią świata, ani z Zachodem, ani ze Wschodem, z żadną cywilizacją i kulturą, z żadnym językiem, z żadnym specjalnym obrządkiem: bo żaden z tych drugorzędnych wózków nie ma monopolu w Kościele. Kościół bowiem to, owszem, — „jedyna sala uczy” według św. Augustyna — ale żywi

zaproszonych na Gody daniami z całego dzieła stworzenia. Albowiem, jak wyraża się ten sam Ojciec, Kościół mówi światu: „Jam jest we wszystkich językach; moim jest grecki i syryjski, moim jest hebrajski, moim jest język wszystkich ludów, gdyż jestem w jedności wszystkich ludów”.

I

Po tym nawiasie wróćmy wszakże do naszego toku. — Oto kiedy Mieszko w roku 966 przyjmował chrześcijaństwo w oparciu o papieża jako patriarchę Zachodu, to jest w obrządku rzymskim i języku łacińskim, Kraków jeszcze do jego włości nie należał. Kiedy się jednak w granicach Polski znalazł, musieli się też znaleźć w Polsce katolicy „słowiańscy”, „cyrylometodiańscy”. Jest rzeczą całkiem rozsądną przypuszczać, że musieli też posiadać jakąś organizację kościelną, zwłaszcza że w tzw. Panonii to chrześcijaństwo uległo rozsypaniu po katastrofie najazdu madziarskiego w początkach X wieku. Sprawa ta musiała się doczekać jakiegoś generalnego rozwiązania, kiedy koło roku 1000 dokonywa się za Chrobrego organizacja Kościoła polskiego — łacińskiego — jako samodzielnej części Kościoła powszechnego. I oto czytamy u Galla, że za Chrobrego było „dwa metropolita” z ich sufraganami. Z tego historycy, ale nie wszyscy, wyprowadzili wniosek, że drugim obok gnieźnieńskiego, łacińskiego, musiał być metropolita słowiański; niektórzy jako siedzibę jego stolicy wysunęli Kraków (a przed 12 laty Kętrzynski — Sandomierz).

Oczywiście nie wiemy, ilu było tych katolików obrządku słowiańskiego, nie umiemy tego wyrazić nawet w tak ogólnikowym określeniu, jak „wielu”, albo „niewielu”. Jeśli by jednak okazało się, że wiadomość przekazana przez Galla jest prawdziwa; i że ten drugi metropolita, w dodatku „cum suis suffraganeis”, był głową „metodjanów”, wtedy należałoby z tego wysnuć wniosek, że raczej było ich „wielu” i że musieli się rozciągać poza teren krakowski, a więc także na inne ziemie polskie, np. Śląsk, może Mazowsze.

W takim razie: — co się z nimi stało? Dlaczego nie przetrwali?

Oto jest kapitalne pytanie, które zaczęło budzić ciekawość w Polsce od XVI wieku, to jest tego wieku, kiedy to pod wpływem rozmaitych czynników zaczyna się w Europie budzić, nieśmiały jeszcze, „sensus historicus”. Odtąd sprawa ta, choć czasem przygasa, nigdy już nie zanika, aby prawdziwie „wybuchnąć” począwszy od połowy wieku XIX. W wieku XVI problem działalności cyrylometodiańskiej interesuje kardynała Hozjusza; do proprium Poloniae w mszałach i brewiarzach wchodzi święto obu apostołów jako tych, przez których Bóg raczył Polskę powołać do światła wiary, przejęte zapewne z mszałów krakowskich, do których dostało się chyba za panowania Wacława czeskiego w Krakowie (XIV w.). W XVII wieku zajmują się tą postacią chrześcijaństwa w pierwotnej Polsce: uczony biskup Piasecki, który daje ciekawy komentarz w swym łacińskim dziele o historii Europy i Polski, oraz protestant Węgierski-Regenvolscius. W XVIII wieku pod wpływem (przeważnie apokryficznych) dzieł morawskich oraz badań Assemani'ego — Naruszewicz; i protestant Christian Gotlieb v. Friese.

A gdy około połowy następnego stulecia odnaleziono w Petersburgu rękopis starosłowiańskiego żywota św. Metodego, wkrótce potem ogłoszony drukiem, ze sławnym fragmentem o „potężnym księciu na Wiśle” i chrześcijanach w jego państwie, którym „urągał i szkody wyrządzał”, na pewien okres w historiografii naszej sprawa chrześcijaństwa „słowiańskiego” zasiała wszystkie inne. Wychodzi rozprawa z rozprawą, książka za książką. Ze źródeł jest niewiele, a za to domysłów i fantazji aż nadto, więc przy słynnej polskiej ignorancji co do natury chrześcijaństwa i Kościoła, a także żywej niechęci do Kościoła (najczęściej również płynącej z bebrzeżnej ignorancji), nic dziwnego, że ta coraz obfitsza literatura jest też często zupełnie fantastyczna, a czasami (np. u Bielowskiego, Komornickiego, Gumplowicza, W. Sobieskiego, a przedtem już Maciejewskiego), przechodzi w dziedzinę kryminalnego „who-dunit”, gdzie już nawet sam autor przestaje się orientować, kto jest sprawcą czego.

*) Obiektywne rozważania naukowe początków chrześcijaństwa w Polsce, wzbogacające jego historię, nie oznaczają oczywiście kwestionowania w jakiegokolwiek mierze Instytucji obchodów Tysiąclecia, w których jednoczy się cały naród polski. Red.

II

Raz „odkrywszy“ obrządek słowiański, o którym tak niewiele wiedziano i o którym do dziś dnia wiemy niewiele więcej, niektórzy historycy przy pomocy tej sprawy — i ciemnej i zaciemnionej — zapragnęli „wyjaśnić“ jak najwięcej ważnych a mniej świadectwami popartych wydarzeń historii Polski piastowskiej aż do wieku XIII, z reperkusjami niekiedy nawet w dalsze stulecia. A więc np. walki dynastyczne w rodzinie Piastów aż po sprawę Zbigniewa i Krzywoustego; działalność św. Wojciecha i św. Brunona z Kwerfurtu; tak zwaną „reakcję pogańską“ — po śmierci Mieszka II i jego starszego syna, Bolesława, a w początkach panowania Kazimierza Odnowiciela, itd.

Owa rzekoma „reakcja pogańska“, to zdaniem niektórych historyków krwawa wzajemna wojna obu obrządków, łacińskiego i słowiańskiego. Od X wieku bowiem toczyć się ma w Polsce zjadła walka przeciwko obrządkowi słowiańskiemu. A gdy już ostatecznie zostanie pokonany i wytopiony, zaczyna się na kolosalną skalę usuwanie wszystkich obyczajowych, architektonicznych i zwłaszcza skryptycznych dowodów, że kiedyś istniał, no, i fałszowanie roczników, kalendarzy, etc., dokonywane przez duchowieństwo łacińskie...

Dodajmy w tym miejscu, że rzeczywiście około połowy XIII wieku stare annały i kalendarze są rzeczywiście przepisywane. Jednak powodem tego nie jest, jak to twierdzili niektórzy (np. Bielowski; przede wszystkim Gumpłowicz i Wojciechowski) jakaś konspiracja polskich biskupów, kleru kapitulnego i zakonów w celu fałszowania poprzednich zapisków, lecz introdukcja nowych kalendarzy. Około tego czasu bowiem skończyły się tablice paschalne z obliczeniami świąt ruchomych, dokonanymi we wczesnym średniowieczu, na kilka wieków naprzód. Trzeba więc było dokonać nowych obliczeń, przy których, jak wiadomo, za podstawę służy „wędrująca“ z roku na rok data Wielkanocy.

Wtedy też na nowe kalendarze przenoszono stare zapiski z kalendarzy poprzednich a zużytych. Ze przy tej okazji opuszczono niektóre zapiski, których już wtedy nie uważano za ważne, albo których wagi się nie domyślano; że jak to zawsze bywało przy pracy kopiistów, przy takich przenoszeniach mógł się zakraść niejeden błąd wynikający ze złego odczytania dawnych danych lub z niedbałości przepisywaczy, to można przyjąć za pewne. Wtedy też zapewne w kalendarzu kapitulnym krakowskim znalazła się prawdziwa wiadomość pod fałszywą datą: 3 kwietnia zamiast 17 czerwca, że „obiit Boleslaus rex qui constituit episcopatus per Poloniam“: „umarł król Bolesław, który ustanowił biskupstwo dla Polski. Tę zapiskę Wojciechowski odniósł do Śmiałego, gdy n'e ma żadnego specjalnego powodu tak czynić; najprawdopodobniej bowiem, jak to sądzili już dawniej historycy, odnosi się ona do Chrobrego. A jest ona niemal dosłownym echem (wyjąwszy datę) Galla; przy czym Gall, jeśli pamiętam, pisze: „disposuit“.

W czwartym dziesiątku XI wieku Polska jest chyba jeszcze w „jakiejs“ mierze pogańska. Wobec braku systematycznej nauki religii, wobec braku kazań: bo to wszystko przyjdzie dopiero z zakonami żebrzącymi w wieku XIII, znajomość prawd wiary i stopień przejścia się sprawami chrześcijaństwa w tej części społeczeństwa, które było formalnie chrześcijańskie, nie musiały być duże. Dlatego też co najmniej wątpliwe wydać się musi twierdzenie tych, którzy pragnęli dowieść, że w narodzie, nigdy potem nieskłonny do wojen religijnych, wojna taka — chrześcijan z chrześcijanami, katolików z katolikami — miała miejsce w XI stuleciu... Gdyby jednak taka wojna się odbyła i gdyby nawet miało później nastąpić systematyczne zatarcie jej śladów przez jakiś gigantyczny proces zafałszowania źródeł przez polskie duchowieństwo łacińskie (rzecz zbyt fantastyczna, aby w nią można było uwierzyć), jak sobie wytłumaczyć, że tego rodzaju wydarzenie nie znalazłoby żadnego echa u żadnego kronikarza zachodniego? Jakoś za wiele w tym wszystkim romansu i wyobraźni; za wiele dowolnego manipulowania istniejącymi a niezbyt licznymi zapiskami.

III

Rzecz jasna, że sprawą, którą przy pomocy obrządku słowiańskiego również, i to wielokrotnie, usiłowano „wyjaśnić“, jest także tajemniczy zatarg między Bolesławem Śmiałym a św. Stanisławem. Pisze się na ten temat od przeszło 100 lat i próby „wyjaśnienia“ tego sporu, przez danie mu za tło obrządku słowiańskiego, wyczerpały wszystkie możliwe fazy: od zaprzeczenia jakiegokolwiek związku w ogóle, poprzez hipotezę (np. Lelewela), że konflikt miał jako przyczynę to, iż Stanisław był latynizatorem Kościoła polskiego, król zaś obrońcą chrze-

ściństwa słowiańskiego; aż do twierdzenia tych, którzy (jak np. Komornicki, Gumpłowicz, Sobieski) w swoim przekonaniu dowiedli, że było wręcz przeciwnie: że to król był latynizatorem, gdy Stanisław obrońcą — i biskupem — obrządku słowiańskiego. Przy czym nie brakło nawet twierdzenia, że Stanisław był żonatym biskupem, jak gdyby jakakolwiek wtedy forma chrześcijaństwa dopuszczała małżeństwo biskupów, lub ludzi żonanych na stolice biskupią. (Co oczywiście nie znaczy, że na skutek upadku obyczajów w Kościele przede wszystkim łacińskim — takich biskupów nie było. Owszem, bywali, jak bywali mnisi, którzy z żonami i dziećmi(!) mieszkali po klasztorach; a tu i ówdzie opactwo — faktyczne, nie tytularne — przechodziło z ojca na syna. Ale nie traktowano tego inaczej jak nadużycia i naruszenia kanonów.)

To wszystko co dotąd napisałem — a jak się uczucie i z góry zastrzegłem: jako laik i po dziennikarsku — w pobieżnym skrócie i dotknąwszy tylko niektórych zagadnień, było potrzebne, aby czytelnik zyskał przynajmniej sugestię, przybliżoną sugestię, jak wielkiego tematu co do wagi i problemów; trudnego i ryzykownego z powodu braku materiałów; obszernego pod względem już istniejącej o tych sprawach literatury, odpowiedzianego ze względu na wynikające wnioski — podjęła się dr Karol na Lanckorońska, zapowiadając osobną pracę o obrządku słowiańskim w Polsce pierwotnej.

Już gdyby tylko dokonana krytycznej oceny dotychczas istniejącej na ten temat literatury, byłaby to rzecz arcyważna i niezmiernie pożyteczna. Jeśli przy tym udałoby się Autorce rzucić jakieś światło na realny zasięg obrządku słowiańskiego, powiedzieć, co się z nim stało; kiedy i dlaczego z naszych ziem zniknął, i wysunąć kilka nowych zagadnień do zbadania: byłby to jeden z najwartościowszych przyczynków w okresie przegotowań do tak zwanego tysiąclecia polskiego.

Na razie wszakże otrzymaliśmy dopiero skrót jednego z rozdziałów jej pracy, najpierw w postaci referatu, wygłoszonego w Instytucie Historycznym, i następnie, jak to wspominał w wstępie, wydrukowanego w londyńskich „Tekach Historycznych“. Autorka, nie zaznaczywszy wprawdzie, że sprawa ta ma już obfitą bibliografię, przyłącza się w tej pracy do tych, którzy widzieli podłoże sporu między królem a biskupem w konflikcie obu obrządków i zajmuje stanowisko również już reprezentowane, że biskup był latynizatorem, a król obrońcą obrządku słowiańskiego. Przy czym król działał rzekomo w porozumieniu i na polecenie św. Grzegorza VII; natomiast biskup postępował wbrew woli papieża. Przedmiot sporu określa następująco:

„Przyczyną zatargu były próby zmniejszenia diecezji krakowskiej przez króla i papieża. Powodem, który w czasie zatargu sytuację silnie zaostrzył, było przystąpienie biskupa do buntu Hermana“.

Pomińmy to ostatnie zdanie. Bo choć jego sugestia liczy już grubo ponad 100 lat (wysunął to pierwszy T. Czacki) i choć prof. Wojciechowski przy pomocy niezwykle kunsztownych konstrukcji usiłował z tego zrobić fakt historyczny, sprawa ta wciąż jest otwarta i nie jest niczym więcej jak właśnie konstrukcją, hipotezą, czekającą dopiero na udowodnienie. Natomiast zajmijmy się niektórymi argumentami i twierdzeniami, co do rzekomego pierwiastkowego przedmiotu sporu, którym ma być wystąpienie i opór biskupa przeciw woli papieża i króla — chcących pomniejszyć obszar diecezji krakowskiej w celu restytuowania metropolii słowiańskich i jej sufraganij.

IV

W jaki sposób Autorka argumentuje i jak dowodzi swej tezy?

Zdaniem dr Lanckorońskiej — a jak wiemy nie tylko jej zdaniem — Kraków miał być stolicą metropolii słowiańskiej, którą Chrobry — zachowując jej samodzielność (czego wprawdzie Autorka nie pisze, ale czego się musimy chyba domyślać) — uczynił częścią Kościoła polskiego. Ta metropolia miała obejmować sufraganie sandomierską z Wiślicą i Lublinem, oraz te wszystkie ziemie, które około roku 1000 nie zostały włączone do łacińskiej metropolii gnieźnieńskiej, a więc Mazowsze, Sieradz i Łęczyca. Pomijając kwestię, czy rzeczywiście te ziemie nie zostały włączone, musimy jednak zauważyć, że około roku 1000 nie zostało także włączone do Gniezna biskupstwo poznańskie; ale to już tylko uwaga pedanta, bo oczywiście wszyscy pamiętamy, o co wtedy chodziło.

Tak ukształtowana metropolia słowiańska przetrwać miała aż do tak zwanej reakcji pogańskiej.

Widzimy, że jak dotąd, trochę wątpliwą w to, trochę w owo, moglibyśmy się na to zgodzić; wszystko to tak być mogło. Tylko, że Autorka wymaga od nas w i a r y w swoje kon-

statację, a nie sprawia, abyśmy byli zmuszeni to co pisze, przyjąć ochotnym przeświadczeniem rozumu, przekonanego dowodami lub choćby argumentami.

Dalej jednak nasza zgoda na wiarę dość raptownie zaczyna kruszeć. Bo sprawy miały przebieg następujący:

Po powrocie Odnowiciela całe to terytorium otrzymuje arcybiskup Aron. Mał on mieć podwójne zadanie: „reorganizacji i latynizacji Kościoła polskiego... Oddano mu wszystkie diecezje słowiańskie w całym królestwie“ (3).

Dlaczego Aron miał latynizować Kościół polski? Tego się nie dowiadujemy, lecz być może, że sprawa ta jest omówiona w zapowiedzianej pracy. — Na temat, czy Aron był czy nie był arcybiskupem; a jeśli nim był, jaki charakter mógł mieć ten jego tytuł; jaki mógł być stosunek tego nowego arcybiskupstwa do Gniezna; i czy Aron był arcybiskupem obrządku słowiańskiego — istnieje, jeśli pamiętam, od dawna niejaka literatura. Tymczasem nic tu o tym nie słyszymy. Ale mamy nadzieję, że te kapitalnego znaczenia sprawy również są zadowalająco wyjaśnione w zapowiedzianej pracy. Inaczej musiałby czytelnik odnieść wrażenie, że Autorka nazbyt łatwo przagnie dowieść tezy pomijając istotne trudności skomplikowanej i tylekroć omawianej rzeczy. Nie bardzo natomiast rozumiem, co Autorka ma na myśli, kiedy ledwo stwierdziwszy, że Aron otrzymał za zadanie reorganizację Kościoła polskiego i jego latynizację, natychmiast i bez dowodu twierdzi, że „było to lub raczej miało być przewidzianym, tymczasowe rozwiązanie problemu ziemi metropolii słowiańskiej“ (2-3). Reorganizacja i latynizacja jako przewidziane?

A teraz: z czego ma wynikać, że Aron rzeczywiście otrzymał wszystkie diecezje byłej metropolii słowiańskiej?

Ma to wynikać z fragmentu tzw. bulli Benedykta IX (1033-1044).

W tym miejscu muszę się usprawiedliwić przed czytelnikiem. Piszę ten artykuł u siebie, w domu, wieczorem, urywany przez redakcję. Nie mam więc i nie będę już miał możliwości niczego sprawdzić w British Museum i muszę polegać tylko na zwodniczej pamięci. Mogę więc posłużyć się tylko pamięcią, jeśli chodzi o wspomniany fragment. Swego czasu wśród uczonych była na jego temat dyskusja. Chodzi, jak mi się zdaje o dwa bliskoznaczniki przymiotnikowe: „Polonico“ i „Sclavonico“. Obok wersji „omnes omnium episcopatum parochias, quae in toto regno sunt Polonico“, co znaczy: „wszystkie wszystkich biskupstw diecezje, które są w królestwie polskim“, Bielowski znalazł nieco inną, w której zamiast „Polonico“, było „Sclavonico“ i zgodnie ze swymi z góry przyjętymi tezami wyprowadził bezzasadny wniosek, że może tu chodzić tylko o biskupstwa słowiańskie.

Otóż tę interpretację dr Lackorońska nie tylko przyjmuje, ale ją „udobitnia“ przez odpowiednią emendację tekstu. Mianowicie po słowie „regno“, daje przecinek, a następnie przymiotnik „slavonicae“, z czego robi się zdanie następujące: „Wszystkie wszystkich biskupstw diecezje, które są w królestwie, słowiańskie“. Oczywiście teraz po przemianieniu przymiotnika z 6 przypadku liczby pojedynczej na pierwszy liczby mnogiej, rzecz już nie może ulegać wątpliwości. Unika się trudności, które dla swego salto miał jeszcze Bielowski.

To prawda. Tylko rodzi się pytanie, czy tego rodzaju poprawka, nie uzasadniona nawet szykiem słów w zdaniu, pozabawiająca rzeczownik w ablatywum swego określenia, gwałcąca frazę, jest emendacją, a nie zwykłą dowolnością? Może nawet prościej byłoby poprawić ów przymiotnik na „slavonicas“ czy „sclavonicas“, unikając dodawania przecinka. Ale i to nie przestałoby mieć w dalszym ciągu charakteru gwałtu. To jedna sprawa.

Lecz jest i druga, ważniejsza.

Owa rzekoma bulla uchodził przecież w niejednej opinii, za typowe fałszerstwo, dokonane w XIII wieku. Przy pomocy tego fabrykatu biskupi krakowscy w znanym sporze o precedencję wobec arcybiskupa gnieźnieńskiego chcieli „dowieść“ swego pierwszeństwa w polskim episkopacie. Ale, jak wiemy, nie udało im się w tym sporze na swoim postawić. Autorka z całą pewnością sprawę tę zna, bo nie ulega wątpliwości, że musiała zgłębić całą literaturę poświęconą nie tylko obrządkowi słowiańskiemu, ale wszystkim źródłom, przy których pomocy swoich tez dowodzi. Dopóki więc nie przedstawi swego dowodu, że rzekoma bulla jest dokumentem autentycznym, a nie podróbką i fałszerstwem, argument zaczerpnięty ze źródła podejrzanego i w dodatku przez Autorkę przezasowanego, nie może mieć waloru dowodowego.

V

Ale idźmy krok za krokiem, aby dojść do rdzenia sprawy, to jest przedmiotu zatargu króla z biskupem.

Oto w roku 1058 obejmuje tron Bolesław Śmiały, a w następnym roku umiera arcybiskup, czy biskup, Aron. Książę nie mógł „zgodzić się na sytuację prowizoryczną, którą oddając większość swego kraju pod rządy jednego biskupa, stworzył jego ojciec“ (3). Prowadzi on inną politykę wobec Rusi niż zmuszony korzystać z jej pomocy Odnowiciel. „Jest rzeczą jasną, że zamierzając odzyskać polskie ziemie wschodnie, Bolesław musiał dążyć do wznowienia metropolii słowiańskiej“ (3-4).

A jaki otrzymujemy dowód na to ostatnie twierdzenie?

Ma nim być następujący fragment listu św. Grzegorza VII do króla (w przekładzie Autorki): „biskupi kraju waszego* nie mają ustalonej stolicy metropolitalnej ani władzy zwierzchniej nad sobą“.

Alóż gdzie tu mowa o tym, że papież i Bolesław chcą restytuować metropolię słowiańską? Przy tym, po pierwsze, papież nie pisze: „biskupi kraju twego nie mają ustalonej stolicy metropolitalnej“, ale: „...nie mają ustalonej m i e j s c a stolicy metropolitalnej“: — „non habentes certum metropolitanae sedis locum“. A to jednak jest pewna różnica, bo np. może się to odnosić do faktu zniszczenia Gniezna przez najazd czeski.

A po drugie, Grzegorz całkiem jasno mówi o *jednej* stolicy metropolitalnej, której cała „terra“, cały kraj ma podlegać — boć chyba „terra Vestra“ w odniesieniu do jej władcy znaczy: Cały Kraj Twój. I temu jednemu metropolicie, to znaczy pod jego „magisterium“, mają być „positi“, „postawieni“, wszyscy „episcopi terrae Vestrae“, „biskupi Twojej ziemi“. Czyli mowa tu jest o zupełnie homogenicznej (że tak powiem) zawisłości sufraganów od swego metropolity. Mówiąc o homogeniczności i dependencji, mam na myśli wynikającą z tego miejsca listu papieskiego *jednolitą* strukturę jednej hierarchii. Dlaczego ma nią być hierarchia słowiańska w oparciu o Kraków, a nie łacińska w oparciu o Gniezno? Możemy tylko powiedzieć, co najwyżej, iż ze słów papieża nie wynika, jaka to ma być ta hierarchia, która ma objąć cały kraj Bolesława. Widać tylko, że ma być jedna, z jednym metropolitą i podlegającym mu episkopatem. Gdyby Autorka przeprowadziła dowód, że papież tymi słowami domaga się utworzenia dla całej Polski sprawnie działającej hierarchii słowiańskiej, byłibyśmy bardzo zdziwieni (ja osobiście bardzo uradowany), ale dowód musiałby nas przekonać. Niestety, dowodu nie otrzymujemy.

Tym samym zaś już w tym miejscu cała jej główna teza pada. Bo gdzie tu konflikt, a w jego następstwie, śmierć męczennika św. Stanisława?

Tymczasem czytamy, że zarzewie tego konfliktu występuje już w tym, że następca Arona, a poprzednik Stanisława, Lambert Zula, dopiero w dwa lata po śmierci swego poprzednika objął diecezję krakowską. Ta przerwa ma wskazywać na to, że król przeszkodził mu w osiągnięciu arcybiskupiego palisza. Widocznie jednak sprawę załatwiono kompromisowo i Zula zadowolili się godnością biskupa. W tym miejscu musielibyśmy się zapytać: A co na to ówczesny papież? Owszem, wiemy, jakie było wtedy położenie Stolicy św. Ale jakby nie było, są to czasy po św. Leonie IX i duch reformy już szedł przez Kościół, a najważniejsze, że zaczął się od papieży i na papieskim dworze. Gdyby nawet Zula uległ księciu i ustąpił przed przemocą, to rzeczą wątpliwą jest, czy papież zgodziłby się na taki stan rzeczy; a każdy papież miał swoje informacje nie tylko od biskupów, ale od mnichów, których w Polsce nie brakowało już wtedy. Jest to przecież nowy wiek benedyktyński w Kościele. A dalej: jeśli naprawdę arcybiskupstwo przeszło na Kraków z Aronem i jeśliby nawet Zula nie odważył się sięgnąć po palisza, to czy jego następca Stanisław, taki, jakim go Autorka maluje, nie sięgnąłby po godność arcybiskupią, swej stolicy przynależną?

VI

Autorka za Wojciechowskim i ks. Pierre David odnosi do Bolesława Śmiałego zapiszkę kapitulnego kalendarza krakowskiego, że on jest tym królem, kommemorowanym z powodu założenia biskupstw w Polsce. Wyżej, mimochodem, już wspom-

*) tzn. twój, bo papież zwracając się do króla używa w tym znaczeniu formy „wy“, „wasz“, itd. Średniowiecze używało formy „wy“, gdy starożytność, jak potem renesans, formy „ty“. Nie przekonują więc dalsze wywody Autorki, która z powodu tej formy zaimka w liczbie mnogiej każe nam odnosić pewne zdania listu jakoby łącznie skierowane do króla i biskupa.

nialem, że nie ma ku temu żadnej wystarczającej racji, by tak sądzić! Gdyby się to odnosiło do Śmiałego, zapiska musiałaby mówić o rekonstytucji biskupstw, lub użyć podobnego określenia, nawet, gdyby chodziło o biskupstwa słowiańskie, choć do-
 tąd nie mamy żadnego dowodu, że te ostatnie Szczodry kiedykolwiek zakładał, czy też p o n o w n i e zakładał, lub nawet zakładać zamysłał. Jedynym więc Bolesławem, który pierwszy „constituit episcopatus per Poloniam“ i dlatego że pierwszy, więc „constituit“, może być Chrobry. A jeśli to był rzeczywiście Śmiały i gdyby miało chodzić o biskupstwa słowiańskie, to znowu powstaje pytanie: Dlaczego tak dramatycznie przez niektórych historyków podkreślane 'falszowanie' roczników i kalendarzy i zacieranie śladów istnienia obrządku słowiańskiego nie podziało i w tym wypadku, najjaskrawszym przeciwie. I to w dodatku gdzie: — w kalendarzu kapituły krakowskiej, której biskup miał ponieść męczeństwo właśnie dlatego, że się rzekomo sprzeciwiał wykrawaniu tych biskupstw z terenu swej diecezji! To zaś zdaniem Karoliny Lanckorońskiej jest istotą konfliktu między biskupem a królem, zaczętego już przez utworzenie biskupstwa płockiego z ziem oderwanych od diecezji krakowskiej. — A dlaczego nie metropolii gnieźnieńskiej? Bo w swej ignorancji muszę przyznać, iż nic nie wiem o tym, aby biskupstwo płockie zostało wykrojone z Krakowa. Wiemy z listu Grzegorza do króla, iż gorliwy papież narzeka na zbyt małą ilość biskupów w Polsce, ale nie wiemy pozytywnie, żeby Śmiały ufundował parę dalszych biskupstw, w tym wypadku słowiańskich, kosztem Krakowa, jeśli, jak na to usłowałem wskazać wyżej, papież wyraźnie mówi o *jednej* metropolii dla całego kraju, i biskupach, którzy jej mają podlegać. Nie mogliby zaś podlegać jednemu metropolie biskupi dwu obrządków, rządzący się odmiennym prawem i zwyczajami. Jeśli więc nawet Śmiały takie biskupstwa zakładał, to w żadnym wypadku nie spełniał woli papieża we wspomnianym liście wyrażonej, bo by tworzył jakąś drugą hierarchię. Nie widzę więc żadnego uzasadnienia na twierdzenie Autorki, że — z powołaniem się na wspomniany list — król rzekomo takie biskupstwa tworząc, spełniał wolę papieża i był jego kooperatorem „ad... aedificationem corporis Christi“: „w budowaniu (mystycznego) ciała Chrystusowego“, a więc Kościoła. W konflikcie między królem a biskupem istniał więc jakiś powód, dotąd nam nieznany, (jeśli ktoś chce odrzucać późniejszą tradycję w całości): ale, jak widzimy, z całą pewnością, wbrew twierdzeniu Autorki: w obrębie sytuacji przez nią samą konstruowanej biskup nie sprzeciwiał się papieżowi.

I teraz kilka zdań, które oczywiście nie mają żadnego waloru dla historyka, ale mają swój walor dla wierzącego katolika i stanowią granicę — powiedzmy — negatywną w tym zagadnieniu.

Św. Stanisław jest świętym, kanonizowanym po drobniogowym, żmudnym procesie, który, jak to wykazał w swej pracy ks. dr Lisowski, stanowi pewien etap w rozwoju kanonizacji. Kanonizował go Innocenty IV, papież wybitny, który był przy tym znakomitym prawnikiem; i kanonizował go jako męczennika. Kanonizacja jest aktem, angażującym nieomylnie Kościoła. Wynika z tego dla katolika wniosek prosty, że człowiek z inspiracji Ducha Świętego wyniesiony przez Kościół na ołtarze, na tę glorię sobie zasłużył przez heroizm swego życia; a męczennik w dodatku przez śmierć, poniesioną w obronie wiary lub jakichś szczególnych praw Kościoła. Otóż gdyby Stanisław — pomijając zarzut politycznej działalności spiskowej przeciw królowi — poniósł śmierć w materialnej obronie całości swej diecezji, ale występując przeciw wyraźnej woli papieża, objętym na dobro dusz, wtedy jego śmierć byłaby wyrokiem, mogłaby być zabójstwem czy nawet morderstwem, ale nigdy męczeństwem i nie tylko nie mogłaby zostać męczennikiem, ale wyznawcą. Jeśli papieżowi chodziło o diecezję słowiańską, to troska ta dotyczyłaby istoty powszechności Kościoła; a biskup nie biorący tego pod uwagę, nie tylko że sprzeciwiałby się woli pasterskiej papieża w sprawie zasadniczej, nie tylko dałby dowód braku osobistej świętości i dowód nieposłuszeństwa, ale by dowiódł, że nie posiada nawet zmysłu katolickiego. W tym wypadku mowy nie ma o analogii, co do niezawinionej pomyłki, jak powiedzmy u św. Wincentego Ferreri, który w kazaniach popierał antypapieża a lżył papieża; bo w czasach strasznego zamieszania schizmy zachodniej ludzkiej najlepszej woli zatracili orientację, kto jest papieżem, a kto antypapieżem.

VII

Autorka ma jeszcze niektóre dalsze argumenty ex post za swoją tezę. Pierwszy jest następujący — zapiska w roczniku kapitulnym krakowskim pod odpowiednią datą, że św. Stanisław „passus pro excidio et iniuria suae plebis“, umęczony

„w obronie swej diecezji przed ruiną i pokrzywdzeniem“. Tak tłumaczy dr Lanckorońska, osiągając w ten sposób poparcie dla swej tezy o oporze świętego przeciw pomniejszeniu swej diecezji.

Tylko... że taki przekład jest niedopuszczalny — nawet z powołaniem się na autorytet Du Cange'a. Jakże bowiem ma tutaj znaczenie słowo „plebs“?

W kanonie Mszy św., zaraz po Konsekracji, modlimy się: „Unde et memores, Domine, nos servi tui, sed et plebs tua sancta...“; „Przeto wspominając, Panie, że my służy Twoi oraz lud Twój święty...“ W Wielki Piątek modlimy się w oracji za papieża jako biskupa Rzymu i chrześcijaństwa: „Omnipotens sempiternus Deus, ...electum nobis Antistitem ... conserva; ut christiana plebs, quae te gubernatur auctore, ... credulitatis suae meritis augeatur“: „Wszchemogący, wieczny Boże... racz wybranego nam Pasterza zachować, aby lud chrześcijański za Twoją sprawą rządony, w zasługach swej wiary wzrastał“. Nie potrzeba mnożyć przykładów: „plebs“ znaczy przede wszystkim lud, wierni; ludność powierzona trosce duchownego zwierzchnika, papieża, biskupa, proboszcza, który ma ją prowadzić do Boga. W żadnym przekładzie nie należy sięgać po dalsze znaczenia, jeśli żadna obiektywna przyczyna znaczeniowa — językowa ku temu nie zachodzi. Tak i tu słowo to znaczy „lud“ a nie „diecezja“, albo „parafia“, choć i to są dalsze znaczenia tego słowa; ale i wtedy nawet ma to przede wszystkim znaczenie ludu na danym terenie, a nie geograficznego obszaru.

Już poprzednio w swej rozprawie Autorka miała to słowo „plebs“ w liczbie mnogiej, gdzie znaczy ono zespół ludności, podległej trosce biskupiej, a nie obszar diecezji. Jest to cytowany przez nią fragment listu Grzegorza VII: „...inter tantam hominum multitudinem adeo pauci sunt episcopi et amplae singulorum parochiae, ut in subiectis plebibus curam episcopalis officii nullatenus exequi aut rite administrare valeant“, a przełożony tak: (w Polsce) „wśród tak wielkiej ilości ludzi tak mało jest biskupów i tak obszerne ich diecezje, że nie są w stanie w zależnych od nich diecezjach wykonywać obowiązków biskupich oraz administracyjnych“, gdy chyba raczej należy tu widzieć sens taki: „...że wśród poddanego sobie ludu w żaden sposób podołać trosce biskupiego urzędu nie są zdolni ani należycie sakramentów udzielać“.

Wspomniana wyżej notatka rocznika kapituły krakowskiej o św. Stanisławie w swej dzisiejszej postaci, co Autorka podkreśla, pochodzi z czasów po kanonizacji. Trzeba mieć więc zaufanie, że ci ludzie wiedzieli co znaczy słowo, którego używali. Otóż w czasie kanonizacji powstała przecież także sekwencja o św. Stanisławie, a w niej czytamy — cytuję z pamięci, bo nie mam niestety brewiarza — że w swym sporze z królem święty „stat pro plebis iniuria“: „ujmuje się za krzywdę ludu“. Tu już nie ma wątpliwości, jak wtedy to słowo rozumiano w odniesieniu do św. Stanisława: Nie diecezji, lecz ludu bronił i o krzywdy ludu się ujmował. Zupełnie nie poruszam tu sprawy implikacji historycznej tego słowa i w sekwencji i w zapisie rocznikowej; ale widzimy chyba jasno, w jakim znaczeniu w obu tych wypadkach słowo „plebs“ jest użyte. — A więc i ten argument Autorki nie da się chyba utrzymać nawet filologicznie.

Następny dowód per analogiam ex post jest taki:

Polska ma drugiego biskupa, który zginął w walce o prawa swej diecezji, nawet tylko o dobra kościelne, i to o jedną wieś, przynależną do Kościoła płockiego: — a był uważany za męczennika. „Tym męczennikiem jest Werner, biskup płocki, który w roku 1172 został zamordowany na rozkaz Bolesły, kasztelana grodu Wizay“ (9). Kasztelan przejął bowiem z biskupem proces w eś Karsko. Następnie cytuję w wyciągu zaginionego dzieła Długosza o biskupach płockich o Wernerze: „Itaque cum pro libertate bonorum ecclesiae causam adversus Boleslam ... obstinisset, a vipereo genimine parricidarum sancti Stanislawi **parique ex contumelia ... trucidatus ... martyr miraculorum gloria refulsit**“. Co w przekładzie Autorki brzmi: „Gdy w obronie wolności dóbr kościelnych sprawę przeciwko Bolesławowi wygrał, (został) przez zmiłowego potomka ojczobójców św. Stanisława (i. e. Jastrzębców) dla takiego samego sporu (podkreślenie własne Autorki) zamordowany, męczennik chwałą cudów zajaśniał“.

Z pewnym zażenowaniem przystępuję do skomentowania powyższego rozdziału.

Najpierw — analogia, którą Autorka pragnęłaby tu wywołać w umyśle czytającego, w rzeczywistości nie istnieje. Bo co innego sprawa, że biskup Werner prywatnie „był uważany za męczennika“, a co innego, że św. Stanisław został za męczennika uznany przez Kościół. Wenera Kościół
 (Dokończenie na str. 30)

SŁOWA BOŻEGO UCZMY SIĘ NA PAMIĘĆ

W sierpniu każdego roku odbywają się w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim jedynotgodniowe wykłady dla duchowieństwa.

Tematem w roku 1956 było: „Pismo Święte w duszpasterstwie współczesnym”. W wykładach wzięło udział około 600 księży z całej Polski. Wygłoszone na zjeździe referaty zostały następnie opublikowane przez KUL w roku 1958. Jeden z nich zasługuje na szczególną uwagę. Ks. Alfons Billert, proboszcz małej parafii wiejskiej Fanianowo pod Gnieznem, dzieli się w nim swym pięcioletnim doświadczeniem nad wprowadzeniem znajomości Ewangelii w swojej parafii. Hasła, które w tym celu ogłosił, obwieszczały:

„W każdej rodzinie — obok krzyża i gromnicy — ma być Pismo Święte.”

„W każdą niedzielę czytamy je wspólnie w gronie rodzinnym.”

„Wszyscy bierzemy udział w konkursie biblijnym.”

Treść konkursu zmieniała się co roku. Więc, dla przykładu, treść konkursu I:

„Wskazać księgę, rozdział i wiersz pięciu podanych cytatów, zaczerpniętych z Ewangelii i Dziejów Apostolskich”. (W konkursie tym brała udział tylko młodzież pozaszkolna. Wpłynęło 49 rozwiązań.)

Konkurs II: „Wskazać, w których miejscach Nowego Testamentu znajdują się wyrazy: Jezus, Maryja, Józef, anioł, apostoł, prorok”. (Udział w tym konkursie wzięły starsze dzieci szkolne, młodzież pozaszkolna i rodzice w liczbie 161 osób. Uczestnicy otrzymali, w drodze losowania, nagrody książkowe.)

Konkurs III (dla dzieci) polegał na dosłownym opanowaniu pamięciowym niedzielnych i świątecznych Ewangelii na wszystkie dni roku liturgicznego. Za nauczenie się każdej dziecko otrzymywało jeden punkt. Na tablicy ogłoszeń podana była lista uczestników, którym co tydzień dopisywano zdobyte punkty. W konkursie wzięło udział kilkadziesiąt dzieci. Wszystkich tych wyjątków z Ewangelii nauczyły się trzy dziewczynki zdobywając w ten sposób po 120 punktów każda. Dwie następne uzyskały 100 i 97 punktów, a spośród chłopców najpilniejsi — 97 i 86 punktów. Zwycięzcy otrzymali nagrody książkowe. Ks. kardynał Wyszyński okazał duże zainteresowanie tymi konkursami.

Inicjatywa ks. Billerta zgodna jest z nauką Chrystusa i z praktyką Kościoła. Chrystus bowiem naucza: „Ten, kto Mnie miłuje, strzec będzie słowa Mego” (Jan 14, 23).

„Strzec słowa” — to w pierwszym rzędzie strzec go od zapomnienia, to stałe utrwalanie go i odświeżanie w pamięci. A praktyka Kościoła, oparta na pierwotnej tradycji, wynika z tego, że Pismo Święte, zanim w XV wieku skryło się za czarną farbę drukarską w ciężko opracow-

ne księgi, które następnie odkładano na półki, było do tego czasu szerzone słownie przez powszechne uczenie się go na pamięć, jako że manuskrypty należały do rzadkości. Dotąd jeszcze we francuskich szkołach katolickich dzieci uczą się Ewangelii niedzielnych na pamięć. W dawnej Polsce, przed zaborami, w niektórych szkołach zakonnych, było to również w zwyczaju. Skasowanie tych szkół i klasztorów przez władze zaborcze przerwało tę chlubną tradycję. Obecny nawrót do niej jest oczywiście wskazany.

Uczenie się jednak tylko wyjątków powinno być poprzedzone przez ogólną znajomość czterech Ewangelii. Już Leon XIII powiedział: „Bez Ewangelii niczego trwałego nie potrafimy zbudować. Wszystkie sposoby wybawienia, jakie proponowałem, czy to w walce z tajnymi związkami, czy w przebudowie społecznej, przewidują uprzednią znajomość Ewangelii...” „Macie wiele dzieł w swoim kraju, ale aby je ożywić, wszystkie wymagają znajomości Ewangelii...” A to powiedziawszy zachęcał do codziennego czytania Ewangelii w gronach rodzinnych i do wprowadzenia jej nauczania do szkół na wszystkich szczeblach rozwoju.

Św. Pius X powiada: „Jest wiele ksiąg nabożnych, ale żadna nie jest tyle warta, co Ewangelia. Oto jedyne dzieło rzeczywiście niezbędne, jedynie naprawdę skuteczne! Szerzyć Ewangelie to środek najpewniejszy do odrodzenia wszystkiego w Chrystusie!”

Minęło powyżej pół wieku, od kiedy te słowa zostały wygłoszone, a jednak w sprawie upowszechnienia znajomości Pisma Świętego tak mało się dotąd zrobiło. Wszak prawie jedna trzecia ludzkości wciąż nie zna Ewangelii! Dlaczego? O cóż się sprawa rozbija? Czemu inicjatywy, choćby takie, jak ks. Billerta, są odosobnione i w skali ogólnej trudne do urzeczywistnienia?

Bo Pismo Święte w tej formie, w jakiej nam dziś jest w przekładach podawane, nie nadaje się do łatwego zapamiętania. Uczenie się na pamięć ciężkiej prozy Wujkowej, stylem kronikarskim pisanej, jest trudem nie lada i wymaga długiego czasu i wprawy. Stąd pomysł ks. Billerta, w zasadzie najbardziej słuszny, niełatwy jest do rozpowszechnienia.

Na trudność tę już od czterdziestu lat wskazuje uczone i badacz, teolog i bibliista, twórca nowej gałęzi wiedzy, zwanej antropologią języka, którą wyklada w Sorbonie, ks. Marceli Jousse, S.J. Pismo Święte powstało, co do formy i czasu, na gruncie kultury oralnej, którą charakteryzuje specjalny układ rytmiczny jej utworów literackich, dzięki czemu przekazywały się one ustnie, i to jak najwierniej, z pokolenia na pokolenie w ciągu wielu stuleci. Więc także i Chrystus Pan głosił swą naukę ustnie, w sposób rytmiczny, by dzięki temu została zapamiętana na zawsze. Przekłady na obce języki, dbające tylko o treść, a nie o formę,

zniszczyły rytm — ten istotny wehikuł jej rozpowszechnienia. Jousse ubolewa nad tym i wykazuje w swoich dziełach, jaki był rytm w Ewangelii aramejskiej, jak on się przejawia w Ewangelii pisanej po grecku i jak go należy zachować w przekładach na obce języki.

Drugi powód trudności, jakie się nastroczą w przyswajaniu sobie tekstów ewangelicznych, to fakt istnienia aż czterech Ewangelii. Już od drugiego wieku począwszy podejmowano wielokrotnie starania o zharmonizowanie wszystkich czterech tekstów razem. Czyniono to jednak w sposób niezbyt dokładny i chaotyczny. Obecnie zostało to po raz pierwszy dokonane według zaaprobowanej przez Jerozolimską Szkołę Biblijną nowej metody dbającej o to, by żaden wyraz z Ewangelii nie został pominięty. Tekst zaś przełożono prozą rytmiczną, ujętą w wiersze i strofy według wskazówek Jousse'a, co nawiązuje do aramejskich katechez ustnych, które tak łatwo wpadały w ucho i — utrwalone w pamięci — przechodziły z ust do ust. Nowy ten układ, mimo uzyskanego w Rzymie „nihil obstat” nie ukazał się jeszcze w druku. Podany poniżej końcowy z niego wyjątek — o Zesłaniu Ducha Świętego — jest pierwszą próbą udostępnienia go szerszej opinii publicznej.

Dodać tu należy, że i francuski sposób uczenia jedynie Ewangelii niedzielnych i świątecznych tylko częściowo przybliżył do celu. Jest on tylko zaledwie namiastką, nadbudówką, nie sięga gruntu. Urywki te bowiem, gdy są wyrwane z całości, tracą swój związek organiczny z życiem Chrystusa, przedstawionym w Ewangelii, a pomieszenie ich ogólnie tworzy chaos. Dalekie to jest od prawdziwego poznania Ewangelii, które jest przecież poznaniem Chrystusa. Jeśli możliwie najwcześniejszą osiągniemy znajomość Ewangelii, zbędne się stanie wówczas uczenie się na pamięć tzw. perykop, gdyż znane już będą wszystkie i to we właściwym kontekście.

Niechże proste a piękne słowa Ewangelii utrwalają się nam w pamięci, jak zachęcają nas do tego papieże. Potrzebę SŁOWA Bożego, konieczność przyswajania Go sobie odczuwamy zresztą coraz silniej. Im bardziej komplikuje i wikła się życie, tym wyraźniej uświadamiamy sobie, że zbyt daleko odeszliśmy od prostych wskazań Ewangelii i że to w nich właśnie trzeba szukać podstaw odrodzenia. Być może teksty, które tu podajemy ułatwią nam zadanie: przyjęcia Chrystusa w postaci SŁOWA ŻYWEGO!

Seweryn Leszczyc-Grabianka

Na stronie następnej — wyjątek O Zesłaniu Ducha Świętego z pracy S. L. Grabianki „Harmonia - synopsa czterech Ewangelii”. Tłumaczenie a także i układ zostały uzgodnione z tekstem greckim przez dr. teol. J. B. Paściaka O. P., profesora greki biblijnej w „Angelicum” w Rzymie. Komentarze do tekstu ukazały się w wydaniu książkowym.

Zesłanie Ducha Świętego

Dz. 2, 1-4

A kiedy nastał dzień pięćdziesiątnicy,
wszyscy w tym samym zebrali się miejs-
scu.

Wtem dal się słyszeć szum z nieba,
jak gdyby wichru bardzo gwałtownego,
i szum ten napełnił dom cały,
w którym przebywali.

I ukazały się im — na kształt ognia —
języki, te zaś się porozdzielały,
aby na każdym z nich spocząć z osobna.

I wszyscy Duchem Świętym
zostali napełnieni!

I poczęli mówić obcymi językami,
tak jak udzielał im mowy Duch Święty.

Dz. 2, 5-13

W Jeruzolimie mieszkali podówczas
pobożni żydzi, przybyli
ze wszystkich krajów pod słońcem.

Gdy się więc szum ten dal słyszeć,
zbiegły się tłumy ogromne.

I osłupiały!

Mógł bowiem każdy słyszeć ich
mówiących
w narzeczu swoim własnym.

Nie posiadając się tedy z podziwu
zapytywali w rozterce:

„Nie sąż ci wszyscy, którzy przemawiają,
Galilejczykami?”

Jakże więc każdy z nas słyszy
swą własną mowę ojczystą?

„Partowie, Medowie i Elamici,
mieszkańcy Mezopotamii,
Judei i Kapadocji,

„Pontu i Azji, Frygii i Pamfilii,
Egiptu jak też owych części Libii,
co sąsiadują z Cyreną,

„Rzymianie tu przebywający,
tak Żydzi jak prozelici,
i Kreteńczycy, i Arabowie —

„W jakież to sposób słyszymy,
jak wychwalają wielkie sprawy Boże
we własnych naszych językach?!”

Wszyscy się więc zdumiewali,
a nie znajdując wyjaśnień
pytali jeden drugiego:

„Cóż to ma znaczyć?”

Inni zaś rzekli w śmiech rzecz obracając:
„Winem się miodym upili!”

Dz. 2, 14-36

Lecz na to powstał Piotr,
a z nim też jedenastu,
i mocnym głosem przemówił:

„Mężowie żydowscy, jak też wy wszyscy
przebywający (tu) w Jeruzolimie!
Chce, byście o tym wiedzieli!
Dajcie więc posłuch mym słowom!

„Ci ludzie nie są — jak to mniemacie —
pijani,
choćby dlatego, że mamy dopiero
dziewiątą godzinę z rana.

„Ale wypełnia się tutaj,

to co był prorok Joel przepowiedział:

„Stanie się w dni ostateczne —
powiada Pan —
że na każdego z żyjących
wyleję Ducha mego,

„Tak iż synowie wasi i córki
wygłaszać będą prorocтва,
młodzieńcy widzenia mieć będą,
a starcom dziwy ukażą się we śnie.

„Pomiędzy me sługi i służebnice
rozdzielię łaski Ducha mego
i sprawię cuda wysoko, na niebie,
a nisko, na ziemi — znaki.

„Słońce obróci się w ciemność, a księżyc
— w krew,
zanim nadejdzie ów wielki DZIEŃ
PANSKI.

Lecz każdy, kto wezwie imienia
Pańskiego,
zbawiony będzie!
(Joel 3, 1-5)

„Mężowie izraelscy!
Słuchajcie, co wam powiem:

„Bóg dal wam poznać Jezusa z Nazaretu
przez cuda, dziwy i znaki,
jakie przez Niego czynił między wami,
co sami dobrze wiecie.

„On zaś — ponieważ Bóg tak postanowił
i z dawna przejrzał — wydany został
i wyście go (sami) zgładzili,
do krzyża przybijając
rękami bezbożników!

„Ale Bóg wskrzesił Go zdjawszy zeń
więzy,
jakie Nań śmierć nałożyła,
jako że było rzeczą niemożliwą,
by śmierć Go trzymała w swej mocy!

„O Nim to bowiem rzekł Dawid:

„Stale mam Pana przed mymi oczyma,
gdyż stoi po mojej prawicy,
ażebym ja się nie zachwiał.

„Więc się weseli me serce
i język mój radość opiewa,
a nadto i ciało me spocznie w nadziei —

„Bo nie zostawisz MEJ DUSZY
w otchłani
i nie dozwolisz, ażebym TWÓJ ŚWIĘTY
zgnilizną został skażony!

„Któryś mi drogi żywota objawił,
Ty mnie napełniesz błogością
Swej obecności!... (Ps. 16, 8-11)

„Pozwólcie mi tedy, bracia,
o patriarsze Dawidzie
powiedzieć wam bez ogródek,
że umarł i został pogrzebion —

„Bo i grób jego dochowwał się u nas
po dzień dzisiejszy.

„Lecz będąc prorokiem i wiedząc,
że Bóg pod przysięgą mu przyrzekł,
że jeden z jego potomków
na tronie jego zasiądzie — (Ps. 9,4;132,11)

„w widzeniu proroczym powiadał
o zmartwychwstaniu Chrystusa,
który istotnie: nie pozostał

w otchłani
i ciało Jego: nie uległo zepsuciu!

„Tegoż Jezusa Bóg wskrzesił,
czego my wszyscy jesteśmy świadkami!

„Prawicą Bożą uniesion,
otrzymał od Ojca Ducha Świętego,
którego był Mu obiecał,
i oto wylał Go na nas
jako widzicie i słyszycie sami!

„Bo Dawid, chociaż nie wstąpił do nieba,
a jednak on-że powiada:

„Rzekł Pan do Pana mego:
„Usiądź po Mojej prawicy,
aż nieprzyjaciół Twoich
podnóżkiem nóg Twych uczynię!

„Niechże więc cały dom Izraela
wie z niewzruszoną pewnością,
że tego właśnie Jezusa,
któregoście ukrzyżowali,
Bóg ustanowił Panem i Chrystusem!”

(Ps. 110, 1)

Dz. 2, 37-41

A kiedy to usłyszeli,
załem serdecznym przejęci,
pytali Piotra i innych apostołów:
„Cóż mamy, bracia, uczynić?”

„Pokutę czynicie!” Piotr odrzekł.

„Na odpuszczenie zaś grzechów
niechaj się każdy z was ochrzczi
w imię Jezusa Chrystusa,
a otrzymacie dar Ducha Świętego.

„Bo Obietnica do was się odnosi,
jak też do dzieci waszych,
i do tych wszystkich, którzy stoją z dala,
ilu ich tylko Pan Bóg nasz (Iz. 57, 19)
powołać raczy. (Joel 3, 5)

I wielu innymi słowami
zachęcał ich Piotr i zaklinał,
ażebym spośród pokolenia tego —
tak przewrotnego — siebie ratowali!

Ci zatem, co słowa jego przyjęli,
zostali (wtedy) ochrzczeni
i dnia owego przybyło
dusz trzy tysiące mniej więcej.

Dz. 2, 42-47; 4, 32

I trwali oni gorliwie
w nauce apostoelskiej,
wierni łączności braterskiej,
łamaniu Chleba, modlitwom.

Każdy z nich bojaźń czuł w sercu
z powodu wielu cudów, i znaków
przez apostołów czynionych.

Całe to mnóstwo wierzących
tworzyło jedną rodzinę
(i) miało jedno serce,
i jedną miało duszę.

A nikt z nich swego mienia
swoim nie nazywał
i mieli wszystko wspólne.

Sprzedając swe posiadłości i rzeczy
opatrywali mieniem każdego
stosownie do jego potrzeb.

Co dzień w świątyni trwali jednomyślnie,
a łamiąc Chleb po swych domach
uczestniczyli w posiłkach
sercem radosnym i prostym.

Gdy więc tak Boga wielbili,
lud cały darzył ich swoim uznaniem,
a Pan codziennie pomnażał ich liczbę
tymi, co mieli dostąpić zbawienia.

Dz. 4, 33; Mk 16, 20

Apostołowie przemożnie świadczyli
o zmartwychwstaniu Pana Jezusa
i wszyscy wielką cieszyli się łaską.

Ci tedy poszli, aby wszędzie kazać.

A Pan im dopomagał
i słowo ich potwierdzał
przez cuda w ślad za nim idące.

ROZWAŻANIA O HISTORII EUROPEJSKIEJ (1)

Gdyśmy w roku 1950 przestępowali do opracowania programu Kolegium Europejskiego, wyłoniła się dyskusja, czy ma on też obejmować historię.

Od razu podniosły się sprzeciwy. „Przecież — tak mówili przeciwnicy — w sensie ścisłym 'historia europejska' nie istnieje, podobnie jak nie może istnieć jakaś chemia europejska. A dalej: czy mamy zastępować jeden nacjonalizm jeszcze gorszym nacjonalizmem? To znaczy: niebezpieczny nacjonalizm historyczny, jaki się przejawia w podręcznikach poszczególnych krajów — nacjonalizmem znacznie bardziej groźnym i na jeszcze większą skalę, bo nacjonalizmem europejskim?”

W ich więc pojęciu historia obejmuje z jednej strony studium poszczególnych narodów, a z drugiej — studium całej ludzkości.

Natomiast zwolennicy historii europejskiej obstawali przy tym, że trzeba co najmniej uczynić wysiłek w kierunku odnalezienia śladów tego, co w przeszłości było wspólne dla wszystkich ludów całej Europy. Podkreślano przy tym, że kryterium musi mieć charakter czysto naukowy. Ze nigdy polityczna chęć przekroczenia granic narodowościowych nie może sprawić, byśmy mieli naginać historię do względów doktrynalnych, chociażby były jak najbardziej usprawiedliwione. Czyli, mówiąc inaczej: ta historia Europy, jaka się ma wyłonić z naszych badań, będzie miała wartość tylko przez swoje osiągnięcia obiektywne.

I oto teraz, po ośmiu latach, ogłosiliśmy pierwszy tom tego co powinno być stać się prawdziwą „Historią Europy”. Tom ten pod tytułem: „Pochodzenie cywilizacji europejskiej” usiłuje nakreślić naszą wspólną ewolucję aż do czasów wypraw krzyżowych. Na początku zawiera kilka rozważań o charakterze ogólnym.

Najpierw oczywiście powstaje kwestia, w jakim stopniu nauka humanistyczna, wszystko jedno jaka, może sobie rościć pretensje do „obiektywności”? W jakim stopniu można ją porównać z obiektywizmem nauk przyrodniczych? W jakim stopniu dyscyplina humanistyczna może mieć ambicję do wykrywania tzw. praw absolutnych, które rzekomo rządzą procesami przemian zbiorowych? A szczególnie: w jakim stopniu historia może mieć swoich Newtonów, czy Einsteinów, swoich wielkich filozofów naukowych, którzy raz na zawsze odkrywają funkcjonowanie przebiegu zjawisk i ich przyczyn ukrytych.

Wyznaję, że w tej dziedzinie jestem — nie sceptykiem, ale ostrożnym i bardzo powściągliwym. Zważywszy wszystko, nie wierzę, aby można było wytlumaczyć ewolucję historyczną przy pomocy jakiejś jednej przyczyny. Historii nie roz-



Hendrik Brugmans jest synem profesora historii na uniwersytecie w Amsterdamie. Wykształcenie średnie „europejskie” — w Holandii i Francji. Studiuje francuski, język i literaturę w Amsterdamie i Paryżu; przewodniczy kołu francuskiemu studentów w Amsterdamie; broni tezy doktorskiej (cum laude): „Georges de Porto-Riche, sa Vie, son Oeuvre”; zostaje profesorem języka francuskiego w Arnhem, Terneuzen i Amersfoort.

Zainteresowany sprawami socjalnymi (w Paryżu: socjalistyczny ruch akademicki i współpraca w piśmie „L'etudiant Socialiste”), obejmuje przewodnictwo Instytutu Oświaty Robotniczej w Holandii, współdziałając z podobnymi inicjatywami w innych krajach Europy; co roku bierze udział w „Konferencjach w Pontigny” w sprawie oświaty ludowej. W r. 1939 zostaje posłem do parlamentu z partii socjalistycznej; jest przeciwnikiem kapitulacji monachijskiej i postawy neutralnej wobec agresji niemieckiej.

W czasie wojny Brugmans był aresztowany przez Gestapo w r. 1942 i przetrzymany 2 lata jako zakładnik w obozie St. Michielsgestel. Po zwolnieniu w r. 1944 działał w ruchu podziemnym, w grupie „Je Maintiendrai”; w marcu 1945 przedostaje się jako kurier do rządu holenderskiego w Londynie.

Po wyzwoleniu został komisarzem informacji, później sekretarzem politycznym premiera. Jeździł z misjami politycznymi do Syjamu i Indonezji.

Od roku 1946 Brugmans bierze czynny udział w europejskim ruchu federalnym. Jest pierwszym przewodniczącym Unii Europejskich Federalistów (VEF), a dzisiaj jest przewodniczącym rady Europejskiej Akcji Federalnej (AEF). Jest twórcą i redaktorem Kolegium Europejskiego w Bruges, ponadnarodowej instytucji studiów europejskich.

Prace prof. Brugmansa: „Crisis et Vocation de l'Occident” (1951, jego książka najważniejsza); „La Cité Européenne”; „Panorama de la Pensée fédéraliste” i „Denis de Rougemont et le Personnalisme française”; „La Littérature française contemporaine” i in. Obecnie z zespołem Kolegium pracuje nad książką „Introduction à une Histoire Européenne”.

biera się na cząstki, aby wreszcie dojść do jakiejś jednej siły napędowej, jedynej sprężyny wszystkiego. Oczywiście, można stwierdzić, że w takiej a takiej części świata — w Europie na przykład — ludzkość przeżyła pewną ilość kolejnych faz i że każda z tych faz trwała parę stuleci. Tak np. w ciągu wieków średnich nasze społeczeństwo — zrazu o charakterze głównie agrarnym — przemieniło się w społeczeństwo mieszczańskie, w którym miasta stanowią potęgę ekonomiczną i polityczną o coraz większym znaczeniu. A dodajmy dwie rzeczy: pierwszą, że pojawienie się mieszczaństwa jest zjawiskiem poza Europą niemal że nie występującym. Po drugie zaś, że temu zjawisku towarzyszą wielkie odkrycia naukowe, ogromny rozkwit kulturalny i nasilenie dążeń demokratycznych. Jest rzeczą jasną, że mamy tu proces formowania się historycznego, którego pewne objawy można analizować oddzielnie, lecz który jednak tworzy pewną całość jednorodną.

Ale czy w tej jednorodnej całości można się doszukać jakiejś jednej przyczyny, która by wyjaśniła cały ten zespół zjawisk i faktów? W tej chwili tylko mimochodem chcę zauważyć, iż rzeczywiste życie historyczne wydaje mi się zbyt nieskończenie złożone, aby je można było zredukować do gry pewnych anonimowych i ogólnikowych sił społecznych. Twierdzenie np., że wszystko sprowadza się do odwiecznej walki klas i że ta walka ma być jedyną siłą postępującą działającą w naszych społeczeństwach, jest tworzeniem dowolnego uproszczenia, które umysłu nie oświeca, lecz czyni go jałowym.

W istocie zaś rzetelne studium jakiegokolwiek okresu historycznego ukazuje coś zupełnie innego niż walkę klas, jako rzekomą klucz do zrozumienia wszystkiego. Nie ulega wątpliwości, że historia zna walki socjalne i że przeto można się nimi zajmować ze szczególną uwagą, podobnie jak inni uczeni mogą ze szczególną uwagą badać jakiejś inne zjawiska. Ale wydaje mi się przesadą twierdzenie, że tylko tu jest jedyna rzeczywistość historyczna. To przesąd, którego nic nie usprawiedliwia; bezpodstawny dogmat, a nie wynik rzetelnej analizy. Jest zresztą rzeczą zupełnie możliwą, iż rację miał Tucydides, który blisko 2400 lat temu uważał tzw. po grecku „stasis”, to jest walkę klas, nie za element życia, ale za znak społecznego rozkładu i dekadencji...

Zostawmy na razie tę sprawę na uboczu. Odłożmy także nieco rozważanie pojęcia „postępu”. Oczywiście trzeba je będzie omówić koniecznie. Tyle w nim bowiem niejasności, skoro je tylko wyrwać z dziedziny propagandy i szermowania wielkimi słowami. Wróćmy jednak teraz do problemu obiektywizmu w historii.

Nie sądzimy, aby w naukach humanistycznych można było dochodzić do wniosków tak samo ścisłych jak w naukach przyrodniczych. Wystarczy wskazać choćby na powód natury praktycznej:

*) „Collège de l'Europe” w Bruges (Belgia).

**) Introduction à une Histoire Européenne”, I tom: „Les Origines de la Civilisation Européenne”, 1957.

mianowicie nauki przyrodnicze mogą się posługiwać doświadczeniami, a historykowi nie przysługują ani takie prawo ani taka możliwość. Chemik może swoje doświadczenie powtarzać dowolną ilość razy. Natomiast historyk staje przed przeszłością, która przeminęła definitywnie. Całe jego poznanie ogranicza się do tego, co inni zechcieli mu powiedzieć. A przecież wiemy, że ci „inni“, to istoty ludzkie takie jak my, to znaczy stronnicze, świadomie lub nieświadomie zaangażowane w osąd wydarzeń, w których uczestniczyli nie rozumiejąc ich, lub... rozumiejąc aż nadto dobrze, a zawsze tłumacząc je na swój sposób.

Rzecz to pasjonująca, ale według mego zdania złudna, jeśli ktoś gromko twierdził: „Oto jak się rzeczy dokonały naprawdę! Teraz już rozumiem wszystko! Już znalazłem klucz!“ Przeciwnie. Jedną z naczelnych zalet historyka musi być powściągliwość i pokora. A drugą — wyobraźnia, która polega na umiejętności zrozumienia innych ludzi, ludzi, których od nas dzieli przestżeń stuleci. Tak np. nikt nie może sądzić wieków średnich przy pomocy pojęć nowoczesnych, których umysł człowieka średniowiecznego by nie mógł ogarnąć. Dogmatyzm i anachronizm — oto dwaj najwięksi wrogowie historyka.

Nie znaczy to wcale, że możemy mówić byle co i że nic nie jest ani prawdziwe, ani fałszywe, gdyż wszystko rzekomo da się wybronić i równocześnie nie da się wybronić. Przeciwnie. Nasze zrozumienie historyczne wzrasta w miarę jak upływa czas. Weźmy jako przykład wielką rewolucję francuską. Oto nie tylko jesteśmy dziś daleko lepiej poinformowani o faktach niż przed stu laty, ale również nasz sąd jest bez wątpienia sprawiedliwszy. Naturalnie to ogromny przedmiot, który będzie nas zawsze fascynował i nigdy ostatniego słowa nie da tu się powiedzieć. Niezaprzeczalnie zdobyliśmy jednak bardziej zrównoważoną wizję. Już nie tak naiwną jak ta, którą mieli sto lat temu romantycy, a mam na myśli Micheleta, lub liberalni konserwatyści w rodzaju Thiersa i Migneta.

Jeśli chodzi o nasze badania, przyświeca nam cel docierania do pełniejszej prawdy. Nie głosimy, że europejska koncepcja naszej historii daje klucz do wszelkich problemów. Ale utrzymujemy, że nasze ujęcie pozwala lepiej zrozumieć pewną rzeczywistość. To wszystko — ale dla nas — to ogromnie wiele.

Z kolei należy wyjaśnić, co rozumiemy pod „europejską koncepcją“ naszej historii. Odpowiemy na to pytanie mówiąc najpierw czym ona nie jest i czemu się przeciwstawia.

A przeciwstawia się, po pierwsze, teorii tych, którzy utrzymują, że Europa to tylko pojęcie geograficzne, i że stanowi ją wyłącznie suma narodów, które w skład jej wchodzi. Po drugie zaś, przeciwstawia się tzw. doktrynie światowej — „mondialnej“, której zwolennicy chcieli by już odąd pisać historię całego rodzaju ludzkiego.

Musimy się nieco zatrzymać przy tej podwójnej antytezie. Jest chyba faktem, że żaden historyk nie może opisać tego, co się jeszcze nie stało. To twierdzenie jest aż banalne w swej oczywistości. Bo postawmy sobie proste pytanie: czy do

naszych czasów istniała historia świata? Czy rozgrywała się w skali całego globu? Odpowiedź może być tylko jedna: nie! Obecnie — tak. Obecnie istnieje wspólnota losów wszystkich narodów całej planety! Obecnie decyzja, która zapada w Waszyngtonie czy w Moskwie, wpływa bezpośrednio na życie i wolność wszystkich. Lecz jest to zjawisko całkiem świeże. Jeszcze w XVIII wieku podróżnicy europejscy wykrywali szczepy, odkrywali cywilizacje mniej lub więcej prymitywne, które nigdy dotąd nie weszły w żaden kontakt z nami. Oczywiście nie wchodzi w to, czy to dla nich było lepiej czy gorzej. Dopiero dzisiaj — jak to głosił Paul Valéry — „zaczyna się okres świata skończonego“, to znaczy — w przeciwieństwie do tego, co było kiedyś — dzisiaj odczuwamy wszyscy wzajemną solidarność.

Czy można napisać historię uniwersalną, powszechną, która by obejmowała równocześnie Europę, Chiny, cywilizacje amerykańskie, indyjskie sprzed czasu odkrycia Kolumba, a Islam? Rzecz ta wydaje mi się niemożliwą. Bo gdzie nie było wspólnoty losów, tam nie ma się prawa pisać, jakby ta wspólnota istniała.

Oczywiście, nikt np. nie przeczy, że pomiędzy Chinami a Europą istniały związki gospodarcze i kulturalne w okresie średniowiecza. Ze piękne damy tamtych czasów, które stroiły się w szaty z jedwabiu, wiele by straciły ze swoich urrek, gdyby karawany kupieckie nie ciągnęły poprzez Azję Środkową pod osłoną władz mongolskich. Jednakże Chiny to cywilizacja, która ma swoją własną historię. A imperium mongolskie („imperium stepowe“, jakby się wyraził René Grousset) ma również swoją własną historię. Europa posiada trzecią, Indie czwartą — i tak dalej. Każdą zaś musi się badać według jej własnych praw wewnętrznej rozwoju. Bo przecież nikt nie rozumie potęgi mongolskiej, jeśli sobie nie przypomni, że jej podstawę stanowiło koczownictwo. Nikt też nie rozumie kultury chińskiej, opartej o rodzinę, jeśli nie będzie sobie zdawał sprawy z warunków geograficznych, wytworzonych przez wielkie rzeki to przynoszące żyźność, to znowu zniszczenie. Ani nie pojmie Europy ten, kto nie uwzględni faktu jakby wszechobecności morza w przebiegu jej historii.

Tak więc patrzmy na ludzką jak na grono cywilizacji; cywilizacji nie zamkniętych, ale różnych. Lecz czy nie można by przynajmniej powiedzieć, że pomimo swoich różnic, wszystkie te kultury przeżywały w pewnym przybliżeniu te same stadia ewolucyjne? Czy można by twierdzić na przykład, że wszędzie na całym globie ziemskim, po ustroju opartym na niewolnictwie, następował feudalizm; a następnie (i to wszędzie), że po feudalizmie przychodził najpierw kapitalizm handlowy i rzemieślniczy, a potem przemysłowy i bankierski? Nie, nie podobnego. Weźmy oto jedno z najbardziej uderzających zjawisk naszej historii europejskiej: narodziny burżuazji po miastach, z jej narastającym bogactwem i silnym dążeniem do samorządu. Czy jest prawdą, by analogiczny rozwój wystąpił gdzieindziej? Absolutnie nie. Tylko z największą ostrożnością można porównywać schemat euro-

pejski z rozwojem wydarzeń poza Europą. Nie orzekamy wcale, czy to jest dobre, czy złe. Mówimy tylko, że tak jest i że przeto historyk musi to brać pod uwagę.

Przystępujemy teraz do drugiego pojęcia, które wydaje się nam błędne. Mianowicie do owego patrzenia na Europę — jako na zespół wyodrębnionych, odizolowanych narodów. I tutaj również musimy wysunąć bardzo poważne zastrzeżenia.

Pierwsze jest takie: oto gdyby historia Europy miała się pokrywać z historią pewnej liczby narodów, wtedy zaiste byłaby to historia bardzo niedawna. A to dlatego, że państwa narodowe w postaci jeszcze do niedawna nam znanej, stały się rzeczywistością zaledwie od kilku wieków; w pewnych zaś wypadkach, nawet od kilku pokoleń. Niemcy i Włochy stanowią jedność polityczną od mniej niż jednego stulecia; a ruch, który zmierzał do scalenia tych krajów w całość narodową, liczy zaledwie półtora wieku. Twierdząc więc, że w tych krajach historia miałyby się liczyć dopiero od owych wydarzeń, odcinalibyśmy od naszej przeszłości jakże bogate doświadczenia, treści i przeżycia.

Drugie zastrzeżenie jest jeszcze ważniejsze.

Nasze rozmaite narody charakteryzuje nie to, co mają w sobie osobliwego i w przeciwstawieństwie jeden do drugiego, lecz zwłaszcza to, co mają ze sobą wspólnego, a z czego w pewien sposób żyją. Oczywiście można zestawiać schematy tego, co się nazywa charakterem narodowym i wyłonić jakiegoś „wieczystego Niemca“, czy jakiegoś „Francuza poprzez wszystkie wieki“. Byłaby to jednak co najmniej przesada. Owszem, można określić obrazy „wieczystej kobiecości“, bo kobieta istniała już w raju, ale w raju... nie było „wieczystych“ narodów.

Zresztą przypatrzmy się tylko obrazom, które sobie urabiał jeden naród o drugim, lub o sobie samym, na przestrzeni wieków! Anglik: ma być pragmatystą, uznaje tylko fakty, nie ufa teoriom, jest dobrotliwym gentlemanem i wykazuje wielkie poczucie humoru. Czyżby? I zawsze tak było? Bo z całą pewnością ten obraz nie był wymalowany w czasie purytańskiej rewolucji Cromwella, kiedy to — całkiem przeciwnie — Anglicy mogli tylko sprawić wrażenie fanatyków i królobójców. Mówią nam też, że Anglik to człowiek, który panowanie nad sobą i samokontrolę ma stawiać ponad wszystko. Czyż z kolei tej etykiety nie wynaleziono raczej dopiero w XIX wieku, za panowania królowej Wiktorii? Bo na przykład po przywróceniu monarchii, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XVII w. Londyn uchodził za najbardziej frywolne miasto w całej Europie.

Nie chciałbym przeczyć faktowi, że istnieją pewne stałe cechy narodowe. Ale nie godzę się, aby miały charakter absolutny, raz i na zawsze ostateczny, niezmienny i wieczny. Kto na przykład w wieku XVII mógł przypuścić, że Szwedzi, tak bezwzględni w sposobie prowadzenia wojen, staną się kiedyś ludźmi jak najbardziej pokojowo usposobieni? A kto — mniej więcej w tym samym czasie — mógł się domyślić, że z wszystkich na-

rodów właśnie Holendrzy pobiją kiedys wszystkie rekordy w pijaństwie?

I wreszcie trzecie zastrzeżenie, które, jak mi się wydaje, ma znaczenie decydujące: oto wszystkie narody europejskie mają charakter rodziny. Z braku należytego dystansu możemy nawet tego faktu nie dostrzegać. A jednak tak jest. Wyjędźmy tylko z Europy, a Europejczycy ukażą się nam z oddali jako zbiorowość jednorodna. I nie trudno to wytłumaczyć: oto bowiem Europejczycy dziedziczą wspólnie to wszystko, co jest dla nich istotne. W pewien sposób wszystkich uformowała ta sama szkoła. Owszem, pewne rzeczywiste różnice i odcienie istnieją, ale są stosunkowo mało znaczące. Gdyż wszyscy Europejczycy karmili się tymi samymi tradycjami kulturalnymi i duchowymi. Przechodzili wszyscy przez niemal te same doświadczenia i w istocie rzeczy wszyscy reagowali na nie mniej więcej w ten sam sposób. Ich spory rodzinne, jakkolwiek nieraz burzliwe, nie przekreślają faktu istnienia tej rodziny. A być nawet może, że go tylko dowodzą.

Na zakończenie powiedzmy choć słowo o tym, co można by nazwać terminem „Europa poza Europą“. Wszyscy dobrze wiemy, że żeglarze europejscy począwszy od XV wieku stworzyli wielki ruch odkrywczy, obejmujący cały ziemski glob: że Europejczycy skolonizowali i za paroma nawrotami zaludnili inne kontynenty. W tej chwili nie mam zamiaru dokonywać moralnej oceny wszystkich tych imprez. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że jakkolwiek się rzeczy miały, ten okres wielkich odkryć zmienił oblicze ziemi i że jego niezamierzonym skutkiem było rzucenie podstawy pod zjednoczenie świata.

Zastanówmy się nad jedną rzeczą: czy ta „Europa poza Europą“, jaką widzimy w Ameryce Północnej, w Australii, w Afryce Południowej, w Nowej Zelandii i w całej Ameryce łacińskiej — jest jeszcze Europą? Oczywiście, nie jest nią geograficznie; to jasne. A jednak jest Europą — i to pod wielu względami, gdyż mieszkańcy tych stron świata czują się z nami związani swoim pochodzeniem. — Nie mam tu na myśli głównie pochodzenia rasowego, ale kulturalne. Europejczyk, który zetknie się na przykład z Amerykanami ze Stanów Zjednoczonych, lub Brazylijczykami, odczuwa z jednej strony pewną podstawową wspólnotę, a z drugiej pewną obcość. Jest to coś podobnego do tego, co musiał odczuwać Ateńczyk epoki Peryklesa, zetknąwszy się z mieszkańcem „Wielkiej Grecji“, to znaczy Sycylii lub Południowych Włoch. Nie ulega wątpliwości, że warunki i okoliczności życia historycznego, które wpływają na Amerykanina, różnią się od naszych. On się kształtuje w wielkich przestrzeniach, których my nie mamy. Jednakże pokrewieństwo istnieje. I w chwili obecnej powstaje nawet zagadnienie, czy nie jesteśmy świadkami, jak oto rodzi się nowa cywilizacja: cywilizacja Wielkiej Europy atlantyckiej.

Ale — jak mówił Kipling — „to jest już całkiem inna historia“...

(C. d. n.)

Hendrik Brugmans

Tłum. J. T.

ST. CZECHANOWSKI

NIEMCY NA ZAKRĘCIE?

Prezydenta NRF wybiera na lat pięć powołane ad hoc Zgromadzenie Narodowe, złożone z posłów Bundestagu i z takiej samej ilości elektorów wyznaczonych systemem proporcjonalnym przez sejmny poszczególnych krajów Rzeszy. Ten sam prezydent nie może być wybrany po raz trzeci z tego powodu nie jest możliwy ponowny wybór prof. Teodora Heussa.

Zakres kompetencji konstytucyjnych prezydenta republiki niemieckiej jest niewielki. Prof. Heuss zdołał jednak urządzić o charakterze raczej symbolicznym wypełnić treścią moralną wykraczającą znacznie poza ramy formalno-reprezentacyjne. Dzięki swemu autorytetowi wpływał twórczo na politykę państwa. Wyrazem szacunku, jakim się cieszył, był fakt, że w roku 1949 wybrany został większością głosów stronnictw rządowych, a w roku 1957 jednogłośnie. Tak samo jednogłośnie wypadłby wybór po raz trzeci, ale prof. Heuss odmówił zgody na zmianę odnośnego przepisu konstytucyjnego, sprzeciwiając się ze względów zasadniczych naruszeniu ustawy pod kątem personalnym. Chodziło tu o umacnianie zasad demokracji parlamentarnej. Przebieg przedwyborczej kampanii o kandydata na urząd prezydenta republiki wskazuje, na jak kruchych podstawach opiera się system parlamentarno-demokratyczny, pozbawiony tradycji w Niemieckiej Republice Federalnej.

Decyzja socjaldemokratów wysunięcia kandydatury prof. Carlo Schmid, postaci niezwykle popularnej, utraciła automatycznie projektowaną kandydaturę dr. Henryka Krone, przewodniczącego chrześcijańsko-demokratycznej frakcji parlamentarnej. Poszukując kandydata odpowiedniego kalibru, liderzy CDU wysunęli osobę prof. Ludwika Erharda, wicekanclerza i ministra gospodarki. Mimo poparcia kanclerza Adenauera, frakcja parlamentarna partii stanęła na stanowisku, że nie należy rezygnować z czynnego uczestnictwa Erharda w rządzie i partii.

Zmudne poszukiwania przerwała 7 kwietnia wiadomość, że kandydatem CDU został dr Adenauer. Ku ogólnemu zdziwieniu i wbrew dawniejszym oświadczeniom kanclerz zgodził się na przyjęcie kandydatury i tym samym na rezygnację z urzędu kanclerskiego. Wśród motywów sensacyjnej decyzji przypisywanych Adenauerowi wymieniano i wiek i stan zdrowia i rozdźwięki pomiędzy Bonn a Anglosasami w sprawie polityki Zachodu i intrygi w łonie CDU zmierzające rzekomo do usunięcia kanclerza od decydującego wpływu na dalszy kierunek polityki zachodnio-niemieckiej. Rzeczywiste przesłanki, które kierowały kanclerzem pozostają na razie w sferze domysłów. Z uwag zawartych w przemówieniu radiowym dr. Adenauera, wygłoszonym bezpośrednio po przyjęciu kandydatury i z powodzi mniej lub bardziej autorytatywnych komentarzy wyłania się następująca ocena sytuacji.

Dr Adenauer liczy lat 83 i mimo czystego zdrowia jest świadom biologicznych granic wydajności ludzkiej. W groń najbliższych przyjaciół zastanawiał

się już w ciągu ostatnich miesięcy, szczególnie od czasu śmierci Piusa XII, nad problemem ciągłości polityki zachodnio-niemieckiej po jego śmierci. Rozważania te i nasuwające się w związku z tym wątpliwości i obawy znane były do niedawna tylko najbardziej zaufanym przyjaciółom i członkom rodziny. Przebieg przygotowań do konferencji z Sowietami i ujawnione przy tej okazji różnice poglądów nie skłoniły wprawdzie szefa rządu w Bonn — jak mylnie sądzono — do „kapitulacji“, uświadomiły mu jednak niebezpieczeństwo zejścia polityki niemieckiej „na manowce“ z chwilą, gdy ster rządów znajdzie się w słabszych rękach. Znamienne są w związku z tym uwagi Adenauera w przemówieniu radiowym na temat konieczności zapewnienia „ciągłości“ polityki niemieckiej i możliwości, jakie w tym kierunku posiadać może nawet konstytucyjnie „ubezwłasnowolniony“ prezydent republiki. Jest dużo przesady w podejrzywaniu Adenauera o chęć przekształcenia urzędu NRF na „demokrację prezydencką“, czy zgoda o nasładowanie gen. de Gaulle. Pewnym wydaje się natomiast, że nowy prezydent poprzez desygnowanie przez siebie kanclerza, będzie usiłował czuwać nad zachowaniem i utrwaleniem orientacji zachodniej polityki niemieckiej. Wyznaczenie nowego kanclerza będzie miało na celu również zapobieżenie gorszemu współzawodnictwu wśród gromady ambitnych pretendentów do urzędu kanclerskiego.

Wybór kanclerza ma nastąpić dopiero po objęciu urzędowania przez nowego prezydenta republiki, prawdopodobnie w połowie września br. Faworytem Adenauera jest rzekomo dr Franz Etsel, który od jesieni 1957 pełni obowiązki federalnego ministra skarbu. Faworytem frakcji parlamentarnej CDU jest raczej popularny w szerokich masach minister gospodarki i wicekanclerz prof. Ludwik Erhard. Etselowi przypisuje się większy aniżeli Erhardowi instynkt polityczny. Etsel jest żarliwym rzecznikiem protegowanej przez Adenauera integracji europejskiej, w odróżnieniu od ministra gospodarki, sprzyjającego bardziej zacieśnionej współpracy z Anglią. Etsel jest — posługując się popularnym żargonem politycznym — „człowiekiem wielkiego przemysłu“, który nie darzy szczególnym zaufaniem antykarłowca Erharda. Mówi się wreszcie, że uparty Erhard niejednokrotnie przeciwstawiał się ingerencji kanclerza w sprawy gospodarcze. Erhard byłby zapewne mniej uległym wykonawcą dyspozycji prezydenta aniżeli zgadzający się z Adenauerem Etsel. Ale vox populi pasuje na przyszłego kanclerza Erharda, który w wyborach parlamentarnych w roku 1961 byłby dla CDU bardziej atrakcyjnym przywódcą aniżeli mało znany masom wyborców Etsel. Erhard rzekomo pragnie objęcia urzędu kanclerskiego. Czy zechciałby zostać nadal ministrem gospodarki w gabinecie Etsla, jest wątpliwe. CDU bez Adenauera jako szefa rządu i bez Erharda jako ojca „cudu gospodarczego“ mogłaby się w przyszłych wyborach znaleźć w ciężkiej sytuacji. Z tego powodu polityczni astro-

lodzi w Bonn upatrują w Erhardzie zwyciężcę wyścigu kanclerskiego.

Pewien wybitny polityk bński powiedział, że następca dr. Adenauera na stanowisku kanclerskim będzie samobójcą politycznym. Każdy następca sędziwego, dziesięć lat nieprzerwanie rządzącego kanclerza, stanie niewątpliwie przed niewdzięcznym zadaniem dorównania wielkiemu poprzednikowi, tym bardziej, że nadszedł to okres dużego napięcia międzynarodowego, w którym sukcesy dla Niemiec wydają się mało prawdopodobne. Charakterystycznym objawem niemieckiej giełdy politycznej jest fakt, że najpoważniejsi kandydaci do urzędu

kanclerskiego usuwają się w cień, czekając jak gdyby na „drugą rundę”, która nastąpi po wyborach w roku 1961 lub po śmierci Adenauera.

Era Adenauera w polityce niemieckiej zbliża się ku końcowi. Przejście jego na urząd prezydenta republiki uniemożliwia dokonanie nagłego z dnia na dzień skrętu polityki niemieckiej, zorientowanej na Zachód. Ale przesilenie narasta. Położenie tak mocnego nacisku w przemówieniu radiowym kanclerza na konieczność zapewnienia ciągłości dotychczasowej polityki jest dowodem jego własnego zaniepokojenia. Adenauer, jako prezydent, będzie niewątpliwie czuwał nad u-

trzymaniem orientacji zachodniej. Wyśiki jego mogą być tylko wówczas skuteczne, jeśli CDU posiadać będzie także i w przyszłości — tj. po wyborach w roku 1961 — decydujący wpływ na bieg spraw państwowych i jeśli frakcja parlamentarna tego stronnictwa poddawać się będzie posłusznie i karnie inspiracjom głowy państwa. Czy 83-letni prezydent przetrwa całą pięcioletnią kadencję? Kryzys otwarty nominacją prof. Carlo Schmid'a jako socjal-demokratycznego kandydata na urząd prezydenta, nie został zażegnany. Został jedynie na czas jakiś odroczoney.

St. Czechanowski

NASZE SPRAWY

Francuski Instytut Badania Opinii Publicznej przeprowadził obszerną ankietę o religijności młodzieży francuskiej w wieku od 18 do 30 lat. (Vid. krakowski „Tygodnik Powszechny” z 11. 1. br.).

Wedle ankiety tej, wśród młodzieży francuskiej katolicy praktykujący stanowią 33%, niepraktykujący 43%, wyznawcy innych religii 6%, deści i agnostycy 9% i zdecydowani ateści 9%.

Jak widzimy, największą grupą, niemal połową ogółu, są katolicy niepraktykujący. Wśród przyznających się do katolicyzmu stanowią oni w Paryżu 51%, a na wsi 45%; wśród młodych robotników — 49%, wśród rolników 47%, wśród inteligencji wolnych zawodów 44%. Są w narodzie francuskim, a przynajmniej w jego młodym pokoleniu, bez mała dominującym zjawiskiem.

Któż to ci „niepraktykujący katolicy”? Ankieta daje dość głęboki wgląd w tę sprawę. „Tygodnik Powszechny” pisze: „Jedyną prawdą uznawaną przez wszystkich młodych ludzi, przyznających się do katolicyzmu, jest ta, że istnieje Bóg. W Bóstwo Chrystusa wierzy już jednak tylko 59% „katolików niepraktykujących”, a 28% twierdzi, że „nie wie”. 43% „katolików niepraktykujących” wierzy w dogmat Trójcy Św. i tyleż sądzi, że po śmierci istnieje „jakieś” życie pozagrobowe, ale 28% zaledwie przyznaje, że nasze postępowanie na ziemi może mieć na to „jakieś” życie „jakis” wpływ. W zmartwychwstanie ciała wierzy tylko 17% katolików niepraktykujących. Także w tych kwestiach odpowiedź „nie wiem” jest dosyć częsta: sięga przeciętnie 25 do 30%.

Piekiło i czyściec uznaje tylko 24% „katolików niepraktykujących” i w tej sprawie rzadsze są niezdecydowane odpowiedzi. Idea wiekuistego potępienia przedstawiać musi szczególne trudności dla młodzieży praktykującej: blisko połowa zapytanych oświadcza, że nie może się z nią pogodzić. Również idea grzechu pierworodnego nasuwa, jak się wydaje, powszechniejsze wątpliwości: dość częsty, nawet u katolików praktykujących, bywa odruch niechęci wobec prawdy, która im się wydaje rodzajem „zbiorowej odpowiedzialności” czy nieuzasadnionym przypisywaniem „wrodzonego zła” małym dzieciom.

Wyraźny brak nerwu metafizycznego — jak to określa jeden z autorów ankiety — przy jednoczesnym traktowaniu religii jako mądrej i dobrej drogi do sprawiedliwości i szczęścia na ziemi — to cechy młodzieży francuskiej, które

ŚWIATOPOGLĄD LUDZI SAMOTNYCH

zdają się tłumaczyć wiele w jej postawach i w jej trudnościach...

Organizatorzy ankiety podkreślają nadto „daleko posuniętą indywidualizację stosunku do Boga” — „indywidualizację i pewien spontaniczny nonkonformizm postaw religijnych, przy wyraźnym szacunku dla moralnych i społecznych wartości katolicyzmu”, „indywidualistyczny i społeczny zarazem sposób pojmowania religii”, „wrażliwość na wartości humanistyczne” oraz „coraz częstsze, szczególnie wśród kobiet... opory przeciwko spowiedzi”. Zwracają uwagę na szczególne charakterystyczne: „ani w wywiadach ustnych, ani w pisemnych odpowiedziach nikt nie wspominał o Łasce...”

Wśród Polaków ankiety takiej nie przeprowadzano, ale każdy, kto miał sposobność stykać się z szerszymi kołami polskiego społeczeństwa i przeprowadzać dyskusje o religii, z pewnością potwierdzi, że bardzo wielu Polaków myśli podobnie. Te same myśli nurtują w polskich mózgach, te same reakcje, wątpliwości, bunty nurtują w polskich duszach. Nic w tym nie ma dziwnego: między Polską a Francją jest wiele wspólnego, nieraz ulegaliśmy francuskim wpływom politycznym i duchowym. Iluż Polaków zaczytywało się od wieków we francuskiej literaturze, poddawało się francuskim prądom ideowym, szukało natchnienia we francuskim życiu politycznym lub walczyło ramię przy ramieniu z Francuzami w tych samych wojnach. A wszak po dziś dzień w niektórych dzielnicach Polski obowiązuje francuskie prawo cywilne (kodeks Napoleona). Te same przeżycia, te same dążenia i te same warunki życia kształtują na podobną modłę i w konsekwencji budzą podobne uczucia i myśli.

Jest w opisanych powyżej postawach sporo obojętności i ignorancji. Na przykład, jeśli tylko 13% pozytywnie nie wierzy w Bóstwo Chrystusa a tylko 43% wierzy w dogmat Trójcy Św., to trudno przypuszczać, aby było to rezultatem wpływu prądów arikańskich („socyniańskich”, „unitariańskich”) odrzucających te dogmaty. Arian nie ma we Francji ani w Polsce. Autorzy odpowiedzi, na pozór pachnących wpływem arikańskim, to są po prostu ignoranci, którzy religią się nie interesują, nigdy się jej nie u-

czyli i o katechizmie najelementarniejszego pojęcia nie mają.

W niektórych jednak nieortodoksyjnych odpowiedziach zupełnie wyraźnie dźwięczy nuta herezji, nie tylko wśród katolików niepraktykujących, ale — rzecz o wiele groźniejsza — także i wśród części praktykujących. Jest to nuta herezji specyficznie francuskiej. Dla Polaka brzmi w niej coś znajomego. Ślady tych herezji spotkać możemy i u katolików polskich; rzecz ciekawa: częściej wśród religijnych snobów a także wśród wykształconych, niewątpliwie szczerych katolików spośród inteligencji niż wśród „prostego ludu”.

Najwyraźniej to występuje w odniesieniu do sprawy piekła, czyśćca, wiekuistego potępienia i grzechu pierworodnego. Szczególnie charakterystyczny jest zarzut „odpowiedzialności zbiorowej”.

Myślę, że odzywa się tu wpływ „filozofii” francuskiej XVIII stulecia i wpływ francuskiej rewolucji. Owcześnie francuska deistyczna lub ateistyczna myśl zrodziła pojęcie „bon sauvage” nie zepsutego przez cywilizację. Człowiek się rodzi z natury dobry, a staje się złym dopiero w wyniku wpływu społeczeństwa oraz w wyniku własnych win i błędów. Według tej filozofii człowiek odpowiada tylko za siebie; jest niezapisaną kartą, na której na tylko jeden w swym indywidualizmie, w swej nietykalnej autonomii, w swej samotności i pysze — będzie coś pisał. Nie ma przeszłości, ma tylko teraźniejszość i przyszłość. Nie ma żadnych powiązań. Jego ojczyzna, jego środowisko, jego ród, jego rodzina, jego warstwa społeczna niczym go nie krępują. Mogą one wywierać na niego wpływ, ale jest to wpływ zewnętrzny, niemal wrogi, przed którym trzeba się bronić. On do nich nie należy, nie współuczestniczy w nich, nie odpowiada za nie; jest samotny.

Otóż dogmat o grzechu pierworodnym uczy nas, że to wszystko nieprawda. Odpowiadamy nie tylko za siebie. Odpowiadamy także za grzech Adama i Ewy, naszych prarodźców sprzed tysięcy lat. Czyż więc nie odpowiadamy także za grzechy naszych własnych rodziców? I naszego środowiska? I naszej ojczyzny? „Krew Jego na nas i na syny nasze” — wołali Żydzi przed Piłatem. „Na syny nasze”. Na przyszłe pokolenia. Ta „odpowiedzialność zbiorowa” nie mieści się w głowie dzisiejszego młodego Francuza i niejednego Polaka. Ale ona obowiązuje.

Polonus

Pochodzenie i przeznaczenie człowieka

Problem człowieka sprawia duże trudności przyrodnikom pozytywistom. Napisałem eufemistycznie „pozytywistom“, gdyż większość z nich stanowczo zaprzecza, jakoby byli materialistami. Nawet Julian Huxley, gdy twierdzi (w artykule wstępnym serii „The Destiny of Man“ w „Sunday Times“, lipiec - wrzesień 1958), że umysłowe cechy człowieka, które go odróżniają od zwierząt, są „oczywiście“ wynikiem ewolucji jego mózgu, zaraz dodaje, że jest to „zaprzeczeniem czysto materialistycznej interpretacji“ człowieka. Wszystko oczywiście zależy od tego, co nazywamy materializmem. Jeśli jednak, jak to czyni Huxley, przyjmiemy jako „dogmat naukowy“ (wedle trafnego określenia J. Z. Junga, por. „Dusza, umysł, ciało“, ŻYCIE, nr 3/564), że wszystkie przejawy życia człowieka dają się wyjaśnić wyłącznie (Huxleya „of course“) ich podłożem materialnym, to trzeba zaiste dużej dozy sofistyki, aby odżegnywać się od materializmu.

Jakbyśmy jednak kierunku tego nie nazwali, faktem jest, że ów „dogmat naukowy“ przysparza jego wyznawcom wiele trudności, gdy mają wyjaśnić pochodzenie człowieka, a tym bardziej, gdy chcą (jak to uczynił Huxley w dwu artykułach we wspomnianej serii w „Sunday Times“) mówić o jego przeznaczeniu.

W pierwszym rzędzie bowiem, powołując się znów na Huxleya, człowieka odróżnia od zwierzęcia jego „rozwój psychologicznych możliwości, jego zdolności poznawania i pamiętania, odczuwania i woli... jego znacznie powiększona świadomość wszelkiego rodzaju“. Drugie odróżnienie — to mowa, która „umożliwiła mu coś zasadniczo nowego w historii naszej planety, a mianowicie przekazywanie zebranych doświadczeń i świadomości z pokolenia na pokolenie“.

Są to istotnie cechy zasadniczo odróżniające człowieka od całego świata zwierzęcego, nawet od najwyższych jego tworów, małą człokształtnych. Zaczynajmy od mowy. Zwierzę potrafi wydawanymi przez siebie dźwiękami wyrazić swe stany psychiczne (strach, radość, gniew itp.), ostrzec inne zwierzęta gromady, czy stada, wskazać źródło pożywienia, nie potrafi jednak ani przekazać nabytych doświadczeń, ani też np. wyrazić swych dalszych zamiarów, jeśli w ogóle je posiada.

Nawet jeśli rozpatrujemy mowę ludzi najpierwotniejszych, mowę nieomal wyłącznie pojęć konkretnych, to i pomiędzy nią, a sygnałami głosowymi zwierząt istnieje zasadnicza różnica jakościowa. A przecież nawet i najpierwotniejsza mowa posiada pojęcia oderwane, tyle że nie tak rozwinięte, jak mowa współczesnego człowieka. Świadczą o tym zarówno badania antropologów, jak i wspólne całej ludzkości architypy i symbole, wykrywane

przez szkołę Junga. Właśnie dlatego, że są wspólne całej ludzkości, muszą pochodzić z okresu, kiedy jeszcze nie nastąpiła wędrówka ludzi z ich pierwotnego matczynika, tj. okresu — jak o tym mówią wykopaliska — bardzo wczesnego.

Czym wytłumaczyć tę tak odmienną właściwość natury ludzkiej? Czy ma rację Huxley, gdy twierdzi, że przypisać ją należy wyłącznie powiększonemu mózgowi, a lord Adrian („Sunday Times“), gdy powtarza za Huxleyem, że „specjalne zdolności ludzkiego mózgu przypisać należy zasadniczo, jak się wydaje, jego powiększonemu wymiarowi i niczemu więcej“ i gdy dodaje, że „gdyby nasze mózgi miały dwa razy większą pojemność niż obecnie, mogliśmy rozwiązywać problemy w obecnej chwili dla nas nierozwiązalne“.

Skąd ta apodyktyczna pewność? Fakty bynajmniej nie potwierdzają tej teorii. Największe mózgi spotykamy u notorycznych idiotów, a wielu geniuszy miało mózgi nieproporcjonalnie małe. Nawet, jeśli od wagi mózgu, której antropologowie przypisują tak wielkie znaczenie (gdyż wykopaliska czaszki nie mogą im niestety niczego więcej powiedzieć) przejdziemy do bardziej istotnej pojemności kory mózgowej, to i tak brak jakiegokolwiek wskazania na prostą korelację między ilością jej komórek, a własnościami umysłowymi człowieka. Słusznie przecież mówi tenże lord Adrian, że „wiemy cokolwiek o budowie mózgu i o jego procesach chemicznych; możemy śledzić niektóre przejawy w jego komórkach nerwowych, zapisując towarzyszące im zjawiska elektryczne. Ale bardzo jeszcze daleko jesteśmy od zrozumienia, jak całość nerwowego aparatu w naszych głowach umożliwia nam to, że zachowujemy się jak istoty obdarzone inteligencją“.

Poza apodyktycznym więc, dogmatycznym, na niczym poza aporycznymi przesłankami filozoficznymi nie opartym założeniu, że wszystko na świecie jest materialne, brak jakichkolwiek przesłanek naukowych, które by mogły uzasadnić owo tak kategoryczne twierdzenie Huxleya i lorda Adriana. Nie istnieją żadne stadia przejściowe pomiędzy niepojęciową „mową“ zwierząt, a pojęciową mową najprymitywniejszego nawet człowieka. Nie istnieje żadna, na miano naukowej zasługująca, hipoteza, która by — poza werbalnymi i pozbawionymi treści wywodami — potrafiła w sposób, choćby prawdopodobny, wyjaśnić, jak mogło nastąpić to przejście od dźwięków zwierząt do mowy ludzkiej.

Niewiele pomoże i tak dziś ulubiona analogia liczydeł elektronowych. Zapewne, im więcej lamp elektronowych w takim liczydło, im więcej „komórek pamięci“, im więcej możliwości połączeń między poszczególnymi członami takiego liczydła, tym więcej będzie ono wykonać zadań. Ale przy największej nawet jego

złożoności, nie potrafi ono wykonać żadnego zadania „samo“, bez układającego programu i intepretującego wyniki — człowieka. I tu zawodzi analogia do umysłu człowieka jako samodzielnego, niezależnego źródła ludzkiego myślenia i ludzkiej mowy.

Jeszcze trudniej wytłumaczyć na gruncie materialistycznym te cechy umysłu ludzkiego, — które wymienia przytoczony na wstępie cytat Huxleya. Człowiek posiada nie tylko pamięć, tak jak posiadają ją i zwierzęta, nie tylko możność wyrażania przeszłości, przy pomocy słów (co jest darem mowy złożonym z darem pamięci), ale ponadto — całkowicie odróżniającą go od zwierząt zdolność przewidywania, a więc sięgania myślą w przyszłość.

Ta myśl o przyszłości jest podstawą całej ludzkiej działalności, zapobiegliwości człowieka, walki z otaczającą go przyrodą (żywą i martwą). Człowiek działa bowiem nie przy pomocy nieświadomych, odziedziczonych, instynktowych zespołów czynności, mało tylko zmiennych, zależnie od otoczenia, jak to się dzieje w świecie zwierzęcym, ale są to działania świadome, biorące pod uwagę nie tylko chwilę obecną, ale i czas przeszły. Jest to coś zupełnie innego niż zdolność uczenia się i dostosowywania swoich odruchów do zmiennych warunków otoczenia, jaką widzimy u zwierząt. Zwierzę, i to tylko na najwyższym szczeblu swego rozwoju, potrafi skojarzyć bezpośrednio widoczny cel ze środkami do osiągnięcia go. Jeśli szympansovi, który nauczył się strącać banany z dachu klatki przy pomocy kijka, powieści te banany wyżej i dać mu równocześnie dwa kijki, szympans, po długiej pracy myślowej, włoży jeden kij w przygotowaną do tego celu tulejkę kijka drugiego. Na tym jednak jego inteligencja się kończy. O tym, aby taki kij wykonał, nie ma mowy. Podobnie można nauczyć szympansa jeżdżenia na rowerze, siedzenia przy stole, posługiwanie się widelcem i nożem. Jeśli jednak dać mu nowe narzędzie, którego celu mu się nie pokazało, nie domyśli się nigdy jego przeznaczenia. A tym bardziej go nie obmyśli, ani nawet go nie wykona.

Ta znacznie wyższa inteligencja człowieka nie jest tylko wynikiem wychowania, choć niewątpliwie ma ono bardzo duży wpływ na zdolności umysłowe dorosłego człowieka. Przykłady szympansov, chowanych wraz z ludzkimi niemowlętami w zupełnie identycznych warunkach wykazują, że ich zdolności umysłowe zatrzymują się na poziomie dwuletniego dziecka.

Czy ta zasadnicza różnica między umysłem ludzkim a umysłem nawet najwyższej człokształtnej małpy da się wytłumaczyć wyłącznie ewolucją mózgu? Nikomu dotąd nie udało się stworzyć przekonującej lub choćby tylko prawdopodobnej hipotezy tej ewolucji. Tłumaczenie Engelsa, przyjęte jako dogmat

w całej literaturze marksizmu, że posługiwanie się narzędziem wytworzyło umysł ludzki, jest typowym *petitio principii*, błędnym kołem logicznym. Jeśli bowiem nawet oczyścić je z nalotu odrzuconego przez naukę lamarkizmu, pozostanie ten fakt, że wykonanie narzędzia (w przeciwieństwie do posługiwania się narzędziem gotowym) wymaga przewidywania przyszłej potrzeby i posiadania wyobraźni, pozwalającej dostosować wykonywane narzędzie do tej właśnie potrzeby, a więc wymaga cech umysłowych, których zwierzę nie posiada. Jakże więc bez tych cech mógł nie będący jeszcze człowiekiem małpolud wykonać narzędzie, które miało rzekomo być bodźcem do jego ewolucji umysłowej?

W jednym rzeczywiście ma teoria Engelsa rację. Wszyscy antropolodzy są dziś zgodni co do tego, że narzędzie jest najistotniejszą cechą odróżniającą człowieka od zwierzęcia i decyzją zaliczenia odnalezionych wykopalisk do szczątków człowieka, zależy od tego, czy w ich pobliżu znaleziono narzędzia.

Dalszą cechą człowieka, o której wspomina Huxley w artykule na zakończenie w „Sunday Times“ dyskusji o przeznaczeniu człowieka, jest jego zdolność racjonalnego myślenia, całkowicie obca światu zwierzęcemu. Dzięki niej ilość możliwości, jakie stoją przed człowiekiem, jest znacznie większa od możliwości, jakie posiada zwierzę. Zachowanie się zwierzęcia jest podyktowane jego cechami dziedzicznymi. Tresura lub otoczenie może je zmienić w niedużych tylko granicach. Większe zmiany możliwe są tylko przez mutację.

Natomiast możliwości człowieka, dzięki jego racjonalnemu myśleniu, są niemal nieograniczone. Właśnie dlatego tak trudno przewidzieć jego zachowanie się. Nawet w pewnym kręgu kulturalnym, który swoimi cechami nabytymi wywiera tak duży wpływ na zachowanie się człowieka, jego postępowanie w określonych okolicznościach może być bardzo rozmaite, zwłaszcza jeśli dać mu czas, aby je przemyślał. Rudzik — na widok czerwonego podgardla zawsze przyjmie postawę bojową, nawet jeśli będzie to słaba imitacja tego podgardla. Kuropatwa — na widok jastrzębia lub choćby tylko jego niezbyt udatnego modelu, będzie się kryć, jeśli nawet nigdy przedtem jastrzębia nie widziała. Człowiek natomiast na jednego rodzaju bodźce może reagować bardzo różnicie, zależnie od tego, co mu podyktuje jego rozum. Zwierzę nigdy nie zapanuje nad silnym popędem, jak np. popęd piciowy. Człowiek, w pełni zasługujący na to miano, jest panem, a nie sługą swoich popędów. I to wszystko dzięki swemu racjonalnemu myśleniu.

Jak mogła się ta, tak zasadnicza (w porównaniu do zwierzęcia) przemiana w postępowaniu człowieka dokonać drogą ewolucji, jak dziedziczne, wrodzone reagowanie na bodźce mogło — przez kolejne mutacje — ustąpić miejsca postępowaniu racjonalnemu, na to nie ma odpowiedzi. Wszelkie próby wyjaśnienia tej ewolucji, jakie dotąd podejmowano, były tylko pustostawem, postulowanymi etapami, bez najmniejszego uzasadnie-

nia przyczyn i celowości każdego z nich, z punktu widzenia biologicznego.

Ostatnia wreszcie, zasadnicza cecha, jeśli poprzestaniemy tylko na cechach najważniejszych, to wyłącznie ludzkie poczucie piękna. Moment upierzenia ptaków, tak ważny przy ich tokach, gra jedynie rolę bodźca, wyzwalającego pewne odruchy instynktowne, a więc przekazane przez dziedziczenie. Bardzo prosta, prymitywna imitacja tych bodźców wystarczy zupełnie, aby te odruchy wywołać u zwierząt. Są one zupełnie mechaniczne, nieświadome, jak świadczy o tym przykład ptaka, karmiącego pisklę kukułki, w odpowiedzi na bodziec otwartego dzióbka kukułczego pisklęcia, choć obok jego własne pisklę ginie z głodu.

Poczucie piękna natomiast, nawet u najprymitywniejszego człowieka, ma wyraźne cechy świadomości twórczej, a nie jedynie odruchu na bodźce. Wysoka technika prastarych rysunków jaskiniowych świadczy o tym, że poczucie piękna jest bardzo wczesną cechą ludzką. Jak mogła ona powstać na drodze ewolucji, tego nikt dotąd nie próbował wyjaśnić.

Odpowiedź na te pytania jest punktem kluczowym problemu, czy nie tylko ciało ludzkie, ale i jego umysł powstały wyłącznie na drodze ewolucji. Większość antropologów i biologów zgodnie dziś twierdzi, że to, co czyni człowieka naprawdę człowiekiem, to nie jego rozwój fizyczny, ale rozwój jego umysłu. Daleko poza nami są już naiwne teorie Engelsa, że wyprostowana postawa, uwalniająca rękę od konieczności dźwignięcia ciężaru ciała, umożliwiła jej samodzielny rozwój jako organu do posługiwania się narzędziami; narzędzie zaś, jak o tym mówiliśmy wyżej, było bodźcem do rozwoju własności umysłowych.

Wprost przeciwnie, Huxley wyraźnie stwierdza, że „udoskonalenie ‘umysłu’ i świadomości ma bezpośrednio znaczenie użytkowe dla życia, zupełnie tak samo, jak udoskonalenia strukturalne i fizjologiczne”. „Zdumiewające powodzenie w swej ewolucji — pisze on dalej — zawdzięcza człowiek... zdolności do oderwanego (racjonalnego wyobraźniowego) myślenia oraz do prawdziwej mowy.”

A Wallace, współtwórca teorii ewolucji, pisze wyraźnie, że początki człowieka należy szukać w chwili, gdy „wpływy duchowe” zawiadnęły „z zewnątrz” ssakami rodziny małp.

Skąd się jednak te wpływy duchowe wzięły? Czy są one jedynie następstwem „rozwoju mózgu”, jak to twierdzi Huxley i lord Adrian? Jak widzieliśmy, nie ma dotąd nawet prawdopodobnej choćby teorii, która by ten rzekomy proces ewolucji duchowej wyjaśniała. Co więcej, nie ma ani jednego szczebla pośredniego tej ewolucji. O ile cechy fizyczne małp człekokształtnych i ludzi są tak sobie bliskie, że można na ich podstawie wydedukować jakiegoś hipotetycznego wspólnego przodka, o tyle ich cechy umysłowe są tak zasadniczo różne, że pod tym względem najbardziej nawet „inteligentna” małpa jest znacznie bliższa całemu światu zwierzęcemu, niż człowiekowi.

Już to samo stanowi powód do poważ-

negu znaku zapytania, czy istotnie jedynie ewolucja mózgu mogła stworzyć człowieka. Dlaczego nie zachowały się żadne istoty pośrednie między człowiekiem a małpą? Dlaczego wyginął bez reszty australopitek i pitekantropus (a pozostały małpy człekokształtne), jeśli — jak twierdzą zwolennicy ewolucji poprzez rozwój mózgu — ich wyprostowana postawa i ich większy mózg dawały im znacznie większe szanse walki o byt niż małpom człekokształtnym? Ziemia w owym czasie była tak rzadko zamieszkała przez człowieka, że — nawet jeśli istniała walka między człowiekiem a jego jeszcze niezupełnie ludzkimi kuzynami — było wiele zakątków na ziemi, gdzie owe półludzkie istoty miały szanse ukrycia się i dotrwania aż do naszych czasów.

Nawiasem mówiąc, owo wymieranie pośrednich członów ewolucji, gdy na ziemi pojawiają się wyższe etapy rozwoju, jest bardzo tajemnicze. Nie ma dotąd właściwie ani jednego dobrego wytłumaczenia, dlaczego wyginęły ogromne jaszczury, dlaczego pojawienie się konia miałyby być zanikiem hyrakotera, dlaczego zupełnie zanikły latające jaszczury itp. Patrząc na tę wyraźnie jednokierunkową linię ewolucji, trudno oprzeć się myśli, że jakkolwiek drogi jej rozwoju polegały na zjawiskach zupełnie naturalnych, to zjawiskami tymi kierowała Myśl Boża.

Tym bardziej nieodparcie nasuwa się ta myśl, gdy patrzymy na pojawienie się człowieka. Co było bodźcem ewolucji? Ulubiona teoria materialistycznych przyrodników głosi, że zmiany klimatyczne, powodując cofanie się lasów, zmusiły przodków człowieka do wyjścia w bezdrzewne okolice i tym samym do zamiany życia na drzewach na życie na stepach. Tam zaś wyprostowana postawa, umożliwiającą zrywanie owoców z nielicznych już drzew i posługiwanie się narzędziami dla walki z potężniejszym przeciwnikiem, zapoczątkowała ewolucję w kierunku człowieka. Naiwne to dowodzenie słusznie zwalcza J. Kostrzewski w „Tygodniku Powszechnym”, pisząc, że te zmiany klimatyczne trwały stulecia i odbywały się tak powoli, że dla jednego pokolenia były wręcz nieuchwytnie. „Gdy w końcu lasy zaczęły zanikać, to małpy z pewnością nie czekały aż zabraknie drzew, które dostarczały im pożywienia w postaci jadalnych owoców, lecz wycofywały się stopniowo na południe, inaczej byłyby po prostu zdechły z głodu, zanim zdążyłyby wyprostować swój chód i zaczęły chodzić na dwu nogach”.

To rozumowanie Kostrzewskiego, choć w zasadzie słuszne, jest nieco uproszczone. Wiemy przecież z obserwacji, że zaszła mutacja nie tylko zmienia cechy fizyczne zmutowanego osobnika, ale w pewnej mierze również i tryb jego życia. Jest więc zupełnie możliwe, że zaszła mutacja uczyniła jakiegoś małpoluda nie tylko bardziej wyprostowanym, ale równocześnie lepiej dostosowała jego tryb życia do powoli wyłaniającego się stepu, zamiast lasu. Widocznie jednak na długą metę ten nowy tryb życia nie bardzo dobrze służył tej nowej istocie, skoro pozostałe w lasach małpy przeżyły po dziś dzień, podczas gdy australopitek i pitekantropus (prawdopodobnie kuzyni, a

nie przodkowie człowieka) dość szybko, jak w epoki geologiczne, zaginęły. A człowiek mimo tego nie tylko pozostał, ale i zawiądnął ziemią. Widocznie ma coś, czego było brak jego poprzednikom.

Również i tłumaczenie ewolucji mózgu wyłącznie bodźcem doboru naturalnego jest niezupełnie przekonujące. Wyższa inteligencja jest niewątpliwie korzystna dla przeżycia każdego zwierzęcia. A jednak, choć koń ma stosunkowo większy mózg niż hyrakter, na koniu ewolucja mózgu się zatrzymała. Podobnie ptaki z większym mózgiem miałyby na pewno lepsze szanse przeżycia, a jakoś nie widzimy w świecie ptasim tendencji ewolucyjnej podobnej do rozwoju człowieka. Dlaczego więc to, co nie udało się ptakom, czy też kopytnym, miałyby się udać naczelny?

Równie nie dającym się wytłumaczyć jest pytanie, dlaczego z chwilą pojawienia się człowieka na ziemi, ewolucja w kierunku inteligencji ludzkiej miała się zatrzymać. Wszak w ciągu kilkuset tysięcy lat istnienia człowieka na ziemi warunki klimatyczne zmieniały się nieraz, i to bardzo gruntownie. A jednak nie widzimy jakiejś innej gałęzi naczelnych, która by — idąc śladami ewolucji człowieka — zaczęła powoli, poprzez kolejne mutacje, przybierać na wadze mózgu i na inteligencji. Czy w przyszłości nie grozi człowiekowi pojawienie się jakiejś innej istoty na ziemi, o większej od niego inteligencji, która by była dla niego groźnym konkurentem i początkiem jego zagłady?

Odpowiedź przyrodników — nazwijmy ich pozytywistami — jest mocno nieprzekonywująca. Huxley pociesza się, że niebezpieczeństwu temu zapobiegłaby inteligencja człowieka: „gdyby jakieś inne zwierzę zaczęło wykazywać objawy świadczące o tym, że mu zagraża, człowiek na pewno by to rychło spostrzegł i powziąłby odpowiednie środki, by niebezpieczeństwu temu przeciwdziałać, zanim nie byłoby już za późno“.

Trudno się z tym zgodzić. Mogłoby być zupełnie inaczej. Gdyby człowiek spostrzegł, że jakieś zwierzę zaczyna wykazywać niezwykle dotąd cechy inteligencji, na pewno by tego zwierzęcia nie tępił, ale na odwrót, czyniłby wszystko, aby — choć z ciekawości naukowej — wznieść rozwój jego inteligencji.

Sam Huxley zdaje sobie doskonale sprawę z niedostateczności tego argumentu, toteż podbudowuje go drugim. „Wydaje się — pisze on — że ewolucja w szerszym zakresie się już skończyła, poza jedyną ewolucją w kierunku lepszych mózgów i umysłów, w kierunku wyczerpanym już przez człowieka.“ To dziwne twierdzenie wydawałoby się zupełnie sprzeczne z całą teorią doboru naturalnego, która przecież nie może stawić końca ewolucji, jest jednak zupełnie zgodne z poglądem, że ewolucją kieruje Myśl Boża, która — po osiągnięciu przez Nią zamierzonych celów — dalszą ewolucję wstrzymała.

Marksiści, w myśl sloganu „ilość przemienia się w jakość“, choć na ogół zgodni z poglądem niemarksistowskich przyrodników-„pozytywistów“, że powstanie człowieka jest wynikiem ewolucji jego ciała i jego mózgu, uważają jednak, (jak to pisze m. in. Mydlarski), że powstanie psychiki ludzkiej dokonało się nagle, skokowo. Jest to, jak słusznie twierdzi wspomniany już Kostrzewski, zupełnie zgodne z założeniem chrześcijańskim. Tylko że dla chrześcijanina tym „skokiem“ było obdarzenie człowieka duszą nieśmiertelną.

Jakkolwiek rację ma jezuita o. Russell (por. „Spór o pochodzenie człowieka“, ZYCIE, nr 561), że miało to w pierwszym rzędzie wpływ na nadprzyrodzone, a nie na przyrodzone życie człowieka, tym niemniej nie może ulegać wątpliwości, że Łaska nadprzyrodzona, przepajając całego człowieka, nie może nie wywrzeć wpływu i na jego życie przyrodzone. Łaska doskonalą naturę ludzką.

Dzięki niej więc człowiek mógł wypełnić dane mu przykazanie „czyńcie sobie ziemię podległą“, czyli — mówiąc słowami przyrodniczymi — począł przystosowywać środowisko do siebie, zamiast przystosowywać siebie do środowiska, jak to czyni każde zwierzę. I właśnie, dzięki temu przekształcaniu środowiska stosownie do swoich potrzeb, mógł on wytrzymać walkę z silniejszymi i zwinniejszymi od niego zwierzętami i utrzymać się na ziemi, a z czasem ją całkowicie opanować, choć pokrewne mu budową i mózgiem istoty, jak pitekantropus i australopitek, nie wytrzymały ciężkiej walki o byt.

Jeśli więc problem pochodzenia psychice ludzkiej nie daje się w przekonujący sposób wytłumaczyć przy pomocy ewolucji na drodze naturalnej, to tym bardziej pytanie: jakie jest przeznaczenie człowieka? — napotyka na tej drodze na trudności nie do pokonania.

Czy w ogóle nauki przyrodnicze mogą się tymi pytaniami zajmować? Rejestrują one przecież tylko fakty i wiążą je ze sobą, lecz ich nie wartościują, nie mogą więc stanowić podstawy do żadnych rozważań aksjologicznych. Takie jest przynajmniej przekonanie większości przyrodników.

Huxley jest innego zdania. „Ustalanie wartości — pisze on — i moralnych ocen jest nieuniknioną konsekwencją nowych zdolności człowieka, jego zdolności tworzenia i wyrażania pojęć, racjonalnego i wyobraźniowego myślenia“.

Temu pozornie słusznemu twierdzeniu przeciwstawić należy dwa zastrzeżenia. Przede wszystkim warto zapytać, czy samo „racjonalne i wyobraźniowe myślenie“ wystarcza, aby tworzyć sądy wartościujące. Można doskonale wyobrazić sobie człowieka w pełni „racjonalnego“, w przyrodniczym tego słowa znaczeniu, stojącego jednak w swym myśleniu poza złem i dobrem. I nie tylko wyobrazić sobie. Wielu jest socjologów, którzy, jak np. Kinsley, skłonni są uważać za kryterium dobra pierwsze zachowanie się

ludzi, choćby oparte o obserwację całkowitemu niereprezentatywnemu ich zbioru. Zupełnie podobnie, jak kryterium, która sowa jest „dobrą sową“, a która złą, stanowi pytanie, czy dana sowa oddała się mniej lub więcej od przeciętnego zachowania się sów.

Ponadto, jeśli istotnie umysł ludzki musi wartościować, to dlaczego reprezentantami tego wartościowania mają być przyrodniczy, których metoda podchodzenia do nauki jest z natury rzeczy pozbawiona cech wartościujących, a nie filozofowie, operujący metodą dedukcyjną, a nie hipotetyczno-indukcyjną. Jeśli więc przyrodnik wygłasza sądy wartościujące, to występuje jako filozof, a nie jako przyrodnik. I tym samym podstawą do oceny jego poglądów musi być jego przygotowanie filozoficzne, a nie przyrodnicze.

Należy wreszcie dodać, że oceny moralne, jak każde wartościowanie, muszą wyjść z jakichś zasadniczych przesłanek. Nawet przesłankę pozornie czysto rozumową, jak np. pojęcie prawa naturalnego św. Tomasza z Akwinu, muszą wyjść z podstawowego założenia, czym jest natura ludzka? A na to pytanie, na gruncie samych nauk przyrodniczych, nie ma odpowiedzi.

Nie dziw więc, że wnioski Huxleya o przeznaczeniu człowieka są mocno ogólnikowe i nieprzekonywujące. „Przeznaczeniem człowieka — pisze on — jest większe wypełnienie (fulfillment), a jego głównym celem pełniejsze zrozumienie jego własnych możliwości“. Wypełnienie, ale czego? Możliwości, ale ku czemu? — można by zapytać. I tu odpowiedź Huxleya jest beztreściwa. „Wypełnienie oznacza wzbogacenie i podniesienie wartości (enhancement) życia. Poszczególni ludzie szukali wypełnienia wielu cząstkowymi drogami: od zadowolenia z własnego udoskonalenia, od dumy z samopoświęcenia, po jakiś udział w ogólnym schemacie rzeczy. Oczywiście, cele ich mogą być ograniczone, a metody osiągnięcia mylne; wtedy wypełnienie będzie niedostateczne lub złe w swym wyniku. Raz jeszcze więc potrzebne są obiektywne studia, aby uzyskać pożądaną wynik“.

Jakże pusto brzmią te słowa! Czymże jest „doskonalenie“, „ogólny schemat rzeczy“, „pożądany cel“? Bez odpowiedzi na te zasadnicze pytania wszystko jest tylko przelewaniem z pustego w próżne.

Rzecz charakterystyczna, że w długiej dyskusji, jaka się rozwinęła na łamach „Sunday Times“ na ten temat, żaden z „pozytywistów“ nie potrafił na te pytania dać odpowiedzi. Jedyną konkretną odpowiedź dawali ludzie stojący na gruncie chrześcijańskim. I nie może nas to dziwić. Gdyby bowiem nie Bóg, jako przyczyna i cel życia ludzkiego, istnienie człowieka na ziemi byłoby tylko jakimś bezsensownym przypadkiem. I na tym również odcinku ma więc pełną rację św. Tomasz, gdy twierdzi, że przed myślą ludzką stoi zawsze nieodparty dyemat: „albo Bóg, albo absurd“.

Tadeusz Felsztyn

NOWY CZY STARY KC?

Z perspektywy tego okresu czasu, który dzieli nas od marcowego zjazdu PZPR, spróbujmy przyjrzeć się nowemu Komitetowi Centralnemu partii i ocenić, ile zostało w nim z ducha „przemian październikowych“.

Zgodnie ze statutem PZPR, III zjazd partii powinien był się odbyć o dwa lata wcześniej, tj. w roku 1957, mniej więcej w pół roku po „październiku“. Zdawało się, że Gomułka i jego ludzie będą dążyć do odbycia zjazdu jak najwcześniej, żeby wykorzystać niewątpliwie przychylne dla siebie nastroje, utwierdzić i zalegalizować to, co się jeszcze wtedy powszechnie nazywało „pokojołą rewolucją październikową“ i pozbyć się z Komitetu Centralnego silnej, zorganizowanej grupy opozycyjnej „natolińczyków“. Taki zjazd w tym okresie byłby na pewno żywy, ciekawy i mógł przynieść istotne zmiany, zwłaszcza w kierownictwie partii. Dla samego Gomułki, którego autoritet i popularność stały jeszcze wtedy u szczytu, zjazd partii na początku roku 1957 byłby niewątpliwie osobistym tryumfem i wzmocniłby znacznie jego pozycję tak wobec „przyjaciół“ ze Wschodu, jak i wobec ewentualnych kontrahentów zachodnich.

Cóż, kiedy komuniści, nawet — a może zwłaszcza — w swoim gronie, nie wierzą w siłę argumentacji płynącą z głębokiego przekonania o słuszności sprawy, a tylko w „inżynierię wyborczą“, zapewniającą posłuszną jedność, czy raczej może „jednogłośność“. Rezultat kilkakrotnego odkładania zjazdu „aż się partia skonsoliduje“ oraz „inżynierii wyborczej“ na konferencjach wojewódzkich był taki, że w „dyskusji“ na zjeździe mówcy mniej lub bardziej udolnie powtarzali lekcję referatu, a z sali obrad wiało nudą. Liczni korespondenci pism zachodnich zgromadzeni w Warszawie niewiele mogli wyłuskać z tej sieczki, i pomimo wielkiego zainteresowania Polską na Zachodzie, reportaże ich rzadko trafiały na pierwsze strony pism. Ale za to na zjeździe wszystko odbywało się według planu i jednogłośności. Tak „według planu“, że trudno nawet powiedzieć, ile w oklaskach dla Gomułki było szczerzego uznania dla przywódcy, a ile reżyserii zjazdowej.

W takiej atmosferze oczywiście lepiej było nie mówić na zjeździe marcowym o „październiku“. Zarysowała się też tendencja do zacierania tej daty w historii partii. Komunistyczni historycy szczególną wagę przykładają do „periodyzacji“ i od niej, czyli od zmiany podziału na okresy zaczynają każde fałszowanie historii. Historia PZPR musi wykazywać, że partia zawsze miała rację, pomimo okresowych „wypaczeń i błędów“, o których lepiej już nawet nie wspominać. Październik 1956 roku — jako początek nowego okresu — jest datą wielce niewygodną z tego punktu widzenia, a przy tym szczególnie niechętną dla ogromnej większości kierownictwa partii, dla tych wszystkich, którzy za zbrodnie „minionego okresu“ ponoszą odpowiedzialność.

Dlatego np. wbrew faktom — tym gorzej dla nich, jeśli się nie zgadzają z teorią — wygodniej było tow. Ochabowi uznać, że zmiany na lepsze w rolnictwie datują się od uchwały II zjazdu PZPR, a nie od rozwiązania przez chłopów zaraz po październiku prawie 9 tysięcy kolchozów.

Zmiany personalne w składzie KC również tak zostały odmierzone, by nie zachwiać tej ciągłości w historii partii. Na 77 członków wybranych 19 marca 1959 — 32 zasiada w KC nieprzerwanie od Kongresu Zjednoczeniowego z grudnia 1948 r., a trzech: Gomułka, Spychalski i Zarzycki — z mniej lub bardziej urozmaiconą przerwą.

Ze składu wybranego na II zjeździe, 17 marca 1954, ubyło w czasie kadencji 12. Zmarli: Z. Modzelewski, F. Fiedler, B. Bierut i Z. Szymanowski; wyjechali po październiku do ZSSR: marszałek Rokossowski i gen. Popławski; zostali usunięci: W. Kłósiewicz i całe kierownictwo Bezpieki: J. Berman, S. Radkiewicz, M. Romkowski, M. Mietkowski i K. Świetlik*) Na ich miejsce w roku 1956 dokooptowano na VII plenum sześć osób spośród zastępców, a na VIII plenum: W. Gomułka, Z. Kliszka, I. Logę-Sowińskiego i M. Spychalskiego.

Na III zjeździe usunięto z KC 18 osób. H. Chelchowski — jeden z wybitnych „natolińczyków“, swego czasu członek Biura Politycznego PPR i przez 8 lat zastępca członka B.P. PZPR — został zdegradowany na zastępcę członka KC. Podobny los spotkał ostatnią przewodniczącą niechlubnej pamięci Związku Młodzieży Polskiej, Helenę Jaworską, która wszakże dzielnie spisała się na VIII plenum. Czterech usuniętych wybrano na pocieszenie do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, a czterech innych do Komisji Rewizyjnej — wśród nich tak wybitnych „stalinowców“, jak F. Mazur i S. Skrzyszewski. Całkowicie zniknęły z władz PZPR przeciwnicy zażarci Gomułki, doszczętnie skompromitowani „stalinowcy“: W. Dworakowski, F. Józwiak-Witold, W. Lewikowski, S. Łopot, K. Miś, H. Minc i S. Pawlak, oraz piękna pani Zofia Wasilkowska.

Z czołowych „dogmatyków“ utrzymali się w KC: T. Gede, W. Kruczek, M. Naszkowski, Zenon Nowak, E. Szyr, S. Wierbłowski (został niedawno redaktorem naczelnym organu teoretycznego partii „Nowe Drogi“), słynny „generał gaz-rurka“ K. Witaszewski i najbardziej bojowy „stalinista“ — B. Rumiński. Widocznie uznano ich za — jak to powiedział Gomułka — „dobrych towarzyszy...“, którzy dziś z pełnym przekonaniem i oddaniem realizują politykę partii, a tylko „w pewnym okresie szczególnego nasilenia ataków reakcji na partię i nie-

*) Usunięciu Świetlika nigdy nie ogłoszono, ale wydany w grudniu 1958 roku „Rocznik Polityczny i Gospodarczy“ pomija go w składzie KC PZPR.

okiełznanej rewizjonistycznej wrzawy ulegli dezorientacji i zamknęli się w skorupie dogmatyzmu“.

Z kompromisowym stanowiskiem wobec „stalinowców“ kontrastuje zastanawiająco potraktowanie „ludzi października“, którzy w burzliwym okresie jesieni roku 1956 nadstawiali głowy za Gomułkę i faktycznie przeprowadzili „pokojołą rewolucję“. Nie wybrano do żadnych władz gen. W. Komara; S. Staszewski, który kierował wówczas warszawską organizacją PZPR, usunięty został ze składu zastępców członków KC, a młodego przywódcę robotników Zerania — L. Goździka wykończono już wcześniej nawet na terenie jego zakładów. Gdyby zjazd odbywał się zgodnie ze statutem wkrótce po październiku, pominięcie takich ludzi nie byłoby możliwe i KC mógłby wyglądać nieco inaczej. Kto wie, czy ten wzgląd nie przeważał przy odraczaniu zjazdu?

Spośród dwudziestu nowych członków KC — dziesięciu awansowało z zastępców, a Zarzycki nie jest właściwie nowy, bo był w pierwszym KC i wraca teraz po pięcioletniej przerwie. Resztę stanowią: trzech pierwszych sekretarzy wojewódzkich, dwóch ministrów, dwóch członków prezydium CRZZ i dwóch generałów.

Warto zaznaczyć, że armia poprawiła swój stan posiadania: wśród członków KC jest pięciu generałów: M. Spychalski, J. Bordziłowski, J. Zarzycki, Z. Duszynski i G. Korczyński, dwóch generałów jest wśród zastępców i jeden w Komisji Rewizyjnej. Również w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, obok dwóch zasiadających już w KC wiceministrów — A. Alstera i gen. M. Moczara, — jako nowy do KC wszedł minister W. Wicha, a do CKKP — generał milicji R. Dobieszak.

Na ogół nowy KC jest urzędniczy, z wyraźną przewagą zawodowych „aparatchyków“, wybitnie szary i pozbawiony wybitniejszych indywidualności. Nie znalazło się w nim miejsca dla W. Bienkowskiego, który — chociaż stary komunisty i „gomułowiec“, przez długie lata odsunięty od wszelkiego wpływu, ma tę niewybaczalną wadę, że przerasta innych inteligencją i ponoć lubi mieć własne zdanie. J. Hochfeldowi drogę powrotu do KC po pięciu latach zamknęły prawdopodobnie jego wystąpienia sejmowe w „roku nadziei“ 56, a może po prostu fakt, że należał kiedyś do PPS. Dawnych PPS-owców można w obecnym KC policzyć na palcach.

Poza prof. O. Lange nie ma w KC ani jednego z wybitniejszych ekonomistów. Bogate życie kulturalne „reprezentować“ ma w pojedynkę L. Kruczkowski — zwolennik „soc-realizmu“ i rygorystycznej cenzury dzieł literackich, który awansował z zastępcy. Na podobny awans zapracował prof. A. Schaff, który reprezentuje naukę wspólną z wszechstronnym prof. S. Żółkiewskim. Inteligencja, wiedza, a zwłaszcza samodzielność myślenia

— nie są odpowiednią rekomendacją do władz partii.

Sekretariat KC nie uległ zmianie, a do powiększonego z 9 do 12 członków Biura Politycznego weszli dwaj ludzie Gomułki: M. Spychalski i Z. Kliszko oraz E. Gierek, typowy „aparaczek”, zresztą wychowanek komunistycznej partii Belgii.

W związku z artykułem „Od gościa z Kraju” (ŻYCIE, 2/563) a podpisanym „Polski gość mniejszego kalibru”, pragnęłabym wypowiedzieć parę uwag na jeden, drugi zarzut pod adresem emigrantów.

Wydaje mi się, że pomimo wielu trafnych stwierdzeń o naszym życiu, pomimo słuszności w krytyce różnych stron naszego życia, Autorka nie uniknęła wielu uproszczeń. Faktu tego nie pomniejsza ogólnikowe zdanie, iż „problem emigracji tak polskiej jak obcej jest niesłychanie trudny”, ani też niektóre pochwały pod naszym adresem.

Sądzę, że wypowiedź Gościa Wcale Nie Mniejszego Kalibru pisana jest ze stanowiska nadmiernego sentymentalizmu. W każdej sytuacji trudno jest widzieć fakty jako fakty i oceniać je we właściwej proporcji, ale przy nastawieniu głównie sentymentalnym chyba najtrudniej jest dojrzeć i ocenić bez osobistego zadrażnienia i tonu urazy. Pewne rzeczy się wtedy wyolbrzymiają, inne pomniejszają i tylko sobie samemu człowiek gotów jest przypisać jasne i bezstronne widzenie.

Weźmy pierwsze z brzegu stwierdzenie Autorki, że Polacy „w bogatej od dawna Anglii” ulegają „swoistej egzaltacji na temat wszystkiego co angielskie”.

Owczem, Polacy wysoko cenią wiele rzeczy w tym kraju (np. system opieki społecznej, społeczną solidarność, nastawienie na nieutrudnianie sobie życia i przeświadczenie, że m o ż n a ufać człowiekowi, że słowo wypowiedziane rzeczywiście coś znaczy, itd.). Ale to wcale nie oznacza naszej egzaltacji na temat w s z y s t k i e g o c o angielskie, wszystkiego bez wyjątku, w przeciwieństwie do w s z y s t k i e g o c o polskie, jak to zdaje się wynikać z różnych sugestii Autorki. Bola ją te „niepokojące zmiany”, które się „w psychice polskich emigrantów dokonały”, a które „tylko my z Kraju możemy odczuć i dostrzec”.

Nasuwa się tu najpierw taka uwaga. — Oto gdyby Autorka przebywała nieco dłużej z nami, spotkałaby na pewno drugi typ emigrantów, którzy, choć żyją w Anglii już od wielu lat, zdają się mieć zasłonięty wzrok na wszystkie dobre strony Anglików i ich rozmaite urządzenia, potępiają tu wszystko w czambuł, od polityki i prasy poczynawszy. Dla nich nawet angielska uprzejmość, angielska ofiarność, wyrozumiałość dla cudzych nawet najbardziej ekstrawaganckich poglądów, to wciąż i tylko „angielska obłuda i wyrachowanie”. Nie ma co rozwijać i dalej komentować tej postawy, którą my tak dobrze znamy, z którą stykamy się co dzień. Wspominam o tym tylko dla skonstruowania jednego zaślepienia, tak licznie przez emigrantów reprezentowanego, z tym, o którym wspo-

Wydaje się, że Gomułka ma obecnie zespół KC i Biura Politycznego po swojej myśli i całkowicie nad nim panuje, ale gdyby się coś odwróciło, to w tym samym KC gotowy jest alternatywny garnitur starych „stalinołców”, równie bezwzględnych wobec własnego społeczeństwa, co służalczych wobec „wielkiego

mina Autorka. A choć gani ona to jako „egzaltację”, sądzę, że moralnie i umysłowo lepsza już taka egzaltacja, od tej, nie widzącej, nie c h c ą c e j widzieć nietolerancji.

Wydaje się, że nasi rodacy w Kraju mają fałszywy obraz warunków materialnych emigracji w Wielkiej Brytanii. Nie-

JANINA TOKARSKA

MEDAL MA DWIE STRONY

porozumienie to polega głównie na... wielkiej ofiarności emigrantów dla rodzin w Kraju, które nie zdają sobie sprawy jakimi nieraz wyrzeczeniami okupowane są te dary. A także tym, że jest tutaj garść emigrantów, g a r ś ć, jak na polskie standardy — b o g a t y c h. Bo Polacy świetnie zdali egzamin zaradności i umiejętności w borykaniu się z trudnościami życia na obcym terenie, w zdobywaniu wytrwale, szczebel po szczeblu, lepszych warunków bytu. Nauczyli się bowiem tego, czego powinni się nauczyć wszyscy Polacy — pracy fizycznej w razie potrzeby i sztuki liczenia oraz oszczędzania. Większa część emigrantów żyje jednak z pracy rąk nie tylko z powodu trudności w opanowaniu — zwłaszcza przez starszych — obcego języka, ale też i dlatego, że z pracy fizycznej w tym kraju łatwiej wyżyć niż z pracy „białokolnierzkowej” (jak tu się mówi).

Duch przekory ogarnia mnie, aby choć żartobliwie posprzeczkać się z Autorką, kiedy u niej czytamy:

„Gościowi z Kraju, który przyjeżdża do swoich wprawdzie z pustą kieszenią, ale z pełnym sercem, bardzo jest smutno, gdy słyszy zewsząd utyskiwania na długi z powodu wizyt z Polski. Większość z nas nie przyjeżdża po to, by się ubrać i wystroić”, etc.

Stanowczo nie mogę się oprzeć chęci przytoczenia autentycznego powiedzenia serdecznie mi bliskiej osoby i mego własnego Gościa z Kraju: „U nas każdy wyjazd za granicę traktuje się jako okazję do „odkucia się” w czym tylko można, by się zaopatrzyć, w co się tylko da; by zdobyć to wszystko, co w Polsce jest nie do zdobycia. Rodziny, które mają członków na stanowiskach państwowych „modlą” się o misję rządową dla nich. Dobry jest jakiś wypad do Rosji, już

brata”. Zmiany w KC, choć ilościowo dość pokaźne, faktycznie oznaczają raczej niewielkie korektywy. W partiach komunistycznych istotne zmiany w kierownictwie nie dokonują się na zjazdach, lecz w mniejszym gronie.

Jan Radomyski

nie tak korzystny na Bałkany: ale szczytem marzeń jest misja na Zachód”. I to jest prawda. I nikt z nas nie ma tego za złe rodakom z Kraju. Chyba przeciwnie: każdy, kogo tylko było stać na parę darów, cieszy się na widok pełnych walizek, które z naszym krewnym czy przyjacielem pojadą sobie do Kraju. „Moja córka przyjechała z ręczną walizką do mnie. A gdy wracała, miała tyle tobołków, że musiałem dopłacić sporo za jej bagaż” — opowiadała mi niedawno z dumą pewien „emigracyjny” ojciec, który choć chory na serce, ciężko pracuje, aby sobie właśnie na taką radość móc pozwolić.

Jeśli zaś chodzi o wspomniane utyskiwanie na długi z powodu wizyt z Polski... Jakże temu nie przyznać słuszności. Oczywiście, nie należy częstować go ś c i tego rodzaju uwagami. Zapewne takie niefortunne słowa się zdarzały i stały się powodem jakże niepotrzebnych przykrości. Lecz obraz byłby jednostronny, gdyby nie wziął pod uwagę wszystkich realiów. Przecież sprowadzenie gościa z Kraju, utrzymanie tutaj, „obspraśnienie” ich, pokazanie im czegoś, to istotnie j e s t wielki wysiłek finansowy. I to bez względu na to, jakimi środkami się rozporządza. Wiedzą coś o tym nawet firmy wysyłające paczki do Kraju. Ich obroty znacznie się zmniejszyły od 1957 roku, gdy — z czego nie przestajemy się cieszyć — tylu rodaków mogło i może wyjeżdżać na Zachód.

Ale odłożmy stronę materialną, pomimo wszystko nie najważniejszą w tej sprawie. Znacznie silniej w tych spotkaniach Emigracja — Kraj wybija się czynnik, powiedzmy, psychiczny. Rzecz zastanawiająca, jak trudno wśród tych spotkań po latach odnaleźć się najbliższym: żona — mąż, brat — siostra, siostra — siostra, ojciec — syn... Dochodziły mnie nieraz zastanawiające wieści o nieporozumieniach, nierzadko bolesnych zadrażnieniach, a nawet zerwaniach wśród tych sobie najbliższych. Jak t o sobie tłumaczyć? Zapewne przyczyn jest wiele. Życie tyle, tyle lat w bardzo różnych warunkach, w innych światach pojęć i wartości. Ale taką „pierwszą z brzegu” przyczyną, a tak często zapomnianą, jest zmieniony wiek... Starzejemy się i trochę skostnieliśmy w swoich odmiennych nastawieniach i reakcjach, wiek uczynił nas słabszymi, a więc też mniej wyrozumiałymi i odpornymi na zadrażnienia. A dodajmy jeszcze zmęczenie przeżyciami, które nadważyły siły psychiczne Polaków po obu stronach burty!... Brak wymiany doświadczeń, brak tego, co pewien francuski pisarz nazwał „wielką sztuką starzenia się razem”, brak wymiany myśli na tle życia codziennego, a nie na kartce listowego papieru: wszystko to rozluźnia więzy pomiędzy najbliższymi nawet so-

bie ludzi. Przysłowiowy „zab czasu“ nadgryza wiążącą nić. Taka niestety jest rzeczywistość.

My, Polacy, mamy tego klasyczny, niezmiernie literacki przykład, który tu przypominam jako symbol tego, o co mi chodzi: spotkanie Słowackiego z matką, spotkanie po kilkunastu latach rozłąki... emigranta z Gościem z Kraju... Czyż znamy podobny wyraz miłości, podobny obraz czulszego przywiązania i oddania synowskiego serca, ciągłej rozmówianej

pamięci o matce, jakiego dowodem są listy Słowackiego? A kiedy tych dwoje tak się kochających spotyka się po latach rozłąki, wkrótce widzą, że nie mają sobie wiele do powiedzenia, a po paru dniach jedno zaczyna po prostu ciężać drugiemu i rozumiawszy się tak dobrze na odległość, widzą, że nie rozumieją się już, kiedy znaleźli się przy sobie. Wiemy, że sytuację uratowało — w takim stopniu, w jakim to było możliwe — serce matki, gdy oświadczyła na pożegnanie,

że kocha dalej swego syna, takim, jakim jest...

Czas w takich sprawach nie bywa sprzymierzeńcem i nie stoi, jak Solveig, czekając na progu. Dlatego też niech się Gość Jakiegokolwiek Kalibru nie dziwi znanadto niczemu i zbyt surowo nie sędzi emigrantów. Albo powiem inaczej: niech nie sędzi! t y l k o emigrantów.

Miłujmy się... takimi, jakimi jesteśmy.

Janina Tokarska

Kto znał Lwów, z pewnością podziwiał niezwykły klejnot architektury — Kaplicę Boymów. Ten jedyny w swym rodzaju zabytek XVII wieku mieścił szczątki doczesne Boymów, zamożnej rodziny mieszczańskiej, pochodzącej z Węgier, spolszczonej całkowicie. Patriarcha rodu, Paweł Jerzy Boym (1581-1641), szanowany kupiec, rajca i wójt grodu lwowskiego, spoczywa wraz z synami i wnukami w kaplicy przez niego wzniesionej.

Brak w tej kaplicy jednego imienia: sprzed laty trzystu: księdza Michała Piotra Boyma, jezuitę, którego grób starty został zapewne z powierzchni egzotycznego kąta ziemi — w Kwangsi, w Chinach. Z Kamienicy Dziurdziowskiej przy ul. Trybunalskiej 10 we Lwowie zawędrować do Chin, by tam złożyć życie — to daleka i ciekawa droga. Godna przypomnienia, kusząca do opisania, utrwaleń obszerniejszego, wszechstronniejszego.

Archiwa zakonu jezuitów kryją skarby dla badacza i historyka. Towarzystwo Jezusowe, szczególnie w XVII wieku, rozszerzało swe przemożne wpływy na cztery kontynenty. Działalność misyjna, kolosalna i owocna, szła krok w krok ze zręczną grą polityczną, jak na przykład w historii ojca Michała Boyma i jego pracy misyjnej.

W 1628 roku, będąc czternastoletnim chłopcem Michał Boym, w obliczu grożącej mu śmierci, ślubował św. Franciszkowi Ksaweremu, że poświęci się pracy misyjnej na Dalekim Wschodzie. Cudownie ocalony, wstąpił do zakonu jezuitów w Krakowie 16 sierpnia 1631 roku. Ojciec jego, Paweł, doktor uniwersytetu w Padwie, nawrócony z całą rodziną z węgierskiego protestantyzmu, nie stawiał synowi przeszkód, chociaż rokowano mu świetną przyszłość w rozległych interesach kupieckich rodziny. Po przejściu nowicjatu, Michał Boym studiował filozofię w Kaliszu i teologię w Krakowie. Święcenia otrzymał we wrześniu 1641 r.; krótko po śmierci ojca i po odbyciu trzydziestoletniej próby zakonnej w Jarosławiu wyjechał do Rzymu. Tam przygotowuje się do pracy misyjnej i — po przyjeździe do Lizbony — przydzielony zostaje do grupy 10 księży i kilku kleryków, z którymi pod koniec 1643 roku odplywa do Makao.

O. Michał Boym obdarzony był nieprzeciętnym talentem pisarskim i zmysłem obserwacyjnym. Podczas tymczasowego postoju w drodze do Chin, w Mozambiku, wysłał do przyjaciela w Rzymie, o. Cieślaka, list po łacinie z barwnym opisem Kafrarii i załączył własne rysunki fauny i flory Mozambiku. Jest

TADEUSZ ZIARSKI

Dotrzymane ślubowanie

to pierwsza znana relacja Polaka z tamtych, egzotycznych stron. O. Boyma można by więc nazwać „ojcem polskiego reportażu“...

W Makao polski misjonarz uczy się języka chińskiego, zapoznaje się z chińską medycyną i z metodą pracy misyjnej. Otrzymuje chińskie imię: Pu Mi-Ko Cze-jüen i przez kilka miesięcy wykłada w kolegium jezuitów św. Józefa w Makao. Pierwsze zadanie misyjne zostaje mu powierzone na wyspie Hai-nan, gdzie pracował już inny misjonarz, o. Benedykt de Mattos. Zbrojna ekspansja Mandżurów, stopniowo podbijających Chinę, zmusiła misjonarzy do przeniesienia się w 1647 roku do Tonkinu. Tam o. Boym pomaga ks. Emilowi Cardoso i kończy rozpoczęty na Hai-nan osiemnastokartonowy atlas Chin.

Po zajęciu przez Mandżurów północnych Chin, ostatni przedstawiciel dynastii Mingów, Yong, pretendent do tronu, przeniósł swój dwór do południowych prowincji, tocząc nierówną, beznadziejną walkę z najeźdźcami. W drugiej połowie 1649 roku o. Boym zostaje wysłany na dwór pretendenta. Portugalia, usiłując utrzymać swe wpływy i stan posiadania na kontynencie azjatyckim, wysłała pewną ilość żołnierzy dla wsparcia wojsk Yonga. Kapelan portugalski, o. Koflek, odniósł poważny sukces, nawracając w roku 1648 cesarzową-matkę i sześć kobiet z dworu. Później nawet synek pretendenta został ochrzczony, otrzymując imię Konstantyna. W związku z tymi doniosłymi wydarzeniami dyplomacja jezuitów w Chinach zaczęła liczyć na pomoc niektórych państw europejskich dla ostatniego z Mingów, sprzyjającego chrześcijaństwu.

W imieniu cesarzowej-matki, o. Michał Boym, w towarzystwie dwu młodych Chińczyków, zostaje wysłany w poselstwie do papieża, i wpływowego generała jezuitów. Portugalczycy, obawiając się represji ze strony Mandżurów, czynili wszystko, aby udaremnić misję. Postępy Mandżurów były tak wielkie, że Portugalia zanlechała udzielania efektywnej pomocy pretendentowi. Na początku stycz-

nia 1651 r., przy pomocy prowincjała zakonu, udaje się polskiemu misjonarzowi opuścić Makao i dotrzeć do Goa. Tam trudności rosną. O. Boym decyduje się odbyć dalszą podróż łądem. Trwa ona blisko dwa lata, przez Golkondę, Ispahan, Tauris i Smyrnę, skąd statek zabrał go do Wenecji. Z początkiem grudnia 1652 roku uciążliwa, choć interesująca, podróż dyplomatyczna jest skończona. Zaczyna się bardziej jeszcze uciążliwa dyplomatyczna gra.

Początkowo, w Wenecji, sprawy wyglądają pomyślnie. Poseł francuski popiera akcję dyplomatyczną jezuitów, sam doza przyjmuje o. Boyma na uroczystej audyencji, a w senacie weneckim przedstawiony zostaje jako „ambasador chińskiej cesarzowej“.

Działalność misyjna jezuitów w Chinach wymagała stałego poparcia zaplecza europejskiego. Polski zakonnik pisze w Wenecji i rozsyła do wszystkich uniwersytetów apologię jezuitów metody misyjnej w Chinach — „Ratio eorum, quae a PP. Soc. Jesu in Imperio Sinarum fieri solita sunt, dilucide proposita“. Zaskakuje tym generała zakonu i kurię w Rzymie, którzy z nieznanых przyczyn nie odpowiadali na listy o. Boyma i jego prośby o pozwolenie na akcję na rzecz misji w Chinach. Trudności piętrzyły się niepokojąco. Stałe intrygi celowo uniemożliwiały dotarcie misjonarza do papieża Innocentego X. Przybywszy do Rzymu, o. Boym przez trzy lata czekał na audyencję u Ojca św. Prawdziwość jego poselstwa i autentyczność listów od cesarzowej-wdowy były podważane, wścizając niechęć i niepewność w najbliższe otoczenie papieża. Specjalna komisja kardynalska zbierała się kilkakrotnie, badając pisma i przesłuchując „ambasadora“.

Tymczasem zmarł Innocenty X i nowy papież Aleksander VII przyjął wreszcie o. Boyma na specjalnej audyencji, i po przestudiowaniu listów, wręczył mu odpowiedź dla cesarzowej.

Po trzech latach czekania i dwuletniej podróży, misja zdawała się dopięć celu. O. Boym wyjeżdża do Lizbony i z licznym zespołem misyjnym odplywa z końcem marca 1656 r. do Goa. W Chinach sytuacja pretendenta pogorszyła się. O. Boym pieszo podąża do Meliapuru, skąd kupiec muzułmański zabiera go na swym statku do Pegu. Jest już początek 1658 roku. Niestrudzony Polak znajduje się w dawnej stolicy Siamu, Ajuthia. Zastaje tam grupę misjonarzy z Goa. Zdążają oni do Makao, lecz władze zakonne

(Dokończenie na str. 33)



NOTY O TWÓRCZOŚCI MŁODYCH POETÓW KRAJOWYCH

ZAKOŃCZENIE CYKLU

Podjmując zadanie przedstawienia czytelnikom ŻYCIA twórczości młodych poetów w Kraju, we wstępie już zaznaczyliśmy, że nie chodzi nam o wyczerpujące studium, ale raczej o wybór i przegląd. Wybór dokonany przez nas z dostępnych w Londynie materiałów i przegląd możliwie wszechstronnie naświetlający różne aspekty twórczości młodych poetów, którzy mieli szczęście czy nieszczęście trafić pod nasze pióra. Termin „młodzi poeci“ obejmuje w naszym ujęciu tych wszystkich, którzy zadebiutowali po wojnie i w czasie wojny. Pominęliśmy natomiast tych, którzy — jak Baczyński, Gajny i Stroński — zginęli w Powstaniu. Ich twórczość bowiem związana jest ściśle z okresem okupacji i kończy się Powstaniem oraz śmiercią poetów, tworząc w ten sposób osobny i zamknięty rozdział w naszej literaturze. W naszych rozważaniach ograniczyliśmy się do twórców żyjących w rzeczywistości społeczno-politycznej tzw. Polski Ludowej. Poetami okupacji i Powstania, którzy są bardziej znani dzięki artykułom, jakie drukowała o nich prasa emigracyjna, zajmiemy się w najbliższej przyszłości, o ile życie ŻYCIA nie zostanie w międzyczasie ucięte.

W przeglądzie naszym staraliśmy się uwzględnić możliwie największą różnorodność światopoglądową od socrealistów począwszy a na katolikach i paxowcach skończywszy. Obok poezji ciekawych i wartościowych znalazły się tam także inne, nie mniej zapewne ciekawe, choć o problematycznej wartości. Interesują nas bowiem nie tylko rezultaty udanych eksperymentów twórczych, ale także i potknięcia, a szczególnie przyczyny potknięć. Innymi słowy, nie tylko poezja, ale i proces jej powstawania oraz wpływ określonej rzeczywistości na ten proces.

Twórczość poetycka w Kraju po zakończeniu wojny, podobnie zresztą jak wszelka działalność artystyczna, została objęta specyficzną „opieką“ organów partii, która przy pomocy naszych wschodnich sąsiadów ujęła władzę w swoje ręce. Planisci partyjni chytrze wykombinowali, że nieskoordynowane nurty i nurciłki literackie można scalić w jeden potężny nurt, który odpowiednio pokierowany obracać będzie żarna w państwowych młynach propagandy. W wyniku tego rozumowania zamknięto poetów do ciepłej i wygodnej jak na owe czasy „klatki“, gdzie w myśl z góry ułożonych instrukcji mieli oni śpiewać chóralną pochwałę państwa socjalistycznego. Trzeba przyznać, że wielu próbowało śpiewać. Jedni czynili to ze strachu, inni z przekonania, że tak trzeba, a jeszcze inni, bo mieli po prostu słabość do pieniędzy. Był to jednak, summa summarum, niezbyt przyjemny dla ucha śpiew ludzi, którzy pieją bardzo nieswoim głosem. Z tych „pieśni“ wyrósł nurt twórczości literackiej określany mianem socrealizmu, a także i satelitizmu. Poetów bowiem obowiązywała nie tylko twórczość wychwalająca przemiany, jakich terenem stała się Polska powojenna. Obowiązywało ich również sławienie jedności i przyjaźni wewnątrz bloku socjalistycznego oraz potępienie wszystkiego, co w jakikolwiek sposób mogło wiązać się z Zachodem, a więc w ujęciu socrealistów z blokiem kapitalistycznym. Słowem, Muzę zaprzęgnięto do rydwanu „rewolucji“. Na rydwanie zna-

lazło się miejsce — rzecz jasna — dla tych tylko, którzy uwierzyli, względnie udali wiarę, w zwycięstwo socjalizmu, oddając swoje pióra i talenty na usługi rządzących. W historii nieraz się zdarzało, że władcy szukali towarzystwa poetów oraz usiłowali wykorzystać ich umiejętności dla swoich celów. Nigdy jednak przedtem nie „zmobilizowano“ piszących na tak szeroko zakrojoną skalę, ubierając przy tym poetów w mundury urzędników państwowych pozbawionych elementarnego prawa swobodnej twórczości. Okazało się, że mecenasa-partia jest znacznie bardziej wymagający i bezwzględny od mecenasa-monarchy czy mecenasa-możnowładcy. Wymaga bowiem ślepego posłuszeństwa, nie znosi krytyk, a swobodę twórczą uważa za niebezpieczny rodzaj herezji. Jan Kochanowski — sekretarz królewski, Andrzej Morsztyn, referendarz W. K. i podskarbi, St. Trembecki, szambelan St. Augusta, w lepszych niewątpliwie od naszych dla poezji żyli czasach. Piastowane urzędy nie kępowały polotu ich pióra. Byli bowiem poetami i urzędnikami a nie urzędnikami od poezji.

Ponieważ państwo objęło swoją kontrolą wszystkie dziedziny życia społeczno-politycznego, stąd dostęp do opłacalnej materialnie twórczości przypadł w udziale tym tylko, którzy zechcieli się podporządkować wytycznym C. K. Partii czy jego figurantów w Związku Literackim. Zważywszy, że „rewolucja“ nie była spontanicznym zrywem narodu, a wręcz odwrotnie: zjawiskiem przemocą importowanym ze Wschodu, więc też współpraca z narzuconym reżymem w dziedzinie literatury nie była zbyt pociągająca. Miała posmak zdrady, odejścia od tradycji rodzimej, nierozzerwalnie związanej z katolicyzmem i umiłowaniem wolności. Nieludzkie warunki życia, beznadziejna sytuacja geopolityczna, presje rozmaitego kalibru i rodzaju, zachęty i poszturchiwania sprawiły, że spora grupa ludzi na współpracę poszła. Zaczęło się odzęgniwanie od szlachecko-mieszczańskiej przeszłości, deptanie dotychczasowych ideałów, a wynoszenie ponad niebiosą tzw. ludu pracującego i jego przywódców. Miarą wartości i przydatności stał się brak obciążeń ziemiańsko-burżuazyjnych, powiązań awangardowych, akcentów estetyzmu, futuryzmu czy ekspresjonizmu. Z drugiej strony, tematyka zaczerpnięta z wierszy Majakowskiego i poparta nadsłownictwem jego poetyki okazała się pewnego rodzaju paszportem do kraju sławy, popularności a więc i dobrobytu.

Do kosza ze śmieciami poszły odwieczne tematy poezji, jak miłość, ból rozłąki, urok przyrody, tęsknota za tym co przemknęło, radość życia, smutek i rozpacz, poszukiwanie prawdy i piękna. Na pierwszy plan wysunęli się ludzie w mundurach-kombinezonach, traktory, kombajny, fabryki. Było to zupełnie zgodne z planem komunistycznym odwrócenia uwagi od indywidualnego człowieka, który w totalnym systemie całą swoją rację bytu czerpie z faktu spełniania małej funkcji technicznej w całości wszechobjmującego mechanizmu. Nadszedł czas opiewania anonimowych mas zaangażowanych volens nolens w nurt tzw. budownictwa socjalistycznego. Tak jak w polityce zwyciężyła (chwilowo i pozornie) siła, tak w literaturze zapanał dogmat obowiązujący pod karą milczenia wszystkich

pisujących. Niektórzy woleli zamilknąć, inni podjęli twórczość, którą, jak już wspomniano wyżej, zwykło się określać mianem socrealistycznej.

Młodzi ludzie o zacięciu literackim mieli do wyboru albo pisanie „do szuflady” w zupełnym niemal odosobnieniu, albo przynależność do Kół Młodych Literatów, gdzie pod okiem politruków od literatury mogli się zaprawiać w pisaniu drętym stylem wierszowanych propagitek. Za prawo do pisania i drukowania swoich utworów musieli oni zapłacić wysoką cenę wyrzeczenia się własnego, indywidualnego oblicza. Z tych kół wywodzi się grupa młodych poetów ochrzczona wspólną nazwą przyszczatych (Braun, Woroszyński, Mandalian, Bratny, Nowak), która do poezji wniosła pamflety polityczne, drętwą mowę sloganów wiecowych, kłamstwo i negację wartości humanistycznych. Naturalnie, przesada w potępieniu jest równie groźna jak przesada w pochwałach. Wśród propagandowych referatów udających poezję, wśród poematów na cześć Stalina czy reportaży z wojny koreańskiej, napadały przyszczatych wątpliwości, gorycz, smutek. Pod wpływem tych zakazanych ludzkich uczuć pisywali oni wiersze, które kiedyś w przyszłości pozwolą wspomnieć ich imiona nie tylko z niesmakiem czy wzruszeniem ramion. Z biegiem czasu okazało się, że nie tylko plany gospodarcze szwankują w wykonaniu. Plany odnośnie poezji także wzięły w łeb. Nie udało się zawiadnąć, jak tego pragnęli komunisti, duszami młodych Polaków. Literatura socrealistyczna załamała się wraz z osłabieniem terroru policyjnego. Październik przyniósł, a może już tylko usankcjonował to, co od dłuższego czasu torowało sobie drogę w umysłach i twórczości wielu młodych (i niemłodych) pisarzy. Z chwilą kiedy warunki zewnętrzne na to pozwoliły, okazało się, że istnieje w Polsce grupa poetów, którzy pozostali wierni sobie oraz swoim koncepcjom sztuki poetyckiej. Można by zaryzykować twierdzenie, jakkolwiek może ono się wydać przedwczesne, że ci niezaangażowani politycznie poeci uratowali literaturę polską od kompletnej degrengolady i kompromitacji. Nazwiska Białoszewskiego, Czuczajewskiego, Grochowiaka, Herberta, Harasymowicza, Karpowicza i innych — dziś już posiadają o wiele większą wagę niż nazwiska głośnych do niedawna partyjnych wierszopisów. Zwyciężyła poezja, która nie szuka poparcia klasy rządzącej, która nie czerpie natchnienia z kas partyjnych i partyjnych ideologii. Okazało się, że nawet w tak ciężkich — beznadziejnych na pozór — warunkach wyrósł młode pokolenie poetów zawiązujących swoje osiągnięcia talentowi, charakterowi i znajomości artystycznego rzemiosła. Reprezentują oni typ twórczości, przy całym jej zróżnicowaniu, zaangażowanej w odwieczne problemy życia człowieka. Twórczości niekonformistycznej, zbuntowanej wobec narzuconych siłą kanonów, szukającej własnych dróg rozumienia i odczuwania, a przede wszystkim pulsującej autentycznym życiem.

Poetyka Skamandra i Awangardy (choć raczej ta druga wybija się na plan pierwszy) próby surrealizmu, wiersz przeważnie wolny, tendencja do anty-walorów, unikanie lirycznych rozlewności, obnażania własnych uczuć, idą w parze z tradycyjną strofą, rymem i rytmem, skłonnością do ironii, sceptycyzmu, satyry i groteski, nawet lekkomyślnego wybudzania się kosztem nieświadomego i naiwnego nieraz odbiorcy.

Obok poważnej twórczości poetyckiej ujawniło się także sporo dziwacznych eksperymentowania, wesołego baraskowania na lirycznej łączce, niefrasobliwego wierszowania wiosennych wrzuseń bez najmniejszej dbałości o kształt artystyczny wiersza. Przy tym, dzięki chwilowej koniunkturze wydawniczej zaroilo się od kandydatów do nagrody wienca poetyckiego w postaci honorarium z PIW-u, Iskier czy Czytelnika. W jednym z konkursów poetyckich przed paru laty wzięło udział ponad pięćset autorów. Kiedy się o tym słyszy lub czyta, przychodzi na myśl konkursy poetów ulicznych w Barcelonie, gdzie tradycyjnie przyznawano trzy nagrody: trzecią stanowiła róża srebrna, drugą — złota, a pierwszą prawdziwa róża. Należy wątpić czy warszawscy lub poznańscy kandydaci ubiegali się w takich warunkach o palmę (albo raczej różę) pierwszeństwa.

Smutno się robi przyjaciółom prawdziwej poezji, kiedy widzą jak szpalty pism krajowych (exemplum „Trybuna Literacka“) zalewane są nurtem zgoła grafomańskiej twórczości. Łatwość, z jaką pisze się dzisiaj wiersz wyzwolony z więzów rygorystycznej strofy, sprawia, że nieprzeliczone szeregi młodych ludzi pici obojga, walczą dziś z piórem w rękę o wieniec poetycki pisząc ponure banały, strzępy wiadomości dziennikarskich, lub urywki z autobiografii, które nie wiadomo jakim cudem „biegają“ za przykład poezji nowoczesnej. Warto zacytować w

tym miejscu słowa Jalu Kurka z jego artykułu „Poezja nad poziomem morza“ („Przegląd Kulturalny“, nr 38, 1958): „Idąc drogą łatwizny eliminowaliśmy wysokie osiągnięcia techniki poetyckiej, rzetelne dokonania w zakresie kultury rzemiosła. Nie uważałbym tego wcale za coś poniżającego, sądzę, że dobrze byłoby zadawać terminatorom poetyckim ćwiczenia seminaryjne w rodzaju pisania sonetów, strofek regularnych, wprawek w rymowaniu, improwizowania rytmicznych układów bezbłędnie, za pomocą ucha (nie wybijaniem na palcach) — jedynym słowem śmieszna szkółka podstawowa, wdrażająca jednak w swoje rygory poetyckie tworzenia. Poezja — powtarzam — to również techniczna umiejętność, a nie lanie wody lirycznej z rekawa. Także i w tej dziedzinie, jak w wielu innych dziedzinach naszego życia współczesnego, panują niestety smutne zasady: brak szacunku dla fachowości, dla wiedzy rzetelnej, dla wykształcenia.“ I dalej: „Czy nie zauważyliście, że od lat zniknął z obiegu termin „grafoman“? Co się stało? Czy by już ich nie było na szczęście? To znamienity objaw. W domu powieszono nie mówi się o stryczku. Zdobyć ostrogi poety, być drukowanym, przeczytać o sobie pochwalną recenzję pióra kolegi — staje się coraz częściej kwestią przypadku, szczęścia, sprytu, znajomości, koniunktury, załgania, a nie rzetelnego wysiłku. Jesteśmy świadkami łatwych, * jednodniowych karier poetyckich. Kim jest grafoman dzisiaj? Tym, któremu się nie udało w odróżnieniu od poetów, czyli tych, którym się powiodło“. Te surowe, ale słuszne słowa, są niestety odosobnionym głosem wołającego na tłoczonym jarmarku, gdzie z przymrużeniem oka sprzedaje się bez żadnej tandetny frajerom. „w braku samokontroli twórców — gdzie odważna kontrola ze strony krytyki? Nie masz krytyki w Polsce. Bo drętwe tasiemce recenzyjne polonistów, oparte na wąskich, snobistycznych guścikach, nie pomagają w uporządkowaniu problemu.“ (ibid.).

A problem zaczyna przybierać rozmiary niepokojące. Kompletny brak okrutnej a mądrej i konsekwentnej krytyki, zupełny chaos w teorii, niedouczenie, niedostatek kultury literackiej i znajomości rzemiosła u piszących — wszystko to wpływa fatalnie na poziom utworów i utworzków, jakim częściej się z fatalnym skutkiem i tak nielicznymi, a coraz bardziej zniechęconych konsumentów poezji. Nadmierny optymizm co do jej bujnego rozwoju nie byłby chyba usprawiedliwiony. Ukazało się wprawdzie sporo tomów akumulowanych w szufladach przez lata terroru. Ale kiedy ten zasób się wyczerpał, trudno o rzeczy nowe, które by poziomem artystycznym dotrzymały pola tamtym, a zwłaszcza o ciekawe i obiecujące debiuty.

Życie pośpieszne, a trudne, wypełnione troską o chleb i niepokojem o przyszłość, nie pozostawia wiele czasu na namysł ani na staranniejszą lekturę. Często w dobrych składniach wierszach, świadczących o ciekawie zapowiadającym się talentcie, znaleźć można rażący banał, płaski prozajizm, zdumiewającą naiwność.

Młoda poezja krajowa, przy nielicznych wyjątkach, jest zielona. Może tak być powinno. Może będąc młodą ma do tego prawo. Niestety, warunki na to, by zdrowo dojrzała i dała dobre owoce — nie są najpomysłniejsze.

Kończąc nasz cykl o twórczości młodych poetów krajowych, zdajemy sobie dobrze sprawę, że być może nie przeorałmy dość głęboko i szeroko tego zagadnienia. Na emigracji ukazuje się jednak sporo innych pism, a parających się literaturą i krytyką pisarzy jest legion. Czas chyba otrząsnąć się z błędnego snu o przeszłości i zająć się rzeczywistością rosnącą i rozwijającą się twórczości poetyckiej w Kraju, której analiza więcej nam powie o tendencjach nurtujących młode pokolenie niż niejedna ankieta czy tuzin wstępnych artykułów.

Z pewnością w naszych rozważaniach znaleźć można luki, niedociągnięcia, zdania i osady niekoniecznie słuszne w stu procentach, czasem może niesprawiedliwe i krzywdzące. Jeśli tak, to wypływają one nie tyle z osobistych uprzedzeń, czy chęci dokuczenia komukolwiek, ile z niedostatecznych informacji o życiu współczesnej Polski, której obraz jakże często sami Polacy gorliwie fałszują i zaciemniają.

Jeżeli mówiliśmy prawdę — to z przekonania, jeżeli myliliśmy się czasem, to bez premedytacji. Mamy nadzieję, że ci, którzy zechcą podjąć tę pracę, którą nam z wielu względów wypada zakończyć, wykonają ją w sposób bardziej sprawiedliwy, wyczerpujący i doskonały niż niżej podpisani.

Z. Ławrynowicz i M. Paszkiewicz

Migawki z podróży

pojechałem w pustynie i puszcze
w poszukiwaniu porównań.

w myślach robi się tłok,
prze ciżba,
jak bydło u wodopoju,
jak rzesze wielbłądów u studni.

mimo to, co wleczyć
wiatr ziarna rzeczywiste,
jedno po drugim łuska,
z legend na jaw wychodzą
prawdy zasadnicze
z bajek ciemnych i leśnych
jaśń się intymna przędzie.

w językoznawczych podsłuchach
duszy ludzkiej jedność
doświadczy się i sprawdza.

nie ma śmieszności w afryce,
nie moja robić, moja być,
biała twarz przychodzić w pagórek,
lecz słów ład i myśl dostatność
których nie powstydziliby się bard.

nie jestem awanturnikiem —
[podróżnikiem,
choć podróżuję w poszukiwaniu
[porównań.

nie poluję na krokodyle,
lwów unikam, dla wężów nie ma mnie
[w domu.
biorę paludrynę, śpię pod siatką
gotuję wodę przed picciem.

wieczorami pleśni,
dziwne pleśni
ogromne słupy dźwięku,
wysoko nad ogniska,
w niebo wietrzne, otwarte,
by pułap gwiazdny
twardo i rzeczywiście podeprzeć.

wiele rzeczy nadal zostało
trudnych i niezbadanych:
jaką drogą, jakim tunelem
powraca słońce w nocy z zachodu na
[wschód?
jakim nieprzenikalnym okrywa się
[piaszczem,
żeby ludzi nie budzić ze snu.

dni gorące, żniwa porównań.

... ostry, chropawy,
jak ogon rzeczno-krokodyla...

ŻYCIE -- Nr 5/6 (566/567)



Bogumil Andrzejewski

...smutny, osowiały, przytłoczony
[wizjami
jak marabut, ptak wyniosły i ponury...

... ociężały jak słoń,
wypłowiwały i szary,
z trąbą oczerwieniłą
od światła zachodu,
w nasłuchu szerokim, dwuosznym,
zapadający się bezwolnie
w trawę wysokopięną i zmierzch...

... przezorny i odważny
jak ichneumon,
który ziół szuka
w zaułkach pustynnych —
odtrutki na węzowy jad...

...hojny jak hiena,
która wzywa swe towarzyski
do wspólnej bleslady,
nie chowając niczego dla siebie...

...uśmiechnięty jak szakal...

...chryza jak antylopa,
której stopa
traci kontakt z rzeczywistością
rozpalonej gleby...

...wnikliwa jak żyrafa
w wysokowartościowy, witaminowy
gąszcz...

...skłonna do kąpieli w bajorach
jak córki króla hipopotamów...

...zapobiegliwy jak kameleon...

...wielbłądować po pustkowiu,
wielbłądzić pod wysokimi drzewami
w dni upalne,
wielbłądniczyć ludziom obcym
i zagubionym...

...uplając się jak bydło pustynnym
[mirażem...

...czuwać jak czuwają małpy na
drzewach podczas patrolu lampartów...

...stać zadumany jak nosorożec
na rogu afryki...

im człowiek staje się starszy
tym większą ma chęć do migawek,
do fragmentyzacji spojrzeń.

Wiersz o gospodarce finansowej na wyspach wesołych lemurów legendarnych, szerokopalczystych

podstawą naszych obrotów
jest kredyt optymizmu,
księżyc naszą nocną mennicą.

w dzień słońce wypuszcza w obieg
złociste przekazy radości,
płatne co wieczór lub nigdy.

tarcza słoneczna
krąży wokół szumiącego lasu
nikt na jej obrót
nie nakłada obrotowego podatku.

nad brzegiem morza
kolibry mają swoją gleidę
rejestrują piskliwie
gdy idą w górę czy w dół
ich pierzaste, wielobarwne akcje.

nikt nie nosi pieniędzy,
wszyscy ufają wszystkim,
weksle żyruje się ustnie,
normalnie nawet bez świadków,
a protesty sporządza się tylko we śnie
po to tylko, by po przebudzeniu
wrzucić je do kosza z kokosowej
[wikliny.

w bankach palmowych liści
używa się zamiast czeków,
które potem wiatr dyskontuje po
[łakach.

kiedyś zbankrutowało morze,
zbańczył, splajtował ocean,
była ogólna licytacja ryb,
nawet rekiny dawano w zastaw,
wieloryby tak pokarłowiały od
[lichwy,

iż brano je za śledzie,
ileż potonęło wtedy
niewypłacalnych delfinów!

lecz my, lemury szerokopalczaste,
przetrwaliśmy kryzys,
żując stołcko,
orzechowe łupiny.

i nawet teraz, jeszcze,
dochód to jak powtarzający się
przyływ szerokich fal,
rozchody to odpływ nieunikniony
wody słonej i sinej,
podatki, woda szybka,
wsiąkająca bezpowrotnie
w płach nadbrzeżny.

wszystko przychodził, odchodził
gwiazdy kręcą się w nocy,
wokół wysp lemuryjskich
okręca się senne słońce,
i gdyby ono stanęło,
gdyby stanęły gwiazdy,
naprawdę byłoby zastój.

gdy kręcą się koła wozu,
pomiędzy szprychami nie widać,
pustki, rozlewu i dziur;
tak i my, w obrotach gwiazd,
które się kręcą wokół
wysp tropikalnej lemurił,
pokrywamy weselem
budżetowe luki,
złocimy sennie nasze
optymistyczne ubóstwo,
nasz tropikalny dostatek.

O demokracji w kraju legendarnych lemurów tropikalnych

w lemurił panuje wolność słowa:
każdy myśli co chce.

opowiadać można wszystko,
bo wszystko biorą za bajki
a pogodna pogoda neutralizuje
wszelki kwas.

robić też można co się chce,
lecz nikomu nic nie chce się robić.

Jest demokratyczna monarchia,
króla wybierają przez bezgłośną
[aklamację,
klapiąc mięciutkimi łapkami
na znak przyzwolenia.

Rzecz o bajkarstwie — nauce pomocniczej etnografii i filologii

żeby zajmować się bajkarstwem
trzeba być jak piernik nadziewany
[dziwem,

być sennie wrażliwym,
trochę legendarnym,
trzeba lubić marcepan,
mieć schrup na orzechy
holdować czarnym kotom
i niedźwiedziom z pluszu,
widzieć sztukę w błazństwie
i pobłażać bladze.

przez lat sto trzydzieści
uczeni wysuszeni
filologią niestrawną
i etnografią wzbudzającą mdłości
zbiierali baśnie jak odłamki skał
tak, iż tym co czytali
powykruszały się zęby
i nawet niemowlęta mówili
iż te opowieści posiadają
tępy posmak gipsu.

aż nareszcie, w dniu porównania
jesiennego dnia z nocą,
przyjechał pociągiem
spóźnionym o tydzień
bajkarz czarodziej.

do suchych stron
suchego kadzidła dosypał,
zapalił wszystko na wietrze.
z płomieni jednorożec,
wieńcem róż osiódłany wyskoczył,

tupnął głuchym kopytem.
powiał wiatr rześisty,
zrobiło się nagle chłodnawo,
zewsząd zaczęły wychodzić karzełki,
wokół było jeszcze pusto,
lecz już wiedzieliśmy wszyscy,
że za chwilę zajedzie
powóz zaprzężony w skrzydlate
[rumaki,

a powoził im będzie
syjamski kot w lakierowanych
[kaloszach
znający mowę ludzką na wspak i na
[wprost.

z popiołów filologicznych,
powoził wykluwał się
feniks pawło pierzasty.

tylko czarodziej może być dobrym
[bajkarzem.

Wczesny poranek w domu małego kamienicznika

właśnie wróble
zaczęły nawiązywać
bezpośredni kontakt ze światem:
było około szóstej czterdzieści pięć.

umysł, niepokrzepiony jeszcze kawą
błąkał się po pustyni sufitu,
szukając myślowych połączeń.

mówią mu:
jesteśmy połączeni
stalowymi rurami z gazownią,
z elektrownią całymi wiązkami
[drutów,

ze środkiem świata
wstęgami ulicy,
ze środkiem miasta
szynami kolei,
ze środkiem sedna
sznurem świadomości
aż zbytnio długim, powikłanym
[sznurem.

w szczytowym pokoju
(tylko trzydzieści szylingów na
[tydzień),
zwlokły się z ciepłego borsuczego
[łóża,

półwiekowy, najwcześniejszy lokator,
już zaczarowaną kawę
nad gaźnym paleniskiem
niefrasobliwie nagrzewa,
pokrzykuje cicho i zrzędził
na wstający dzień,
jak woźnica co ospałego konia
ze stajni wyprowadza o świcie.

dwie młódkł, jedwabne, powiewne
[żeglarkł,
lokatorki na drugim piętrze
jeszcze śpią
po wczorajszej zabawie tanecznej,
po chyżym żaglowaniu po sali
[jeziornej.

może dzisiaj, gdy pukać będą-
[bezwiednie
w pismne maszyny,
łabędź biały znad mgieł papieru
wypłynie,
może zakłęcia wczorajsze
dziobem zaczarowanym wyszepce.

w pokoju, tym przy łazience,
najdroższym pokoju w tym domu,
już otworzył lewe oko
żabiec pesymista,
ponurzec, gderzec, deszczolub,
co stale skrzeczy na świat,
chociaż ubiera się szatnio
i nie zalega z komornym.

wskazówka budzika
zbliża się
do pierwszego
oficjalnego kontaktu
z rzeczywistością poranka.

przy czerwonej furtce
sąsiedzkiego domu,
znajomy kot
obwąchuje także
nowy dzień.

Bogumił Andrzejewski

N A B I A Ł O

(FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI)

Szarosc kamienic i chodników nie wybie-
lała, gwar uliczny nie brzmiał spizowym to-
nem, a zgrzytające wzdłuż Marszałkowskiej
czerwone tramwaje na pewno nie płynęły po
szynach ku wspaniałemu przeznaczeniu nie-
znanej harmonii sfer. Nic absolutnie się nie
zmieniło. Nie czuła żadnej lekkości ani in-
ności.

— Na pewno coś nie tak zrobiłam jak
trzeba — martwi się Ewa i przepowiada so-
bie w myśli: „W imię Ojca... Niech będzie
pochwalony... U spowiedzi jestem po raz
pierwszy...”

Dotąd łatwo, ale potem... Co właściwie
trzeba było powiedzieć potem? Rozmyslnie
trzepane lub zapomniane paciery, kłótnie z
koleżankami i naburmuszone miny poszły
względnie gładko. Lecz co zrobić z tym co
nie do wypowiedzenia, nie do nazwania?
Gdy do szumu wody, wpadającej do wanny,
dodaje się głośnie pluskanie i śpiew, aby
niby-nie-usłyszeć niewygodnego wołania: pod
jaki tytuł podciągnąć ten grzech? A któż
wyrazi obrzydzenie, z jakim odwraca się gło-
wę od dziwnie zieleniejących sprężynkow-
drucianych okularów Pepiny i jednocześnie
ze wstrętem pastwi się nad nią w szale wy-
myślenia i bicia, byle tylko się nie wyłączyć,
byle współdziałać w okrucieństwie wszyst-
kich na jedną! I gdy potem zgnębiona Pepi-
na ze spuszczoną głową sunie ku swej pierw-
szej ławce krótkowidza, jeszcze ją się boleś-
nie uszczypnie, choć koleżanki tego nie zo-
baczą, a więc nie przyklasną. Za co to zne-
canie się? Czym Pepina zawiniła? Była in-
na okularami, inna swoją miłością do księ-
cia Józefa, na którego cześć recytowała z
patosem długie wiersze, podczas gdy dla resz-
ty klasy był on tylko jeźdźcem unierucho-
mionym na placu Piłsudskiego, zabawnie pół-
rozebrany — chyba przed skokiem do El-
stery! Przeważać jego wielbicielekę Pepiną i
szargać jej świętość wysmiewając się z księ-
cia Pepi — to „zwyczajne” prześladowanie
koleżanki, „sprawiedliwe” należące się każ-
dej inności. Ale rozkosz sprawiania jej bólu
nie daje się skwitować wyszeptanymi do
drewnianej kratki słowami: „Dokuczałam
koleżance...”

Ewa wraca z mamą ze szkoły o niezwyklej
popołudniowej porze. Na ulicach ruch, na-
strój mile przedświąteczny, bo jutro 3 maj.
Mama odbiera kapelusze u modystki Zofii na
Koszykowej. Przymierzają, rozmawiają, Zo-
fia uśmiecha się do Ewy, że taka z niej duża
panna.

— Tak — mówi Mama — w styczniu
skończyła już dziesięć lat. Właśnie wracamy
ze szkoły z jej pierwszej spowiedzi.

— Ach, mój Boże — rozczuła się Zofia —
mój Boże...

A Ewa stoi czerwona i wstydzi się swej
zwykłej ciężkości i zwykłości filców i słomek
porozkładanych u Zofii. Przecież miało
stać się tyle nadzwyczajnego, a wszystko
wygląda tak samo. Miało stać się tak lek-
ko, a nie czuje się w duszy żadnej różnicy.

Idą szybko, bo dziś imieniny Taty, przyjdą
rodzinni goście, Ewa kurczy się w sobie i na
zapas przygotowuje obojętny wyraz twarzy
i obojętne odpowiedzi na przeraźliwą chwilę
grzecznych przywitań. Dorosli zadają zwykle
beznadziejnie głupie pytania. Dziś pewno

będzie: „No i jak tam, po tej pierwszej spo-
wiedzi?” Co zrobić, jakich słów użyć, żeby
nic nie powiedzieć? Nie przyzna się przecież
za nic, nawet Mamie, że wszystko źle po-
szło, że nie czuje się lekka i przezroczysta,
że skrzydłami u ramion, nie usłyszała żad-
nych słów Chrystusa, tylko rozgrzeszenie,
absolucję: ego te absolvo. A gdy potem roz-
legło się oczekiwane pukanie i ksiądz wy-
szeptał „z Panem Bogiem”, co prędzej u-
ciekła. Co za szczęście, że niekoniecznie trze-
ba całować stulę, tylko jeśli się chce. Nie
chciała. Wypełniała szkolny przepis, w grupie
trzydziestu koleżanek podlegała temu co
obowiązkowe w pierwszej klasie i za nic na
świecie nie pozwoliłaby się wyłączyć; zresztą
czy komu by przyszło do głowy skazywać się
na inność i samotność?

Mama jej kupiła książeczkę „Zdrowas Ma-
rio”. W ładnej skórkowej oprawie kryły się
kartki szarawego papieru, zadrukowane
krzywo wysypującymi się poza marginesy
słowami. Mama martwiła się że takie brzyd-
kie wydanie, na próżno szukała porządniej-
szego, a zależało jej właśnie na tej książecz-
ce. Mama wie najlepiej, a więc widocznie to
najwspanialsze i najskuteczniejsze modlitwy
na świecie, chociaż nie trzymają się równo
stron. Po rachunku sumienia napisane jest,
że trzeba pojednać się z domownikami, „ze
łzami w oczach prosząc o przebaczenie, nie
wahaj się kolan ich ucałować i dopiero tak
przygotowana idź cicha i spokojna do try-
bunału pokuty”. Co to — to nie. Za żadną
cenę. Ewa obejmie Mamę za szyję i przytuli
się czule, bo Mama i tak wszystko wie, ale
z nikim nie odegra sceny przeprosin. Więc
może dlatego, że nie umie spełnić warunków
przed spowiedzią, nic nie czuje potem?
Wszystko na nic, nie liczy się? Trudno.
Szkolne, obowiązkowe, cała klasa. Nie jak
francuski z Madamą, dla której wszystko
jedno czy się odrobi lekcje czy nie, bo to
„domowe”. A to jest szkolne, więc ważne.
Trzeba poddać się jakiejś procedurze, ra-
zem z koleżankami stanąć na sunącej taś-
mie i zachowywać się tak samo jak one. A
co się naprawdę dzieje, tego i tak nie wi-
dać, nikt nie zobaczy... Nikt?! Trzeźwa kal-
kulacja załamuje się. Niewidoczne i nie-
uchwytnie jest właśnie sednem sprawy. Te-
raz będzie druga spowiedź, we środę o 4 po
południu. Co tu powiedzieć, z trzech tygodni
zamlast dziesięcioletniego życia, żeby usły-
sząć jak z duszy spada ciężar?

Nazajutrz, w Boże Ciało, nie ma ani jed-
nej taksówki na postoju naróżnym Suchej
i Filtrowej. Ewa denerwuje się, że zabłoci
białe płóciennne pantofle i że się spóźni. Ja-
dąc z Mamą tramwajem, wyobraża sobie z
przerażeniem, że już odbyło się uroczyste
wejście na salę i sama będzie musiała do-
stać się na swe miejsce.

Szkoła, w ten świąteczny czwartek, jest
cicha i pusta — Msza i cały gmach tylko dla
pierwszej klasy. Na stołach w sali rysunko-
wej, ułożone w alfabetycznym porządku, le-
żą odmierzone tiulowe welony i wiązki z as-
paragusa. Dla Ewy sam tylko wianek bez tła
białego tiulu wygląda dziwnie smutno. Ma-
ma upina jej swój przyniesiony z domu
ślubny welon i przyciska wiankiem. Ewie
wydaje się, że tiul żółknie i zwiótcał przez

dwanaście lat spędzonych w szafie i z za-
zdroszcą spogląda na niebieską białosc na
głowach koleżanek, ale nic nie mówi, bo
Mamie byłoby przykro. Przecież to Ma-
my welon od ślubu! Już tyle przeżył, na
pewno cenniejszy, niż taki ukrocmałony
kawalek prosto ze sklepu. Ale nowe ma
świeżość i czystość i pociąga urokiem tajem-
niczności, jak kartki nie rozczętej jeszcze
książki.

Ustawiać się! Rzędem od najmniejszej,
wedle tylokrotnie wypróbowanej kolejności.
Czy są obecne prowadzące na czele każdej
szóstki? Czy pamiętają kto gdzie skręca?

Siedmioklasistki, trawycyjnie „matkujące”
pierwszacom, śpiewają Ave maria, a biały
rząd pynie wolniasienko środkiem sali,
gładko zatacza łuki, szóstka w prawo, szóst-
ka w lewo. Teraz wsunąć się w ławkę, u-
klęknąć. Zapomnieć, że nie było rano tak-
sówki, nie troszczyć się o welon i wianek,
nie zazdrościć jasnym olbrzymim warkoczy
Hance — „matce” przy wejściu kątem oka
dostrzeżonej w chórze, który właśnie umilkł
po przeciągnięciu „Amen”. Dwa dzwonki i
przed ołtarz wychodzą cztery uczennice-
„matki”, za nimi ksiądz. Nie, nie wolno za-
stanawiać się, czy one są dobrze dobrane
wzrostem, czy mają trzy czy cztery tasiemki
na marynarskich kołnierzach, czy ładniej-
sze są spódnice fałdowane czy gładkie.
Trzeba się modlić, czyli nie myśleć ani o
tym co się widzi dokoła, ani co się ostatnio
zdarzyło, ani o... Ani o... Więc o czym?
Jakich sztuk użyć aby się skupić? Na czym
myśl zatrzymać? Co zostaje, gdy się wyklu-
czy po kolei wszystkie tematy? Na szczęście
trzeba uważać na znaki panny Reutt, jest
więc usprawiedliwienie, by wpatrywać się w
jej wielką czarną postać, rysującą się samot-
nie na środku najniższego stopnia. Co nie-
działa kłęczy tu prosto, bez żadnego oparcia,
sprężyste dźwiga się w górę na Ewangelię,
i potem aż do końca Mszy zastyga na ko-
lanach, z mszałem w dłoniach. Za nią sie-
dzą na niskich ławeczkach małe, potem w
krzesłach nieliczni rodzice, potem szeregami
stoją duże. Dziś jednak nie ma ani małych,
ani dużych, ani żadnych innych dorosłych,
tylko rodziny dziewczynek w bieli. Mało oj-
ców, wszystkie mamy, parę ciotek i babć.

Żeby prędzej unieść welon! Świat taki
zamglony przez tiul. Niechby objawił się wy-
raźnie w ostrości konturów, w pełni barw...

Usiąść, wstać, klękać. Podniesienie. Nie-
długo będzie znak na welony, trzeba deli-
katnie przerzucić tiul do tyłu, na wianek. Już.
Teraz.

Wstają wydłużone sukniami po kostki po-
stacie obu pierwszych ławek, wychodzą do
środku, łączą się w pary, krok za krokiem
wznoszą się po stopniach z sali na scenę
i załamują się w pół na czerwono pokrytym
kleczniku przed ołtarzem. Ewa prowadzi
trzecią szóstkę. Druga ławka z prawej stro-
ny pustoszeje, nogi, jakby nie własne, wcho-
dzą same na stopnie, powoli zbliża się go-
rąca czerwien klecznika. Coraz dalej jest
chór, rozplywa się w powietrzu znana prośba
i obietnica: „Pójdźcie do Mnie wszyscy... we
Mnie źródło szczęścia. Ja orzeźwię was...
ziemskiego znoju osłodzę wam czas”. Za to
coraz wyraźniej, z jakąś nieubłaganą osta-

tecznością, zapadają w świadomość nowe a wieczne słowa o Chrystusie który „custodiat animam tuam in vitam aeternam.“

Po południu Ewa stoi na balkonie w sypialni Mamy. Gruby beton jest od wewnątrz zawsze chłodny i w cieniu wydaje się wilgotny. W upał przyjemnie wybiec bosą na balkon i rozkoszować się szorstkim zimnem, a potem zaraz głaskać stopami wyłożoną workiem i słońcem, skośnie układaną klepkę parkietu. Dziś chłód przenika płótno pantofli i wszystkie białości długiej sukni, marszczonemu pod nią spodu pół-przezroczystych rękawów, wędruje od przyciśniętych do balkonu łokci i kolan, rozchodząc się po całym ciecie. Jednocześnie przygrzewa słońce i od zewnątrz balkon jest ciepły. Czy złote promienie wchodzą głęboko w kamień i beton? Czy też przyjąc je może tylko żywe ciało, a w martwym zaraz giną, nigdzie dalej nie mogą się przedostać?

W welonie, w asparagusowym wianku, trzeba zabrać się do lekcji. Nikt nie przypilnował by odrobione były wczoraj; w domu nigdy nie padło pytanie: „Czy odrobiał lekcje?“ Dziś trudno zdecydować się otworzyć zeszyty. Ewa stoi nieruchomo jakby przyrosnięta do balkonu, wpatruje się w podłużny klomb zakończony kwiecistymi kołami w ogródku Besi, w trawnik i taras w ogródku Romka, w smukłość topoli znaczącej wykrzyknikiem styk trzech parceli, w betonowe schodki wejściowe, na które można by skoczyć wprost z balkonu i tak strasznie się potłuc, brrrr... Trzeba odrobić lekcje. Lekcje na piątek. Polski, „kłesczonszy“ (questions) z angielskiego, z przyrody wykończyć rysunek na prawej gładkiej stronie zeszytu, odzielonej bibułką od lewej liniowanej, gdzie ma być opis pręcików, słupka, znamienia, zalążni. Lekcje to jest obowiązek. Jakże, na jutro po dzisiejszym dniu, przyjść do klasy z nieodrobionymi lekcjami? Obowiązek... obowiązek... powtarza sobie Ewa, otrząsając ostrożnie stalówkę, byle broń Boże nie wykwili kleks na białej sukni. Płacze się welon i zawadzają rękawy, może by zdjąć to wszystko? Nie, trzeba do wieczora tak chodzić na białą, dzisiaj jest dzień uroczysty.

Ewa obgryza obsadkę i zamiast o angielskim myśli: Jakto, w taki dzień zwyczajnie odrabiać lekcje?

Po kąpeli kłęczą na łóżku i wpatrując się we wzór mereżek pod karowym wycięciem niebieskiej nocnej koszuli, przerzuca w myśli słowa pacierza, jak ziarnka, co mają przepisać po jednym wysypać się z worka paciery i układać się w przegrodce z napisem „wieczorny pacierz“ i datą. Ale ziarnka rozbiegają się niesfornie i niesposób je zgarznąć. Czy to Mama wyciągnęła tę mereżkę, wymierzając równiutkie kwadraciki? Czy Matyldzia, bieliżniarka z Gniazd Sierocych stryja Kazia Jeżewskiego? Jeśli się tyle samo nitek odliczy w górę i w prawo, czasem nie wychodzi kwadrat, tylko prostokąt, na nic arytmetyka, grubość nitek bywa różna i trzeba poprawić na oko. Materiał tka się podobnie jak kilim, który matka huculskiej Kasuni miała na warsztacie w Kosowie w lecie. Przyciskała pedały, osnowa wyskakiwała z dołu do góry, przelatywało czótenko z kolorową wełną i wychodził wzór. Matka Kasuni nic nie obliczała, a czerwone, czarne, białe kwadraty i choinkowo wspinające się trójkąty układały się równiutko i bezbłędnie. Jeśli się wie i umie, to nie trzeba liczyć...

— Ach, znowu nie uważam, nawet dzisiaj! Na czym stanęłam? Nie, nie można tak byle jak, trzeba od początku: Ojciec nasz...

...Ładnie dziś było, nikt się nie pomylił, świece płonęły równo gdy w imieniu klasy recytowała „Powtórzenie obietnic przy chrzcie świętym uczynionych“. Sala śniadaniowa wyglądała niezwykle z pustymi cichymi stołami, a ten w środku nakryty bielu-sieńskim krochmalonym obrusem, białe kwiaty, pachnące drożdżowe ciasto. Nikt nie chichotał i nie trącał i nie wylało się kakao. Straszna byłaby brązowa struga na bieli obrusa, sukien, welonów... Ale pacierz, trzeba przecież zmówić pacierz! Tak żeby się nie zgubiły słowa. Czy znowu od początku? Może wystarczy od „Wierzę“, może „Ojciec nasz“ i „Zdrowaś“ już ułożyły się grzecznym rządkiem w dzisiejszej szufladce?... Jutro piątek, potem sobota, dwa zwyczajne szkolne

dni. Na dużej pauzie będzie można skakać przez sznur i grać w klasy. Płaski kamień, świetny do obnoszonki, od dawna nudzi się w piórniku. Może przy ślepcie nikt jutro nie będzie oszukiwał? I nie będzie zapamiętałych kłótni na temat: „Linia, przecież była linia, chociaż nadpowietrzna, to też „skuska!“ Ciekawe, czy coś się zmieni, gdy pierwszaki będą jutro skakać w klasy zamiast grzecznie chodzić z „matką“ po sali lub po podwórzu, jak cały ostatni miesiąc. Uśmiechnięta Hanka jest bardzo miła i gdy tak do-rosłe obejmują się w pasie, siedmioklasistka z pierwszakiem po koleżeńsku, przyjemnie czuć na sobie zazdrosne spojrzenia wstępniaków, którymi nikt się nie interesuje. Małe. Muszą rok czekać aż zajmą się nimi duże, dzisiejsze szóstaki. Przyjemnie czekać na uroczystość i być kimś ważnym, ale już dosyć odświętności, od jutra będzie wszystko zwyczajnie, jak co dzień. Welon złoży się do szafy, białej sukni obetnie się długie rękawy i te ładne ciężkie plisy na dole. Będzie letnia wizytowa sukienka. Potem stanie się za krótka, potem przyżółknie, zbrzydnie nawet na codzień. Zresztą jest niepraktyczna, niewygodna do zabawy, kto by tam nosił codziennie białe odświętności i z takiego materiału. Dni uroczyste to nie są dni powszednie. Muszą być całkiem inne, specjalne.

A może nie muszą? Może odświętność nie polega wcale na rzadkiej nadzwyczajności? Ranek dzisiejszy na pewno był odświętny, głosi to wszem wobec Ostatnia Wieczerza Leonarda ze starannie czarnym tuszem wykaligrafowanym napisem: „Pamiętka Pierwszej Komunii Świętej Ewy Karpińskiej. Warszawa 26 maj 1932“. Ale popołudniowe odrabianie lekcji ściągnęło dzień z powrotem w przeraźliwą zwyczajność.

Czyżby trzeba było zawsze tak łączyć codziennosc z niezwykłością? Może to recepta by nie tylko biel nie żółkła, ale nawet by wybielały wszystkie szarości, by dźwięki brzmiały spiżowym tonem dzwonu, a strumień ludzki ulicami miast i drogami świata płynął ku wiecznej harmonii sfer?

Ewa Gieratowa

B I B L I O T E K A P O L S K A

W SUBSKRYPCJI NA MAJ 1959 ROKU

KARDYNAŁ STEFAN WYSZYŃSKI

TYSIĄCLECIE CHRZTU POLSKI

ZBIÓR WYBRANYCH KAZAŃ I PRZEMÓWIEN

— w wersji oryginalnej, a więc nie skróconej — ogłoszonych od chwili zwolnienia w roku 1956 Księdza Kardynała Prymasa Polski z więzienia — do końca 1958 r. Większość jest otwarciem i przygotowaniem Wielkiej Nowenny Narodu Polskiego do obchodu tysiąclecia chrztu Polski.

CENA W PRZEDPŁACIE: szyl. 10/3; dol. 1.50; fr. fr. 700.

Z a m ó w i e n i a :

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY
„VERITAS“, 12 Praed Mews, London, W.2.

NASZ EKSPORT KULTURALNY

POLSKA między wojnamą wywoziła za granicę głównie produkty rolne, drzewo i węgiel, słowem płody naturalne. Dziś wywozi mniej więcej to samo, aczkolwiek obecnie nazywa się to pięknie „przetworami rolniczymi“, a więc mięsa, jarzyny i słodczyce w puszkach, słoikach i kartonach. W związku z poszerzeniem dostępu do morza eksportujemy teraz również ryby, przetwory rybne. No i oczywiście, po starym węgiel, którego zresztą Europa ma pod dostatkiem. Natomiast zanikł, bodaj całkowicie, dość spory przed wojną eksport tekstyliów.

Od kilku lat jednak wcale pomyślnie rozwija się wywóz maszyn, urządzeń i środków transportowych, zwłaszcza statków, taboru kolejowego, rafinerii i cukrowni. Niestety, odbywa się to ze szkodą dla potrzeb wewnętrznych, a rynki zbytu znajdują się głównie w Rosji, Chinach i krajach bloku sowieckiego.

Na Zachodzie Polska uchodzi więc nadal za dostawcę jaj, masła, grzybów, borówek, szynki, bekonów, kiełbasy, wódki i cukierków. Również ludowych wyrobów artystycznych, zwanych z francuska „petits riens“: koralików, szkatulek, broszek, koszyczków, figurek z drzewa, zakładek do książek. Polska sztuka ludowa posiada na Zachodzie wysoką markę, ale to rzecz dla znawców. Masy nie interesują się szkatułkami zakopiańskimi ani lalkami krakowskimi. Te wyroby pochłaniają niemal wyłącznie emigranci polscy ze względów, rzecz jasna, sentymentalnych, przyczyniając się zresztą wcale do konsumpcji eksportowanych z Polski produktów żywnościowych. Nawiasem mówiąc, wyroby ludowe innych państw europejskich są o wiele szerzej rozprowadzane po rynkach światowych niż polskie i większe mają powodzenie.

Polacy-emigranci również są wyłącznymi odbiorcami książki polskiej. W księgarniach angielskich, francuskich, włoskich czy niemieckich nietrudno dostać wydawnictwa o architekturze i sztuce wszystkich, nawet najmniejszych, narodów europejskich: Węgier, Czech, Jugosławii, Bułgarii, Albanii. Oczywiście, w językach zachodnich. Wydawnictw o Polsce próżno szukać. A ileż pięknych monografii można by wydać o polskiej sztuce ludowej, o wielkiej sztuce narodowej, o architekturze, gotyku, renesansie, baroku, o kościołach polskich, o naszych miastach, zamkach, o muzyce, o tańcu! A album Chopinowski? Niestety, nie ma. Nie liczymy się. Jesteśmy dla Zachodu tylko miejscem na mapie i uciążliwą pozycją w polityce. Zachód wcale nie jest przekonany, że Polska stanowi jego część składową. Nie ma na to żadnych świadectw.

Polacy, zwłaszcza w Kraju, mają wszakże inne zdanie, przekonani, że samo przeciwstawianie się Wschodowi świadczy o naszej bezspornej przynależności do Zachodu. Ale, przecież komunizmowi so-więćkiemu przeciwstawiają się, a w każdym razie do czasu się przeciwstawiały, również najbardziej wschodnie narody: kaukaskie czy turkmeńskie, ba, szczyepy

koczownicze Syberii czy spod kręgu polarnego! Należąc do Zachodu trzeba przede wszystkim na sposób zachodni żyć, pracować i tworzyć.

Polska, rzecz jasna, należy do Zachodu. Ale nasze położenie geopolityczne i nieustanne katastrofy narodowe, wreszcie obecne skrepowanie życia przez obcą doktrynę opóźniły ogromnie nasz postęp cywilizacyjny i sparaliżowały twórczość. Mimo to, wielu Polaków łądzi się, że oczy świata są bacznie zwrócone na nasz kraj. Ze narody czujnie śledzą rozwój ekonomiczny Polski, postępy jej przemysłu, jej twórczość duchową. Komunistom wydaje się, że świat zastężył z podziwu nad dokonaniem socjalizmu polskiego, katolicy z „Pax'u“ są przeświadczeni, że Europa pasjonuje się „eksperymentem pogodzenia katolicyzmu z marksizmem“ (pisał o tym nieraz Jan Dobraczyński), Stefan Kisielewski z „Tygodnika Powszechnego“ mniema nawet, że tylko Polacy zaprzęgnięci są problemami na miarę epoki, podczas gdy Zachód uległ „dzieciństwu“. My — sądzi Kisiel — mamy prawdziwie wielką literaturę, a jej słońcem jest Kazimierz Brandys, giętki jak ameba, as drętwej mowy, wielbielciel knebla i knuta, „zawsze obecny i chętny“. Natomiast ludzie Zachodu „to wielkie dzieci, żyjące w przezabawny sposób swoim życiem prywatnym, z komiczną powagą traktując swoje lęki, swoje obawy przed brakiem pieniędzy, utratą zdrowia czy posady, niedostateczną rentą na starość“. („Dziecinność Zachodu“ w „Tygodniku Powszechnym“ z 19. 4. 59.)

Nie chodzi nam, broń Boże, o pomniejszenie wysiłków i dokonań polskich rąk i umysłów. Niechby się darzyło nawet polskim komunizmem, niechby budowali wspaniałe miasta, huty, fabryki, drogi. Ostatecznie, nawet w Polsce rządzonej przez komunistów wyszłoby to na dobre narodowi. Nie można jednak byle czego uważać za epokowe dokonania, pozorów brać za rzeczywistość i okłamywać się urojonymi sukcesami. Prawdę mówiąc, nie ma w Polsce nawet wielkiego formatu komunistów.

Tak jak w dziedzinie eksportu dóbr materialnych wyolbrzymia się rolę Polski, ciągle przecież kopciuszką europejskich eksporterów, tak też przesadne jest mniemanie o wysokiej wartości naszych osiągnięć kulturalnych, przedstawianych Zachodowi.

Są to bowiem ciągle albo „ziemopłody“ w postaci sztuki ludowej, do których należy również zaliczyć zespół tańca i pieśni „Mazowsze“, albo produkty z trudem wytrzymujące porównanie z osiągnięciami Zachodu (teatr, plastyka). Bywają, rzecz oczywiście, także wyjątki od tej reguły. Kilko pianistów (Czerny, Stefania, Kędra, bo Rubinstein, Małcużyński i Niedzielski to emigranci) i dyrygentów (Skrowaczewski), czasem jakiś śpiewak czy pieśniarz (Sokorska) dowiodło, że źródła wielkiej kultury artystycznej jeszcze w Polsce nie wyschły. Wyjątkowo udaną pozycją był występ Wrocławskiego

Teatru Pantomimy, zresztą kwaśno przyjętego przez emigracyjnych krytyków i z niewiadomych przyczyn pośpiesznie odesłanego do Kraju. Nawet takie nieporozumienia jak pokazywanie za granicą baletu Parnella lub staroświeckiego teatru w Paryżu, można przeboleć. Popisy pieśniarzy w rodzaju Fogga skierowane są, na szczęście, dla odbiorców emigracyjnych, podobnie jak gołąbki w puszkach i bigos.

Nie można się dziwić prasie krajowej, że, nieorientowana w sprawach świata zachodniego, bierze na serio różne zdawkowe pochwały i poklepywania po ramieniu filmowców polskich lub autorów sensacyjnych książek. Dziwniejsze, że te grzecznościowe komplementy uderzają także do głowy emigrantom. Jesteśmy na przykład przekonani, że nasze filmy robią furorę w świecie, a pewien młody i zdolny krytyk filmowy na emigracji stara się nas utwierdzić w pewności, że film polski wysunął się na czoło produkcji światowej.

Nie trzeba się dać zwieść wyróżnieniom i medalom na międzynarodowych festiwalach. Są one zwyczajnie podzielone na tyle klas i kategorii, że na tych festiwalach niemal każdy wyświetlony film otrzymuje jakąś nagrodę lub co najmniej wyróżnienie. Ze w telewizji angielskiej pokazano warsztat polskiego filmu? Telewizja musi czymś zapełnić swój program. Zresztą ma przecież dziesiątki tysięcy odbiorców polskich. Ale w końcu, kto te filmy poza Polską wyświetla i dla kogo? Kluby filmowe urządzają pokazy filmów, za które nie płacą albo płacą minimalnie. Wyświetlają po prostu wszystko, co dostaną od placówek kulturalnych przy ambasadach. To się nie liczy. W drugorzędnych i trzeciorzędnych kinoteatrach w Londynie wyświetlano dotąd tylko cztery powojenne filmy polskie: „Ulicę Graniczną“, „Piątkę z ulicy Barskiej“, „Kanał“ i „Ewa chce spać“. Recenzje były raczej ciepłe, ale cóż z tego, kiedy filmy zdjęte z ekranu po tygodniu, dwóch najdalej? A na prowincję te filmy bodaj w ogóle nie dotarły. Miarą powodzenia filmu produkcji kontynentalnej jest czasokres wyświetlania oraz wznowienia. Zaden z czterech wymienionych filmów polskich nie był, jak dotąd, nigdzie wznowiony.

Czy były to zresztą rzeczywiście obrazy o takim poziomie artystycznym lub choćby technicznym, żeby je można uważać za najlepsze albo choćby równe czołowiec europejskiej produkcji? Wolne żarty! Staromodna technika, ekliwy sentymentalizm na przemian z ordynarnym brutalizmem, sztuczne dialogi, nafaszowane wulgarnymi wyrazami, aktorzy z epoki paleolitycznej ekranu.

Filmy te sprowadzono do Anglii prawdopodobnie na tej samej zasadzie, dla której wydano przekłady powieści Tyrmanda i Hłaski, z wyjątkiem „Ulicy Granicznej“, przeznaczonych dla publiczności żydowskiej, oraz „Kanału“, mimo wielu braków najlepszego z pokazanych na Zachodzie filmów polskich. „Piątkę z uli-

cy Barskiej", „Ewa chce spać“, Tyrmand i Hłasko to prawdziwa podróż do kresu nocy. Ludzie Zachodu oglądają i czytają zapewne te rzeczy (można tak sądzić po recenzjach w prasie) jak jakieś niesamowite „murder stories“ albo obrazy o King-Kongu czy Frankensteinie. Nie dla zalet artystycznych, bo te są nie nadzwyczajne — mowa o przekładach książek i o filmach — lecz dla niewiarogodnych w brutalizmie i cynizmie wątków. Emigranci polscy oglądając wspomniane filmy płoną ze wstydu.

Nie można wprawdzie ani filmów ani książek winić za ich szczerść. W Polsce spełniają one niewątpliwie pozytywną rolę jako satyra i jako lustro błędów. Niestety, na nich się zamyka bilans pol-

skiego eksportu kulturalnego w ciągu czterech dekad rządów „ludowych“.

P. S.

Felieton powyższy poświęcony jest eksportowi kulturalnemu z Polski administrowanej przez reżym komunistyczny. Nie poruszamy w nim więc działalności kulturalnej w świecie zachodnim emigracji, która ratuje dziś wśród obcych honor polskiej nauki i sztuki. Dla przykładu przypominamy prace naukowe, wydane w obcych językach, profesorów o. Borchenskiego, Łukasiewicza, Haleckiego, Kukiela, Paszkiewicza, Zółtowskiego, Dmochowskiego, Zarneckiego, ks. Meysztowicza, Lednickiego, Weintrauba, Westfala, ks. Siwka, ks. Milika, dzieła literatury pięknej tłumaczone na obce języki Zo-

fii Kossak (w czasie gdy była emigrantką), Naglerowej, Wierzyńskiego, Miłozza, Pietrkiewicza, Józefa Mackiewicza, liczne świadectwa pisarzy z łagrów sowieckich, pamiętniki przywódców politycznych i wojskowych pozostałych na emigracji. Dobrze znani są Zachodowi polscy plastycy emigracyjni, np. Kossowski, Potworowski, Ruskowski, Knapp, van Haardt, wirtuozi (Rubinstein, Małcużyński, Niedzielski, Niemczyk), kompozytorzy i dyrygenci (Panufnik, Palester, Szatowski), śpiewacy (Nowakowski, Orda, Bielecki, Granowska).

Jedynie dzieło literatury pięknej autora krajowego przełożone po wojnie na język angielski i nie budzące żadnych zastrzeżeń, to bodaj tylko „Listy Nikodema“ Dobraczyńskiego. J. B.

WIECZÓR dla uczczenia pamięci zmarłego w styczniu br. w Warszawie Stanisława Młodożeńca urządził w londyńskim „Ognisku Polskim“ Związek Pisarzy na Obczyźnie. Prezes Związku Wiesław Wohnout lubuje się w masówkach literackich. Akademia trwała trzy i pół godziny. Pięknej, odkrywczej poezji i prozie Młodożeńca poświęcono wiele uwagi, ale przy tej okazji mówcy przedstawili również dzieje futurystów, formistów, kubistów, a nawet awangardy, wszystko rzeczysie ilustrowane recytacjami. Prelegentów wystąpiło czterech, piąty, raczej w dobrą porę, przeległ się, chociaż Jan Rostworowski, bo on miał być tym piątym, mógłby powiedzieć rzeczy interesujące.

Oprócz Wiesława Wohnouta i piszącego te słowa, wystąpili: Marian Czuchnowski i młody polonista oraz poeta Bogdan Czaykowski. Ten ostatni odczytał ciekawe urywki ze swej wartościowej pracy magisterskiej o kierunkach w poezji polskiej lat 1870-1939, stawiając zresztą wyżej awangardę od futurystów. Nie przekonali go wywody niżej podpisanego, że bez futurystów nie byłoby awangardy. Można bowiem rzec, że jeśli awangarda uprawiała poetycką rolę, to przedtem pod tę rolę futurystów wykarczowali las.

Natomiast Marian Czuchnowski zupełnie niesłusznie nazwał Młodożeńca poetą rewolucyjnym i wezwał publiczność do uczczenia go właśnie z tego tytułu. Nic bardziej obcego nie było synowi kułackiemu z Dobrocic, współpracownikowi „Prosto z mostu“ i „Kuriera Warszawskiego“, żarliwemu katolikowi i emigrantowi przez lat 17 niż idea rewolucji. Dziwne doprawdy, że jeszcze ciągle żyją, i to na emigracji, okazy Polaków upajających się najstraszniejszym w ludzkim języku słowem: rewolucja. Poza tym Czuchnowski ma najwinnie świeże spojrzenie na prądy literackie, skoro np. uproszczoną ortografię futurystów, jeden z głównych punktów ich programu w całym świecie, sprowadził do... braku czcionek w krakowskich drukarniach wskutek zniszczeń pierwszej wojny światowej. I to gdzie? W Krakowie!

Olga Zeromska i Wacław Dybowski z zespołu „Pro Arte“ recytowały mnóstwo wierszy, jedne lepiej, inne gorzej. Ale dlaczego pierwszeństwo dali poetom awangardy, zwłaszcza Peperowi, trudno

dociec. Wszak awangarda wyprawiła futurystom pogrzeb pierwszej klasy, przejawsz przedtem prawie cały jego inwentarz. Peiper i Młodożeniec to prawie tak samo jak rewolucja i Młodożeniec.

*

STANISŁAW WESTFAL to był na emigracji nasz pierwszy lingwista i przy tym świetny pisarz, który zagadnienia językoznawcze omawiał w błyszczących bogatą polszczyzną gawędach. Poważny badacz, wykładowca języków polskiego i litewskiego na uniwersytecie w Glasgow, znakomity lituanista. Zmarł w wieku 47 lat. Właściwa twórczość stała dopiero przed nim, ale Westfal od lat zmagał się ze straszliwą chorobą współczesnej cywilizacji, która nieubłaganie i drapieżnie rzuca się na ludzi w pełni sił, gotujących się do podjęcia dzieł, które przemysłili i przygotowali przez całe życie. Chorobą tą jest nadciśnienie krwi.

„Biblioteka Polska“ wydała uroczą „Rzecz o polszczyźnie“ Westfala, podziwaną przez obcych, poszukiwaną w Kraju, rozchwytywaną przez studentów uniwersytetu hebrajskiego w Jerozolimie. Jej egzemplarze zawędrowały nawet na Litwę. Od tej książki powinni zaczynać wszyscy młodzi polscy poeci, pisarze, dziennikarze, studenci.

Ostatnią miniaturę literacką, śliczny obrazek poetycki prozą pt. „Wróble w Telszach“, ogłosił Westfal w „Wiadomościach“. Przejmujący moralitet o niepotrzebnej i przedczesnej śmierci.

*

CHOROBA SERCA, ale już w „polskim“ wieku, 60 lat, zmogła w Warszawie Tadeusza Zajączkowskiego, drugiego w tym roku autora „Biblioteki Polskiej“. Podobnie jak Młodożeniec, przeczuwając rychłą śmierć powrócił do Kraju, aby się pożegnać z ziemią ojczyzną i ze swym miastem. Młodożeniec zrobił to po gospodarsku, sprawiedliwie, godnie, bez schyłania karku. Zajączkowski nieco inaczej.

Tadeusz Zajączkowski był najstarszym podchorążym 2 Korpusu. Uroczą postać brata łąty, bez żółci, lecz patrzącego na

ludzi satyrycznie, zawsze z dowcipem w pogotowiu, pełną nieustannych pomysłów, żywo myśląca. Był to duży talent pisarski, który nie umiał się zmusić do pracy. Pozostała po nim, oprócz zbiorów reportaży wojennych i podróźniczych, tylko jedna niezła powieść „Ślad bosej nogi“, do której napisania zmusiła go nuda obozowa w Anglii, połączona z nostalgia do Italii. Ale i na tę powieść padł cień Zeromskiego. Zamiast wesołego podchorążego zjawiał się w niej łyżwy patriota i doktor Judym w mundurze. Zajączkowski należał do tego typu talentów, które w życiu, w gawędzie, przy stole biesiadnym lub z manierką w garści są stokroć ciekawsze niż z piórem w ręku.

*

OD JEDNEGO z przyjaciół we Wrocławiu otrzymałem tom opowiadań Stanisława Młodożeńca „W dolinie małej wody“. Książkę wysłało „Przedsiębiorstwo Państwowe Dom Książki“, ulica Świdnicka 28. Mogło do tego dojść dopiero po uzyskaniu zezwolenia Ministerstwa Handlu Zagranicznego nr II. 24201/55 r. Na kopercie przybito pieczęć w trzech językach: „Dar nie do sprzedaży“ (Nawiasem mówiąc za granicą trudno teraz kupić książkę bez tej pieczęci.) Przesyłkę poleconą poczta odesłała do Warszawy, a tam zbadała ją Urząd Celný Poczty i przybił swój numer 255. Czyż nie rozkoszne życie musi być w Kraju, gdzie wysyłką jednej książki zajmuje się pięć urzędów i zapewne z dziesięciu urzędników? I ta powaga, z jaką oni traktują swoje czynności, to stemplowanie i pieczętowanie, te numerki! A Kisiel w „Tygodniku Powszechnym“ pisze, że to na Zachodzie ludzie dzieciennieli.

*

KONCERT Władysława Kędry nie ściągnął do Festivalu Hallu, jak występ Małcużyńskiego, patriotów, lecz tylko miłośników muzyki, wśród których Polacy stanowili znikomą odsetkę. Kędra, czołowy pianista polski, profesor łódzkiej i poznańskiej a obecnie wiedeńskiej wyższej szkoły muzycznej, znany z występów zagranicznych, w Londynie koncertował po raz pierwszy. Zarówno program koncertu (24 etiudy Chopina, sonata, „Sonet Petrarci“ i „Campanella“ Liszta) jak i wykonanie posiadały charak-

ter akademicki, profesorski. Ale właśnie taki styl gry pozwala się najlepiej rozkoszować sztuką muzyczną, kiedy technika i wierność tekstowi muzycznemu panują nad rozwichrzonymi i namiętymi interpretacjami i tamują wirtuozerską magię. Z notami Artura Hedleya w ręku koncert pozwolił przede wszystkim zagłębić się w sens muzyki Chopina i Liszta, w ich tworzywo. „Campanella” była olśniewającym popisem majsterstwa pianistycznego. Jako naddatek zagrał Kędra doskonale zbudowany utwór Stefana Kisielewskiego.

★

FILM „Ewa chce spać”, nagrodzony medalem na festiwalu w San Sebastian, uchodzi za komedię. W rzeczywistości jest to dla Kraju — gryząca satyra, dla zagranicy — farsa w stylu Buster Keatona czy Abbot i Costella, dla emigracji polskiej — przerażająca tragedia. W Polsce niewątpliwie spełnia doskonałą rolę ośmieszając absurdy i zwyrodnienia systemu policyjnego, biurokratyczne pęta narzucone każdej dziedzinie życia i pustą frazeologią fałszywej „ideologii”. Krytycy angielscy potraktowali „Ewę” jako dzieło przedpotopowej kinematografii, której komizm polega głównie na bijatykach (my wiemy, że to wcale nie komizm, ale prawdziwy obraz stosunków w dzisiejszej Polsce, tj. zjawisko szalejącej chuliganerii).

Emigranci, w których snach i wspomnieniach Polska zjawia się jako raj na ziemi, patrzą na film z przerażeniem i wstydem. Co się z tą Polską stało? Brud, nędza, kryminał, policji więcej niż obywateli, niepewność każdej godziny, aresztowania pod byle pozorem, obchodzenie prawa, nienawiść do człowieka, rozwydrzeni przestępcy zagrażający na każdym kroku życiu i mieniu. Mieniu, to znaczy zdartej zarzutce i koszuli. Najbardziej ludzkimi postaciami w filmie „Ewa chce spać” jest sędziwa prostytutka, wypełniająca sobie wolne godziny robotkami na drutach, i specjalista włamywacz. Smutno powiedzieć, ale po filmie „Ewa chce spać” widz polski z ulgą wychodzi na ulicę... londyńską, z błogą pewnością, że po drodze do domu nie zaczepi go ani milicjant ani opryszek z cegłą w ręku. I że będzie spał we własnym pokoju, a nie w „hotelu” robotniczym.

Producentom, reżyserom i scenarzyście „Ewy” należy się jednak wdzięczność za szczerostę. Zresztą film ma pewne zalety artystyczne.

★

GWIAZDY operetki warszawskiej: sopran B. Artemska, jej mąż pianista J. Gaczek, tenor M. Wojnicki i z innej konstelacji, bo z opery warszawskiej, mezzosopran Krystyna Kostal, żona Wojnickiego, błysnęły (gwiazdy) w Londynie dzięki prywatnej inicjatywie Lody Halamy i jej męża St. Ruszały, którzy też oboje, dobrawszy sobie jeszcze Ludwika Lawińskiego, wzięli udział w zorganizowanym przez nich wieczorze pieśni i tańca.

Państwo Ruszałowie z łatwością wyręczyli państwo ludowe. Gdyby to ono wysłało trójkę śpiewaków i pianistę, w ruch poszłyby zaraz liczne urzędy, ambasada, towarzyszący artystom urzędnicy, opie-

kurowie, sprawozdawcy prasowi i radio-wi itp. Dzięki tedy inicjatywie prywatnej publiczność emigracyjna mogła usłyszeć i zobaczyć, co i jak się teraz śpiewa w Warszawie i jak się „noszą” nasze gwiazdy stołeczne.

Głosy fantastyczne, muzykalność wzorowa, repertuar klasyczny, a z rzeczy nowych przeboje zachodnie, dzisiejsze warszawskie stroje nieco za jaskrawe i za krzykliwe, aparycja i zachowanie na scenie miłe, lecz nieco prowincjonalne, ale cóż za świeżość, jakież temperament! Wprawdzie trójka emigracyjna nie dała się zakasować pod tym względem, ale Łodę Halamę, Ruszałę i Lawińskiego ma emigracja tylko po jednym egzemplarzu. A tam w Kraju artyści, może i prowincjonalni w ruchach i strojach, ale nieznużeni, niewyczerpani, tryskający zdrowiem, reagujący żywiołowo na przyjęcie przez publiczność, szczerze roześmiani, chętnie bisujący, przeżywający każdy występ na nowo, w Kraju pewnie otoczeni rojem wielbicieli i rozdający na lewo i prawo autografy. Po sali londyńskiej powiało miłe wicherkiem nadwiślańskim.

„Rendez-vous gwiazd” było więc jak najbardziej narodowe w formie i zgoła nie socjalistyczne w treści. Przeciwnie, typowe sarmackie rendez-vous. Randka emigracji z artystami Kraju.

★

KRYTYK „Nowego Merkuriusza”, p. J. D., ów, który w paszkwili na Mieczysława Paszkiewicza pisał: „Poeta jest kapłanem języka albo niczym. Może być czeńś więcej, nie może być mniej”, poczuł się urażony wytknięciem mu miernej znajomości sztuki kapiańsko-językowej. Jak to można było z góry przewidzieć, najdosłowniejsze przytoczenie kilku próbek jego języka i stylu określił jako „niedozwolone chwytły”, a dziwolągi swego pióra zrzucił na karb złej ko-

rekty oraz złośliwego przeinaczenia złotych myśli.

W nocie polemicznej pana J. D., w odpowiedzi na to wytknięcie mu błędów, znajduje się szereg nowych błędów korektorskich. Krytyk hieratycznej poezji pisze np.: „...jedyną rzeczową obronę „Zmian”, czy próbę t a k o w e j, s ł y s z a ł e m właśnie od członków tej redakcji („Merkuriusza”). Nie było natomiast żadnej o d p. J. B.” Jakby więc z tego wynikało, redakcja „Merkuriusza” broniła gorliwie „Zmian”, lecz nie obroniła się od p. J. B.

J. D. pochwała niżej podpisanego za to, że zauważył w jego krytycznej wypowiedzi germanizmy, ale mu wytyka, że nie dostrzegł latynizmów i anglicyzmów. „Niestety — konkluduje — są one potrzebne mojemu stylowi, jak barbarzyzny potrzebne są stylowi J. B.” Jeśli „niestety”, to czym się chwalić? Poza tym, germanizmy, latynizmy, anglicyzmy, galicyzmy itp. nie są, miły panie J. D., przeciwieństwem barbaryzmów, lecz wszystkie razem stanowią barbaryzmy. A więc germanizm to barbaryzm, i anglicyzm barbaryzm, i latynizm barbaryzm. „Barbaros” po grecku znaczy „obcy”. Każde obce słowo w języku to barbaryzm.

Wreszcie, jeszcze jeden błąd korektorski. P. J. D. najpierw pisze o mnie pochlebnie: „bardziej zaprawiony w rozróżkach literackich”, a potem powiada: „niejaki J. B.” „Niejaki” oznacza w polszczyźnie osobnika całkiem nieznanego. Jeśli jednak ktoś wie, że ów osobnik jest „zaprawiony w rozróżkach literackich”, czy chociażby jako włamywacz, nie można go nazwać „niejakim”. Pisze się wtedy „dobrze znany publiczności złodziej-szek” lub „znany rozróżkarz” etc. Język i styl zdradzają nieuchronnie kulturę mówiących i piszących.

J. B.

STEFAN KISIELEWSKI JAKO MUZYK

W NOTATKACH wspomnieliśmy, że Władysław Kędra dał na bis utwór Stefana Kisielewskiego pt. „Danse Vive”. Historią utworu jest tak oryginalna, że aż nieprawdopodobna, choć całkowicie prawdziwa. Czytelnicy znakomitych felietonów Kisielewskiego w „Tygodniku Powszechnym” wiedzą doskonale, że autor ich jest zarazem jednym z najwybitniejszych muzyków Polski współczesnej. Ukończył Konserwatorium Warszawskie w r. 1937. i to aż trzy wydziały: kompozycję, teorię i fortepian.

Nakomponował sporo muzyki, niestety, większość przepadła w czasie Powstania. Ocalały tylko niektóre utwory, których liczbę powiększyły kompozycje późniejsze. Należą do nich m. in.: Koncert na orkiestrę kameralną, Symfonia, Perpetuum mobile na orkiestrę, utwory kameralne i solowe oraz liczne pieśni do słów Gałczyńskiego.

„Danse Vive” skomponował Kisielewski

wiosną roku 1939 na prośbę kolegi z Konserwatorium, pianisty Lecha Miklaszewskiego, który chciał mieć taką rzecz jako utwór „bisowy”. Miklaszewski grywał „Danse Vive” na koncertach konspiracyjnych, a także w kawiarni Woytowicza na Nowym Świecie, która oprócz imprez RGO stanowiła wówczas warszawską Filharmonię. W czasie Powstania Miklaszewski (dziś profesor i pracownik Polskiego Radia) stracił wszystkie nuty, podobnie jak Kisielewski. Ponieważ jednak umiał rzecz na pamięć, więc po paru latach zapisał utwór „z głowy”, po czym „Danse Vive” wydało Polskie Wydawnictwo Muzyczne w Krakowie.

Jest to utwór bardzo trudny, modernistyczny, w typie Strawińskiego, i dlatego rzadko bywa grywany na koncertach, z wyjątkiem koncertów Kędry — „pozeracza trudności” i najlepszego polskiego technika gry fortepianowej. Kędra grywa zwykle „Danse Vive” na bis.

«MILCZENIE»

Roman Brandstaetter pisze dramaty z niezmierną łatwością i wydajnością. W ciągu dwu sezonów teatralnych 1956/7 i 1957/8 wystawiono w Polsce 13 premier (4 sztuki) tego autora, przeważnie na prowincji. Jego lotna wyobraźnia nie zna granic czasu ani przestrzeni. Brandstaetter z równą łatwością daje sobie radę ze średniowieczem czy z epoką Mickiewicza co ze współczesnością, z tematyką polską czy obcą.

Choć jego sztuki chętnie są grywane na scenach polskich, jednak dość szybko schodzą z afisza i nie pozostawiają głębszego wrażenia. Aczkolwiek z konstrukcyjnego punktu widzenia przedstawiają się wcale zgrabnie, autor zbyt bezceremonialnie obchodzi się zarówno z prawdą historyczną, jak też z żywą rzeczywistością. Toteż dopiero „Milczenie”, pisane, jak nas autor informuje, aż przez sześć lat (1951-6), a ogłoszone w październiku 1956 w „Dialogu”, zyskało duży rozgłos, zarówno w Kraju jak za granicą. W Polsce prapremierę „Milczenia” wystawił Państwowy Teatr Wybrzeża w Sopocie w kwietniu 1957, a więc w niepełną pół roku po Październiku, ale już nawet wtedy policja zakazała grania sztuki po jednym zaledwie przedstawieniu. W Krakowie zabroniono jej jeszcze przed premierą. Natomiast duże powodzenie uzyskało ostatnio „Milczenie” w Szwecji i Austrii, a pewnie zainteresowanie wzbudziło również na Zachodzie.

Wpłynęły na to, oczywiście, okoliczności polityczne, a nie wartości artystyczne dramatu. Gdyby taką sztukę napisał emigrant, żywy duch by na nią nie spojrział. Okrzyczano by sztukę z punktu jako reakcyjną, tendencyjną, piaską. Zrezygowała po Koestlerze, po „Kardynale”, po wstrząsającej operze Menottiego trzeba by nie lada geniuszu, aby poruszyć konsumentów sztuki na Zachodzie problematyką terroru za żelazną kurtyną. Jeżeli jednak taka rzecz pochodzi z za żelaznej kurtyny, wywołuje zrozumiałą sensację, sensację w najwulgarniejszym dziennikarskim znaczeniu. Sensację na Zachodzie, a nie wrażenie estetyczne, wywołała „Odwilż” Ehrenburga, i Dudincew, i „Doktor Żiwago”. „Milczenie” to właśnie miniatury i w polskim wydaniu „Żiwago” na scenę.

Z całą pewnością wystawienie „Milczenia” na scenach europejskich przynosi

korzyść moralną naszej sprawie. Artystycznie jednak jest to sztuka przeciętna. Intryga mogłaby uchodzić za wstrząsającą, gdyby takich motywów nie ograno już przedtem wielokrotnie. Dialog toczy się wprawdzie płynnie i zajmująco, lecz dramat układa się z wypadków i nie dotyczy problemów intelektualnych, przeszlizgując się zaledwie po moralnych. A dramat współczesny to przede wszystkim dramaty moralny. Problemy i kwestie bohaterów „Milczenia” nie prowadzą do zawrotu głowy, chociaż los ich budzi żywe zainteresowanie i współczucie. Nie ma w całym dramacie ani jednej zastanawiającej myśli, przeciwnie, pełni się w nim bujnie zielsko banału i frazesu, niekiedy nie do zniesienia (jak np. w monologu pijackim Poniłowskiego, inkrustowanym złotymi myślami w rodzaju: „Grają tego Szopena i grają od niepaamiętnych czasów i jeszcze nie nauczyli się Polski”. Albo: „Śmierć nie może być zła, jeżeli jest tak piękna jak muzyka Szopena”). Postacie konwencjonalne, nakrecone na czas trwania sztuki, lecz nieprawdopodobne w życiu. Ani ziemianin-komunista, były więzień Berezki za czasów „sanacji”, zaś za rządów ludowych pięknoduch, marzyciel i alkoholik, pisarz partyjny, który „ma tylko jedną wolę: niepisanie, nietworzenie”, ani gorliwa katoliczka, wprost dewotka, która odebrała innej kobiecie męża, doprowadziła do rozwodu i związała się z nim ślubem cywilnym, aby mu potem zatruwać życie nieustannym wspomnianiem, że ją odgrodził od Boga, ani siedemnastoletnia „zetempówka”, mleczna siostrzyczka Konrada Wallenroda na prywatny użytek, która latami przemyśliwa i cierpliwie pracuje nad oderwaniem ojca od trzeciej żony i (zapewne) jego powrotem do matki, a przy tym także nad powrotem ojca do ortodoksji partyjnej, ani wreszcie szlachetny prokurator z awansu klasowego, którego po nocach straszą skazani ludzie i którego celem w życiu mimo to jest odebranie żony przyjacielowi. Prawdziwy w „Milczeniu” jest tylko funkcjonariusz bezpieczeństwa i zaszczyt AK-owiec Niedzicki. No i atmosfera państwa „budującego socjalizm”. Ta, niewątpliwie autentyczna, atmosfera strachu, grozy, zakłamania, zaniku zasad moralnych, u-

czuć rodzinnych, łamała charakterów i beznadziejności, atmosfera matni bez wyjścia, naświetlona nie przez projektory propagandy, lecz piórem człowieka stamtąd, wywiera duże wrażenie, decydujące o powodzeniu sztuki. „Milczenie” to po prostu sensacyjny reportaż sceniczny z życia współczesnej Polski, czy dramat sytuacji polityczno - społecznej, może i z ambicjami, ale bez polityki artystycznej.

W Londynie wystawił „Milczenie” Teatr Aktora pod kierownictwem artystycznym W. Wojteckiego. Reżyser Leopold Kielanowski postawił i wymodelował celnie wszystkie postacie i trafnie na ogół przeprowadził je przez ich kwestie i konflikty. Bez talentów aktorskich reżyseria jednak byłaby bezsilna. Czy londyńska obsada stanęła na wysokości zadania? Na wyżyny tragizmu wznosił się niewątpliwie, naszym zdaniem, tylko jedyny Artur Butscher. Wojtecki miał doskonałe partie, ale konflikty wewnętrzne literata komunistycznego, prowadzące go ostatecznie do samobójstwa, powinny mieć większą wyrazistość i głębię. Najdoskonalej jednak w całym przedstawieniu wypadł dialog duetu Butscher-Wojtecki, gdy sami bez świadków opowiadają sobie o swych losach i zarazem podejrzliwie badają się wzajemnie. Wojteckiemu lepiej wychodziły miękkie gry, a więc dialogi małżeńskie i rozmowy towarzyskie, natomiast starcia z córką Wandą wypadły blade, nieprzekonywujące.

Ryszard Kiersnowski niewątpliwie wzorowo zagrał rolę podyktowaną mu przez reżysera, ale zdaje się, że reżyser nie przeniknął zamierzeń autora odnośnie tej postaci, zaś autor wyposażył ją w tyle sprzeczności, że ten prokurator Witowicz nie da się z papieru przenieść na scenę, która leży bądź co bądź na polowie drogi między literaturą a życiem. Również rola Krystyny Dygatówny była niewdzięczna, więc aktorka zagrała ją bez przekonania.

Ze sztucznością temperamentem potraktowała swą rolę Barbara Galicówna, która musi się pozbyć prowincjonalnej pozy i min z fotosów filmowych, uchodzących w popularnym mniemaniu za aktorstwo. W takiej sztuce jak „Milczenie” uchodzi tylko zupełna naturalność.

Dekoracje Tadeusza Orłowicza udane.

J. B.

ŚW. STANISŁAW (Dokończenie ze str. 8)

nie wyniósł na ołtarze jako męczennika, nie jest nawet błogosławionym.

A następnie: nie chodzi o żaden „taki sam spór”, jaki rzekomo miał św. Stanisław, bo „contumelia” to przecież nie spór, lecz (po staropolsku) „zelywość”, zadane cierpienie, zniesione cierpienie, krzywda doznana, ból, etc. (Kiedy Apostołowie zostali dotkliwie ukarani przez sanhedryn, odeszli radując się, że dane im było „pro nomine Jesu contumeliam pati”, zwrot znany przecież choćby stąd katolikowi: że dla imienia Jezus mogli „zelywość cierpieć”.) A więc Werner nie „dla takiego samego sporu” jak Stanisław został zamordowany, ale z równą, jak św. Stanisław „zelywością”, zabity. (Przy tym „pro libertate bonorum” może znaczyć nie „za wolność dóbr kościelnych”, ale o „uwolnienie dóbr kościelnych”, ale to nie ma żadnego większego znaczenia dla omawianej tu sprawy.)

Tak więc i tu nie znajdujemy ani analogii, ani argumentu ani tym mniej, dowodu. Jak też nie może być analogii między św. Stanisławem, a Oleśnickim, który sprzeciwił się Jagielle i papieżowi w sprawie proponowanego okrojenia diecezji kra-

kowskiej na rzecz świeżo utworzonej diecezji chełmskiej. Wiemy przecież dość dokładnie, jak mi pobudkami kierował się przysły kardynał, jak tu była zmieszana razem ambicja „eklezjastyczna” dumnego hierarchy, który, mimo że nie był budującego życia, także zapewne uważał się za poślubionego swej diecezji, jak się zawsze uważał, uważa i musi uważać każdy biskup (— bo nie odnosi się to tylko do XI wieku, jak pisze Autorka i „do ówczesnych pojęć”, lecz jest to na zawsze rzeczywistością, odbiciem stosunku Chrystusa Pana Oblubieńca — Sponsus do Kościoła Oblubienicy — Sponsa); ambicja eklezjastyczna, próżność osobista, wyrachowanie materialne, brak rzetelnego „zmysłu Kościoła” w czasach, kiedy zaczynał być tak rzadki, etc.

Wiele jeszcze byłoby rzeczy do powiedzenia o wielu innych — jak mi się wydaje równie nieugruntowanych i niepodbudowanych — twierdzeniach. Lecz nie chcę przedłużać artykułu. Z żalem tylko kończę stwierdzeniem, że „w sprawie sporu między Bolesławem Śmiałym a św. Stanisławem” nie dowiedzieliśmy się chyba niczego.

Niczego też pewnego nie dowiedzieliśmy się o rzekomej próbie restytucji metropolii siewiańskiej.

Jan Tokarski

WZIĘLI SIĘ SZKOCI NA SPOSÓB

O godzinę drogi na zachód od Glasgowa płynie rzeka Clyde. Za ledwie dwie mile wody odgradza dwa różne światy: szkockie niziny i Szkocję zachodnią. Podobnie jest na północy, gdzie na linii Loch Lomond, Stirling i Perth — kończą się niziny i zaczyna północna Szkocja. Rdzenna Szkocja jest tutaj, za tą linią. To nic, że 80% Szkotów mieszka w nizinach, że stolicą Szkocji jest Edynburg. Prawdziwego oblicza Szkocji trzeba szukać w jej północnej części, geograficznie, historycznie i ekonomicznie całkowicie odrębnej i różniącej się od reszty kraju.

Południowa Szkocja zezowała zawsze ku Anglii. Toteż za czasów rzymskich dała się okupować legionom. Na wzór Anglii przeprowadziła w XVI i XVII wieku reformację, ona też ponosi odpowiedzialność za unię z Anglią. Północ opierała się i reformacji i unii, a nawet wówczas gdy unia stała się już faktem dokonany, na północy Szkocji coraz to wybuchały powstania na rzecz szkockich Stuartów. Co prawda, po powstaniu 1745 roku zbrojny opór ustał, ale mimo to Północ zachowała nadal swoją hardą odrębność.

Górzysty to kraj i ubogi, zdolny do produkowania tylko owiec i owsa na porząd, skromnie zaludniony, ale turystę czekają tu różne niespodzianki. Znajdzie więc wśród tych pagórków i gór szkockich wcale nie najgorzej zachowany język galijski i większą ilość katolików niż w reszcie kraju, bo tu, na północy, dano nie lada opór reformacji, szczególnie na wyspach zachodniego wybrzeża, gdzie reformacja w ogóle nie zdołała dotrzeć.

Kto się lubuje w pamiętkach historycznych, w nasiąkłych krwią wspomnieniach i legendach, istny tu może mieć raj. W każdej dolinie, za każdą przełęczą odzywa się historia: w tym miejscu była masakra, a w tym morderstwo lub zajazd. Nie darmo się mówi, że Szkot rozdził się dawniej z mieczem w zębach i od miecza umierał.

Trudno mimo to zrozumieć, jak ten mały, ubogi kraj potrafił się oprzeć najazdom aż trzech najbardziej imperialistycznych narodów historii, Rzymianom, Wikingom i Anglikom. I dlaczego taki bitny naród, który jak kogut skakał wszystkim do oczu, nigdy nie spróbował podbić sobie lepszej ziemi?

Bo Szkocja jest krajem nie podbitym i nie podbijającym. Cesarz rzymski Severus wdarł się w nią co prawda głęboko, prawie że pod dzisiejsze Aberdeen, lecz nie popasał tu długo, pozostawiając prawie połowę swojej armii po lasach i bagnach. Wikingowie także urządzali wyprawy i przez pewien czas rządzili się po wyspach zachodnich, ale też ostatecznie wycofali się, zrezygnowani. Anglicy, za czasów Edwarda I, południową Szkocję zdobyli, jednakże nawet wtedy, kiedy szkocka niepodległość była najbardziej zagrożona, północną Szkocją woleli — z wrodzonej przezorności — zbytnio się nie interesować, a potem znów musieli wycofać się do swoich granic. Po unii — północna Szkocja długo stawiała opór. W tym to właśnie okresie najzawziętsze

rozgrywały się bitwy, najbardziej krwawe odbywały się masakry, przeważnie między szkockimi góralami a siłami klanu Campbell i księcia Argyll, którzy w tym samym stopniu krwiożerczy co chcieli nagród z rąk Wilhelma, walczyli po jego stronie na swojej rodzinnej ziemi szkockiej.

Po ostatecznym upadku Stuartów wzięli się Szkoci na sposób, z jednej strony nie zadzierali już więcej z władzami w Londynie, a z drugiej — kompletnie ignorowali wszelkie wpływy angielskie. Zauważyli, że gdy udają dziwaków, dużo im uchodzi na sucho. Jeżeli przedtem, w czasach doskwierających im zanadto niedostatków, mogli sobie od biedy radzić urządzając wyprawy na majątki w Anglii i podkradając z nich bydło, to teraz odkryli, że Anglicy gotowi są przybyć osobiście do Szkocji i dać się obskubać na miejscu. Ci, którzy dziś potępiają wybuchy szkockiego separatyzmu, opierają swoje opinie właśnie na fakcie, że podatki zebrane w Szkocji nie pokrywają nawet rządowych wydatków Anglii na ten kraj.

Temu nastawieniu zawdzięcza Szkocja swoją niepodległość. Twardych i chytrych Szkotów nie zmiękczyły i nie zjednały nawet tak zwane dobrodziejstwa działalności handlowej i kulturalnej, od której mądry zdobywca zwykle zaczyna, chcąc pozyskać sobie szybko zdobywanych. Nie wytworzyło się nawet wewnątrz kraju stronnictwo przychylnie obcemu zainteresowaniu. Przeszkodził temu w pierwszym rzędzie sławny szkocki system rodzinny i związana z nim atmosfera, w której obcy człowiek pozostaje tu obcy w każdym warunkach. W rezultacie obecność obcych w Szkocji — nie osiągnęła zamierzonego efektu.

Sławny system rodzinny? — O, to bardzo proste. Zyjąc w dolinach, przeważnie odciętych od siebie, Szkoci musieli być samowystarczalni, to znaczy polegać na skupionej obok siebie rodzinie, bo ani klimat, ani topografia nie pozwalały liczyć na pomoc ze strony jakiegoś innego środowiska. Z biegiem czasu ta współzależność rodzinna tak weszła im w krew, że nawet i dzisiaj, przy dużo lepszym bądź co bądź stanie komunikacji — rodzina trzyma się nadal razem i nawet w miastach tworzy zamknięte grupki.

Silne węzły rodzinne przyczyniają się do rozwoju lokalnego patriotyzmu i głębokiego przywiązania do miejsca, w które r o d z i n a wrastała korzeniami od lat. Ludzie związani węzłami rodzinnymi są przygotowani na zniesienie gorszych warunków życia, byle być razem. Potrzeba dopiero nadzwyczajnych okoliczności, by zdecydowali się ruszyć z miejsca.

Obawiali się Szkoci, że zbyt silne wpływy obcych mogą wytworzyć te okoliczności i... tak się też stało. Po unii z Anglią szybko zmieniła się gospodarka i rozwinęła się hodowla owiec, a za tym poszło masowe i półprzymusowe wysiedlanie górali zajmujących się rolnictwem. W tym właśnie okresie nastąpiła wielka szkocka emigracja, która wypełniła zamorskie posiadłości tysiącami Szkotów. Szkoci emigrując — wysyłali najpierw swoją awangardę, która po zbiciu warunków ściągała resztę rodziny.

Jeżeli więc Szkot sięgnął po lepszą dolinę na obcej ziemi, to nie w drodze podboju, a jako zmuszony będąc emigrant, bo zbyt był w swoim kraju rozmiłowany, żeby chciał dobrowolnie zmieniać go na inny. Zresztą, zważmy i to, że wszelkie plany podbojów rodziły się w historii przeważnie w głowach jednostek, które albo przerastały swoje otoczenie ciekawością świata i odwagą, albo najzupełniej nie były do niego dopasowane. I w Szkocji na pewno nie zbrakło takich wybujałości, tylko że znajdowały one ujście w granicach własnego kraju. Poszukiwacze przygód, rwący się do odkryć, przekształcili się na tutejszych mężów nauki, zaś stosunkowo nieliczne elementy niedostosowane do otoczenia wyżywały się na miejscu, znajdując dość do tego okazji, bądź to w walce z najeźdźcą, bądź też w zwykłych rodzinnych zwadach. W obecnych, powojennych czasach — silny rozwój przemysłu wyciągnął wielu mieszkańców gór szkockich do miast. Unowocześniony system komunikacji, pięciodniowy tydzień pracy i dogodność urlopów — wszystko to pozwala im na utrzymywanie nadal silnych węzłów rodzinnych.

Szkocki góral ruszywszy się wreszcie zza swoich gór, nie zostawił za nimi rodzinnych zdrowych cnót. Przyniósł je wszystkie z sobą, razem z tym tegim duchem północy, który tak waleśnie przyczynia się do fenomenalnego rozwoju nacjonalizmu i w południowej Szkocji.

J. R. Lambor

Nowość!

Nowość!

JERZY PIETRKIEWICZ

ANTOLOGIA LIRYKI ANGIELSKIEJ

1300 — 1950

Plócienna oprawa.
Barwna obwoluta.

Stron 236.

Cena 15/-

Do nabycia
w KATOLICKIM
OSRODKU
WYDAWNICZYM
„VERITAS“

12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

W W e n e c j i

ALEKSANDER MILKER

Była ciemna noc, kiedy pociąg wtoczył się na wąski przesmyk, wiążący Wenecję ze stałym lądem. Z lewej i z prawej strony czarne jak atrament fale morskie. Przed nami tysiące świateł.

Przed dworcem na Canale Grande, sześć lat temu wiodą wprost do błyszczącej wody. Niczym czarna łabędź wychyla się z mroków zadarty dziób gondoli...

Skręcamy w boczny kanał i gondola zatrzymuje się obok innych, przycumowanych do słupów. Wprost z kanału otwiera się nowoczesny hall hotelowy. Odzywa się głos dzwonu. To na placu św. Marka na zegarowej wieży dwóch Maurów miarowo wydzwania młotami godziny, budząc echa wspaniałej a wiecznie żywej w tym mieście przeszłości.

..

Pod ciosami barbarzyńców Rzym walił się w gruzy, a na wodach Adriatyku, na mglistych lagunach i moczarach odległych o dwie i pół mili od lądu rodziła się nowa potęga — Republika Wenecja.

W r. 413 na Riva Alto ludzie uciekający z Rzymu przed okrucieństwem Hunnów, zaczęli bić pale w grząskie podłoże lagun. Do wzrostu potęgi Wenecji przyczyniły się bezdomność, bieda i niedostatek. Na laguny trzeba było dowieźć nie tylko żywność, ale również kamień i drewno na budowę.

Wenecjanie z konieczności stali się rybakami. Zwróceniu ku wolnej przestrzeni morza zrozumieli, że korzyści może dać im tylko handel. Kupcy weneccy wypływali na swoich płaskodennych łodziach wzdłuż wybrzeży dalmatyńskich zapuszczając się coraz dalej na południe. Stopniowo, ze spójnością rybackiej zamieniają się w kupców i żeglarzy.

W siódmym wieku społeczność wenecjańska wybiera swego przywódcę czyli dożę. Wyłaniają się dwa ugrupowania polityczne: „arystokraci” i „demokraci”.

Galery weneckie zawiązują do portów w Egipcie i Syrii, zwożą towary do Konstantynopola i powracają obciążone towarami z Lewantu. Na powracających z dalekich rejsów Wenecjan, czatowali dalmatyńscy korsarze. W roku 997 doża Pietro Orseolo II, w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego, rozgromił piratów a Adriatyk stał się morzem weneckim. Do tytułu doży doszedł nowy: księcia dalmatyńskiego. Na pamiątkę tego zwycięstwa co roku odbywała się uroczystość symbolicznych zaślubin Wenecji z morzem, „La Sposallizio”, znana z obrazów Carpaccio.

Z przystani koło Pałacu Dożów wypływała wielka pozłacana barka „Bucentoro”, wioząca dożę i dostojników. Załogę łodzi stanowili synowie arystokracji kupieckiej. „Bucentoro” towarzyszyły tysiące fantastycznie przybranych łodzi i gondoli. Barka płynęła w kierunku Lido, ostatniej piąszczywej laguny przed otwartym morzem. W tym samym czasie wypływał na spotkanie biskup z Castello. Przesiadał się do łodzi doży i wręczał mu wianek róż w srebrnym wazonie, czerwone wino i wyluskane orzechy. Po krótkiej modlitwie biskup błogosławił pierścien i wręczał go doży. Doża wstał ze złotego tronu i rzucił pierścien w fale Adriatyku wołając: „Desponsamus te, mare, in signum veri perpetuique domini

Serenissimae Republicae Venetae”. Uroczystość tę obchodzono do czasu zajęcia Wenecji w r. 1793 przez wojska francuskie.

..

Zwycięstwo nad piratami zapoczątkowało nową erę w ekspansji Wenecjan. Aby rozporządzać dostateczną ilością drzewa na budowę okrętów, zajmują leśną Istrię, a żyzne obszary ciągnące się od brzegów jeziora Como aż do ujścia rzeki Po stanowią zaplecze miasta. W dalszej ekspansji Wenecjanie obejmują archipelag grecki, przepływają Bosfor i na Krymie zakładają placówki handlowe.

Trzymasztowe galeony weneckie krążyły po morzach, wiążąc odległe terytoria. Wszystkie okręty stanowiły własność republiki i tylko wydzierżawiano je poszczególnym kupcom. Budowa okrętów, ich wyposażenie i obowiązki załogi były ściśle określone prawem.

Sławne ongiś stocznie Wenecji „Arsenale” zostały założone w r. 1104. W wieku X Arsenale jest największym zakładem przemysłowym na świecie, zatrudniającym 16.000 robotników. Budowano tu nie tylko okręty handlowe i wojenne, lecz odlewano także armaty i wyrabiano sprzęt żeglarski. Z Arsenalem weneckim wiąże się dzieje i naszej marynarki wojennej. W r. 1572 na zlecenie króla polskiego Zygmunta Augusta został tu wykonany okręt wojenny „Smok”.

Opis Arsenalu z r. 1436 pokazuje ówczesną organizację pracy: „Gdy przekroczysz bramę, zobaczysz szeroką ulicę, przez którą płynie woda morską. Z jednej i z drugiej strony wychodzą na nią otwarte okna Arsenalu. Kanałem płynie okręt holowany przez kół, a z okien podają: z jednego olinowanie, z drugiego chleb, z innych uzbrojenie i w ten sposób okręt pobiera wszelki sprzęt i ładunek. I gdy wreszcie osiągnie koniec ulicy, wszystko co jest potrzebne do podróży, łącznie z kompletem wioseł, znajduje się już na pokładzie. Tym sposobem między godziną 3 a 9 wypływa 10 galeon całkowicie wyposażonych”.

W czasie trwania czwartej wyprawy krzyżowej, potężna flota wenecjańska, na czele której stanął 94-letni, prawie niewidomy doża Dandolo, przewiozła 40.000 ludzi oraz 20.000 koni wraz z zaprowiantowaniem na przebieg jednego roku.

..

W wieku XV Wenecja jest najpotężniejszym państwem w Europie. Choć rządy w niej sprawowała arystokracja kupiecka, we wszystkich uroczystościach państwowych, kościelnych oraz w zabawach cała ludność miasta brała udział. Cudzoziemcy stwierdzają, że ludność miasta stanowiła jakby jedną wielką rodzinę. Republika Wenecja była pierwszym państwem, które zaprowadziło stałą służbę dyplomatyczną, i wysyłała ambasadorów do krajów, z którymi utrzymywała stosunki handlowe. W polityce zagranicznej przyświecał Wenecji jeden cel: korzyści materialne.

Powiązania handlowe z Lewantem mają duży wpływ na życie miasta. Najbardziej to uwydatnia się w jego architekturze, która jeszcze w początkach XIV wieku podlegała wpływom bizantyjskim; w XV i XVI wieku gotyk przechodził w renesans. Rozwój Repu-

bliki przynosi nigdzie w Europie nie spotykany dobrobyt i zbytek. Coraz więcej napływa cudzoziemców. W ciągu roku przypadało 200 dni świątecznych. Dość było czasu na wspaniałe uroczystości i zabawy, których uświetnieniem zajmowało się specjalne stowarzyszenie pod nazwą „Calza” (pończocha). Członkowie tej organizacji ubierali się w długie, obcisłe jak pończocha, barwne spodnie, krótkie, wcięte w pasie kaftany z aksamitu, wyszywane perłami i złotymi lub srebrnymi nićmi. Jako motyw dekoracyjny służyły herby, kwiaty i zwierzęta. Na szyi mieli zawieszony złoty łańcuch. Z wąskiego ozdobnego pasa zwisał sztylet w bogatej oprawie. Stroju dopełniały peleryny i berety przybrane w strusie pióra.

Obcy chętnie podziwiali i malownicze obchody i barwne życie wenecjan. Toteż wiele cech szczeroci posiada uprzejme powiedzenie Henryka III z czasów jego wizyty w Wenecji, w roku 1574: „Gdybym nie był królem Francji, pragnąłbym zostać jedynie obywatelem Wenecji”.

Zamiłowanie do zbytku rozwinęło się do tego stopnia, że władze starały się je ograniczyć specjalnymi przepisami: regulowały one ilość dań na przyjęciach, ilość girland ozdabiających fasady domów, wielkość i dekorację gondoli itp. Początkowo gondole były czerwonej barwy, dopiero po stracie Peloponezu, na znak żałoby, przemalowano je na czarny kolor.

W miarę wzrastania dobrobytu rozwijały się sztuki piękne. Nazwiska związane z Wenecją to m. in.: trzej Bellini, ojciec i synowie, Carpaccio, Giorgione, Tintoretto, Tycjan i Veronese. Na jednym z placyków Wenecji stoi sławny pomnik kondotiera Bartolomeo Calleani di Verocchie (1483).

W XIV wieku, po zajęciu Konstantynopola, Wenecja staje się składnicą beczonnych manuskryptów. Tutaj, w drukarni uczonego Manutiusa, po raz pierwszy ujrzało światło dzienne 28 wydań klasyków greckich. W połowie XIV wieku Wenecja jest drukarnią Europy, a wydawnictwa Aldine były pierwszymi książkami, drukowanymi w dużych nakładach.

Wielcy pisarze renesansu, Dante, Petrarca przebywali w Wenecji. Za nimi pielgrzymowały tam pokolenia twórców. Byli tu i nasz Sienkiewicz, Konopnicka i Żeromski, który w pierwszym tomie „Popiołów” opisywał początek okupacji francuskiej w Wenecji: była w Wenecji i Gabriela Zapolska.

..

Nad życiem wenecjan bacznie czuwa „argusowe oko” „Rady Dzięściu”, której dewizą było „Secretezza et iterum secretezza”. Wyłoniona ze ścisłego grona patrycjuszki, Rada sprawowała swą nieograniczoną władzę z bezwzględnością, a nieraz i okrucieństwem.

Obywatel Wenecji, gdy zauważył coś co mogłoby zagrażać interesom Republiki, obowiązany był donieść o tym. Doniesienie wrzucano do paszczy kamiennego lwa w pałacu dożów. Tylko podpisany donos był rozpatrywany. W wypadku stwierdzenia fałszywego oskarżenia donosiciel był surowo karany. „Rada Dzięściu” sprawowała swą władzę przy pomocy aparatu tajnej policji. Policja głównie w nocy dokonywała aresz-

towań i przeprowadzała śledztwo i z tego powodu ludność Wenecji nazywała swoich policjantów „signori di notte”. Nazwa „zbir” pochodzi od weneckich siepaczy „sbirri”. Chętnie posługiwano się trucizną, a oficjalny urząd truciciela istniał w Wenecji przez długie wieki...

Niezwykłym przepychem lśni wewnątrz kościoła św. Marka. Złoto i marmury, marmury i złoto. Świątynię, której budowę rozpoczęto w X wieku, zdobią dzieła sztuki zwożone z całego świata. Kolumny z Egiptu i Syrii, kapitele z Grecji. Budowali ją Grecy architekti; przeszło 5.000 metrów kwadratowych mozaiki pokrywa ściany bazyliki.

Wąskie, strome schody prowadzą nad portyk, gdzie stoi czwórka wspaniałych rurek z brązu. Ongiś zdobyły one łuk tryumfalny wzniesiony dla Nerona. Zabrał je Konstantyn do Bizancjum. Kiedy weneccjanie zajęli Konstantynopol, podęsta Zen przewiózł je jako łup wojenny do Wenecji i ofiarował patronowi miasta. W roku 1797 wywiózł je znowu Napoleon, by ozdobić nimi łuk tryumfalny w Paryżu. Powróciły jednak na swoje miejsce w 1815 roku po upadku Napoleona.

Przed bazyliką wznoszą się trzy wielkie maszty, na których powiewają barwne chorągwie ze lwem św. Marka i napisem: „Pax Tibi Marce Evangelista Meus”. Trzy chorągwie symbolizują Wenecję oraz dwie wyspy wchodzące ongiś w skład Republiki: Cypr i Kretę.

Na wieży Torre dell'Orologio, zegar z XV wieku oraz bogato złocona i niebieska emalią wykładana tarcza, która wskazuje fazy księżyca i znaki zodiaku w pozorowanym ruchu słońca; na płaskim dachu dzwoń i dwóch z brązu odlanych Mamrów, młotami wydzwanających godziny i kwadransy. Pałac Dożów ma ściany wykładane marmurem, którego kolor zmienia się w miarę posuwania się słońca.

Na Piazzeta, między Pałacem Dożów a Biblioteką San-Sovino, nad brzegiem morza stoją dwie kolumny. Przywieźli je weneccjanie w roku 1127 z Tyru. Na jednej z nich depta krokodyla pierwszy patron Wenecji św. Teodor, a na drugiej lw św. Marka trzymająca otwartą księgę Ewangelii. Między tymi kolumnami były wykonywane wyroki śmierci.

Nie od razu załamała się morską potęgą Republiki Weneckiej. Przez wieki wznosiła

i przez wieki ustępowała nowej potędze morskiej — Wielkiej Brytanii.

Długotrwałe wojny, wielka, wprowadzająca zwycięską bitwę pod Lepanto w roku 1571, w której została zniszczona morską potęgą Turków i którą zwyciężyła o losach nie tylko Wenecji, ale i Europy — wyczerpały weneccjan.

Ciosy, które podkopały handel wenecki, to: skutki odkrycia przez Kolumba dróg do Nowego Świata, oraz zajęcie przez Turków Konstantynopola. Nici wiążące Wenecję ze Wschodem zostały przecięte. Coraz więcej okrętów weneckich beczynnie stoi w portach, miasto zaczyna ubożeć.

Ostateczny cios Republice Weneckiej zadały: rewolucja francuska oraz pociski z dział Napoleona, które dosięgły ją od strony łądu. W roku 1797 wojska francuskie, w skład których wchodziły i oddziały polskie, zajęły miasto.

Po przeszło 1000-letnim istnieniu przeminęła prześwietna republika. Ostało się miasto — „Perła Adriatyku” zdobna skarbami nagromadzonymi przez wieki dobrobytu, zamieszkiwana do piękna i wystawnego życia. Wspaniała przeszłość Wenecji trwa zaklęta w kamień i dzieła sztuki ludzkiej.

Aleksander Milker

DOTRZYMANE ŚLUBOWANIE

(Dokończenie ze str. 20)

nie pozwalają mi przyłączyć się do nich. Yong stawia rozpaczliwy opór Mandżurom w Kwang-Si. O. Boym chce do niego dotrzeć. Jedyna droga prowadzi przez Tonkin. Droga bez powrotu. Swój dorobek pisarski i naukowy, liczne rękopisy po łacinie i po chińsku, o. Boym oddaje jednemu z misjonarzy, ks. Couplet. W sierpniu 1658 r. polski misjonarz dociera do Tonkinu. Z młodym Chińczykiem, Andrzejem, towarzyszem podróży do Rzymu, rusza dalej w lutym 1659 r., co miało być ostatnim etapem długoletniej podróży. Otrzymuje nawet wieść o zwycięstwie pretendenta nad wojskami mandżurskimi. Był to jednak sukces chwilowy. Podczas drugiej, decydującej bitwy armia chińska została rozbita i Yong uciekł do Pegu.

O. Boym dotarł do Kwang-Si za późno. Próbuje zawrócić do Tonkinu, nie otrzymuje na to zezwolenia od króla. Niepowodzenia, przemęczenie i choroba, przecinają jego misję i życie. Umiera 22 sierpnia 1659 r. W archiwach i bibliotekach pozostały ślady jego niezwyklej działalności: cenne prace na temat przyrody i świata zwierzęcego krajów, w których przebywał, opisy podróży i rozprawy lekarskie, mapy. Wiele innych, jak katechizm chiński, przepadły bez śladu.

Wielu misjonarzy wydało Towarzystwo Jezusowe. Szereg z nich to Polacy, ofiarni, poświęcający wszystko, włącznie z życiem, na ołtarzu sprawy Jednej Owczarni. O. Michał Piotr Boym ze Lwowa, wypełniający swoje młodzieńcze ślubowanie, nie był wyjątkiem. Jego historia to epizod niewątpliwie ciekawy, wielkiej, trudnej i krwią pisanej historii misjonarzy.

Tadeusz Ziarski

Kursy wakacyjne uniwersytetu w Montrealu

Centrum Studiów Słowiańskich, założone w 1948 roku na Uniwersytecie Montrealskim i prowadzone przez dr. Teodora Domaradzkiego, profesora zwyczaj. literatury polskiej, powiększa z każdym rokiem program nauki i badań oraz zakres terytorialny swego promieniowania. Oprócz studentów z Kanady, Stanów Zjednoczonych, Ameryki łacińskiej i Europy, w ośrodku sławistyki studiuje również kandydatki pochodzący z krajów azjatyckich. Wielka ilość absolwentów Centrum zajmuje dziś wybitne stanowiska w szkolnictwie wyższym i średnim, w administracji państwowej, dyplomacji i szeregu instytucji naukowych i innych. Uczniowie prof. Domaradzkiego i jego współpracowników zdobyli sobie już uznanie jako kwalifikowani wykładowcy na uniwersytetach amerykańskich i kanadyjskich. Każdego roku wychodzą z Centrum, największego katolickiego instytutu sławistycznego w Ameryce, nowe kadry specjalistów z dyplomami B. A., magistra lub doktora w zakresie filologii słowiańskiej, polonistyki, rusycystyki, sowietologii, etnografii oraz historii wschodnio-europejskiej.

Wśród absolwentów wyróżniają się liczbą i wysokimi często zdolnościami Polacy, z których wielu zawdzięcza ukończenie studiów pomocy Fundacji Paderewskiego w Nowym Jorku. Prezesem tej zasłużonej instytucji jest znany działacz polsko-amerykański Edward S. Witkowski, wiceprezesami sędzia Bayer, prof. Domaradzki, adw. Niebieszczański, dyrektorem wykonawczym Janta-Polczyński, sekretarzem generalnym adw. Carol.

Dla umożliwienia kandydatom zamiejscowym, a zwłaszcza cudzoziemcom, odbywania studiów na Uniwersytecie Montrealskim, Centrum Studiów Słowiańskich zgodnie z wieloletnią tradycją organizuje i tego roku kurs wakacyjny w okresie od 2 lipca do 14 sierpnia. No-

wość stanowić będzie dział pod nazwą „Szkoła kształcenia nauczycieli języka rosyjskiego”. Osoby, które posiadają znajomość języka rosyjskiego, mogą zdobyć potrzebne kwalifikacje do nauczania tego języka na szczeblu niższym i średnim.

Wykłady na KURSIE WAKACYJNYM odbywać się będą w ciągu dnia i wieczorami. Program sekcji polskiej przewiduje ćwiczenia w pracowni językoznawczej, nauczanie i wykłady języka oraz kurs wyższy kultury polskiej ze szczególnym uwzględnieniem zmian ludnościowych, jakie zaszły w Polsce w czasie i po drugiej wojnie światowej.

Program KURSU WAKACYJNEGO uwzględnia też naukę języków oraz różnych zagadnień innych krajów Europy środkowo-wschodniej.

Studenci, dążący do uzyskania stopnia B.A. lub M.A., bądź też certyfikatu, mogą zapisać się na kompletny kurs wybranej przez siebie specjalności; inne osoby, zainteresowane w jednym czy kilku wykładach, dokonują wyboru samodzielnie. Studenci polscy, na podstawie dobrych wyników osiągniętych podczas KURSU WAKACYJNEGO, uzyskują pierwszeństwo w otrzymaniu stypendium Fundacji Paderewskiego na normalny rok akademicki.

* * *

Po szczegółowe programy KURSU WAKACYJNEGO (oraz Szkoły kształcenia nauczycieli języka rosyjskiego) i informacje trzeba pisać do: Department of Slavic Studies, University of Montreal, P. O. Box 6128, Montreal 3. (Tel. REgent 3-9951, loc. 224) lub Centre d'Etudes Slaves, Université de Montréal. Można tamże zaabonować kwartalnik Centrum: „Slavic and East-European Studies”, oraz otrzymać program całoroczny studiów na stopień B.A., magistra, czy doktora.

ŚLAD GŁĘBOKI...

Śmierć Stanisława Westfala w Glasgowie 28 kwietnia br. jest przede wszystkim dotkliwą, bezpośrednią stratą dla polskiej mowy. To stwierdzenie nie może dotknąć jego najbliższych: drogiej mu żony, przyjaciół. Bo pani Krystyna, współpracowniczka najwierniejsza, a za nią oni wszyscy, wiedzą przecież, że słusznie pisano o zmarłym... są na szczęście wśród nas 'święci szaleńcy', którzy z podziwu godnym uporem bronią praw polszczyzny w tłumie obcych języków na drogach emigracyjnych... Język, skarb każdego narodu, skarb bezcenny, broń i ubezpieczenie narodu narażonego, jak nasz — język polski stracił troskliwego kustosa, już zasłużonego, który by jeszcze długie lata służył. Miał swoich lat dopiero 47.

Stanisław Westfal urodził się w Lublinie w roku 1911. Studia wyższe, naturalnie polonistykę, odbywał na Uniwersytecie Warszawskim (1929-34). Studiował język litewski na uniwersytecie w Kownie (1934-37). Przygotowywał tezę doktorską o polskich i słowiańskich wpływach w dialekcie Litwy zachodniej; niemiecki najazd zniszczył materiały. Był asystentem katedry polonistyki w Warszawie i lektorem języka litewskiego (1937-38). W roku 1938 został attaché prasowym w poselstwie R. P. w Kownie; językowe mosty służyły krótkiej próbie zbliżenia politycznego. W roku 1939 krakowska Akademia Umiejętności mianowała go korespondentem.

W czasie wojny został przydzielony do służby dyplomatycznej w Angers i w Londynie; był kierownikiem referatu bałtycko - skandynawskiego w wygnańcym MSZ.

Po wojnie powraca do studiów, kariery uniwersyteckiej i pisania. Współpracuje z Uniwersytetem Londyńskim i londyńską Szkołą Języków Słowiańskich (1945-1947). Jest asystentem katedry filologii (języki: polski, cerkiewno-słowiański, litewski i czeski) na uniwersytecie w Lund w Szwecji (1947-49). Od roku 1949 jest lektorem języka polskiego i filologii na uniwersytecie w Glasgowie. Uzyskuje tytuł doktora Uniwersytetu Londyńskiego monumentalną pracą o... dopełnacza rodzaju męskiego liczby pojedynczej.

Był czynnym członkiem Pen-Klubów. Pomimo wyczerpanej pracy naukowej, chciał także służyć w robocie społecznej; był członkiem-założycielem Tow. Kulturalno-Oświatowego im. Sikorskiego w Glasgowie. Interesował się polityką, głównie zagadnieniami międzynarodowymi, zwłaszcza sprawą zbliżenia narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Należał do PRW NiD.

Na odcinku jego zainteresowań politycznych i zarazem „zawodowych” szczególnie zaznaczyła się sprawa stosunków polsko-litewskich. Westfal zawsze marzył o przyjaźni Polski i Litwy, uważał nasze narody za bratnie i kochał niemal na równi język polski i litewski.

Pisał dużo, pisałby coraz więcej. Jego pierwsza publikacja, po polsku i po francusku: „Uwagi o zapożyczeniach polskich w języku litewskim” (Warszawa, 1932). Ogłaszał dłuższe prace w warszawskim „Poradniku Językowym”, krakowskim „Języku Polskim”, w zeszytach warszawskiego Tow. Naukowego, w „Pa-



Ś.p. Stanisław Westfal

miętniku Lubelskim”, w wileńskich „Balto-Slavica”. Pisał do prasy litewskiej. Przetłumaczył na litewski „Przegląd dobrej nadziei” Z. Nowakowskiego i „Genezę Aktu Krewskiego” H. Paszkiewiczza.

W roku 1956 wyszły dwie książki Westfala: naukowa: — „A Study in Polish Morphology. The Genitive Singular Masculine.” (Mouton & Co., Haga) i popularna — „Rzecz o polszczyźnie” (Veritas, Londyn). Poza polskimi pismami emigracyjnymi, obszerne recenzje o książkach i dorobku dr. Westfala ogłosiły: „Język Polski” (Kraków), „Archivum Linguisticum” (Glasgow), „The Modern Language Review” (Oksford), „Revue des Etudes Slaves” (Paryż), „Lingua” (Amsterdam), „Word” i „The Slavic & East European Journal” (USA).

Miał już przygotowane do druku dalsze prace: „O języku polskim” po angielsku (recenzent Anglik pisze o tej książce: „...studium rzetelnie naukowe a zarazem fascynujące... pierwsza tego rodzaju praca w języku angielskim...”); po polsku — „Zbiór artykułów”; gramatykę polską dla specjalistów; rzecz o poezji litewskiej.

W czasie wojny i po wojnie ogłaszał stale artykuły, dłuższe i krótsze, ściśle naukowe i popularyzatorskie: w pismach polskich — „Kultura”, „Wiadomości”, „Życie”, „Dziennik Polski”, „Wiadomości Polskie” (szwedzkie i austriackie); w pismach obcych — „The Slavonic &

East European Review” (Londyn), „Archivum Linguisticum” (Glasgow), „Revue des Etudes Slaves” (Paryż), „Word” (USA). Pisał dla encyklopedii Lama i dla londyńskiej Chamber's Encyclopedia.

Westfal był naukowcem z prawdziwego zdarzenia, erudytą wymagającym, badaczem dociekliwym, ale równocześnie humanistą wrażliwym na piękno i poezję. Chudy nordyk o ascetycznym wyglądzie umiał się śmiać, a w dowcipie trzeźwym i tegim był dziedzicem Reja z Nagłowic.

W jego ślicznej, solidnej i lekkiej „gawędzie o języku polskim” („Rzecz o polszczyźnie” wydana przez K. O. W. „Veritas”) z każdej kartki przebija urzekająca wszechstronność osobowości autora. Ścisłe rozważania filozoficzne krasi żart: tytuł rozdziału — „Etymologie lekkie: drwiny, duby, kpiny, bzdury, koszałki-opałki i banialuki”; analizy gramatyczne owiewa poezją: „...tak to tempora mutantur gramatyczne... Ale płacz ten sam Bożej Matki rozbrzmiewa poprzez wieki całe. Tylko płacz jest wieczny...”; batalie z puryzmem urozmaicają filozoficzne refleksje aktualne: „...Wszak potrzeba żarliwa urozmaicenia i ponowy, chociażby nawet przez obce słowa, obce głoski, jest rzeczą godziwą, acz wtedy tylko, jeżeli cechuje ją umiar, ale to już dotyczy wszystkich zjawisk życia. 'Z ludźmiśmy żyli'... A kto z ludźmi żyje, musi wiedzieć, że sprawa polega na wzajemnym oddziaływaniu, którego proporcje trzeba tracić nadziei-wizji, że Polska, po brym humorem... Słowa są tylko liczmanem i większa jest wartość rzeczywistości, którą oznaczają, niż samego ich dźwięku i postaci. Więc boje między słowami dziać się mogą i dzieją niezależnie od obcego czy rodzimego pochodzenia. A ważniejsza jest wzajemnie, wspólnie, codziennie wypełniana służba niż marginesowe raczej konflikty...”

Serce Westfala nie było daleko od głowy: gorący patriota, dobry syn i mąż, dobry kolega; „Rzecz o polszczyźnie” poświęcił rodzicom, pracę doktorską żonie, życie mowie ojczystej: „...Nigdy nie trzeba tracić nadziei wizji, że Polska, po latach czarnych, znojnych i głupich, zakwitnie jutro-pojutrze jasno, promiennie, i że szale dziejów sprawiedliwiej przechylą się na naszą stronę...” — „...lecają słowa jako liście z drzew, nie tylko umierają, ale i zmieniają postać, kształt i barwę, póki tylko drzewo trwa...” — On to drzewo pielęgnował, w Warszawie i w Kownie, w Londynie, Lund czy w Glasgowie.

Kiedys w liście do przyjaciela martwił się, że za mało dokonał, że „...ślad na drodze nie głęboki...” — Stanisław Westfal był za skromny. Choć wojna i wygnanie i kiepskie zdrowie psuły mu robotę, przedwcześnie przzerwana koleina jego życia i pracy znaczą ślad głęboki i niezatarty na drodze rozwoju polskiej kultury i nauk.

S. G.

WITRAŻE KOŚCIELNE DOBRZAŃSKIEGO

Nowoczesny witraż sakralny wyrasta z naszych bogatych tradycji. Początkami swym sięga on fryburskich witraży Józefa Mehoffera, które rozświetliły w świecie pod koniec ubiegłego stulecia polski witraż i jego twórcę, zwycięzcę międzynarodowego konkursu. W kraju zaś Stanisław Wyspiański narzucał siłą swego talentu nowe, niestosowane dotychczas rozwiązania witrażowe, w których dominowały pierwiastki malarskie — ekspresja postaci i motywy roślinne przyniesione przez secesję. Poza tym wielu innych artystów okresu Młodej Polski, później dwudziestolecia międzywojennego, próbowało swych sił na tym polu. Sprzyjały temu świetnie wyposażone zakłady witrażerskie, do których zaliczyć należy przede wszystkim Zakład S. G. Zelenkich w Krakowie. Inne ośrodki, o których warto pamiętać, to Poznań i Lwów.

Ostatnia wojna i jej echa wpłynęły hamująco na sztukę sakralną. Dopiero teraz polska sztuka religijna budzi się do życia po wieloletniej stagnacji, a wraz z nią odżywa witraż. Wśród artystów, którzy zwrócili swe zainteresowania w tym kierunku, znalazł się Adam Stalony-Dobrzański. Rezultaty, jakie osiągnął, decydują o zaliczeniu go do najlepszych współczesnych witrażystów polskich.

Swoją działalność na tym polu rozpoczęła Stalony-Dobrzański przed dziewięćmiu zaledwie laty. Długoletnie jednak poprzednie studia malarskie i liternicze stały się istotną podbudową obecnej specjalności. Pełnię własnego wyrazu osiągnął artysta niewątpliwie w witrażu i polichromii, pomyślanych jako integralna całość.

Witraż — to obraz ze szkła i ołowiu światłem malowany, który wymaga od artysty w momencie tworzenia dużego wyczucia, niemal intuicji. Światło słoneczne bowiem o każdej porze dnia nadaje mu odmienną tonację barwną, wprowadzając tym samym co chwilę inny nastrój. Ma więc witraż wiele wspólnego z płótnami wielkich impresjonistów francuskich, np. Moneta, który starał się uchwycić w swoich obrazach nastroj chwili, przedstawiając wybrany motyw w zmiennym oświetleniu wschodzącego, pełnego lub gasnącego słońca.

Adam Stalony-Dobrzański ma dar wyczuwania harmonii barwnej szkła współgrającego ze światłem. Niewątpliwą w tym pomoc daje mu opanowanie kunsztu malarskiego. Świetna zaś znajomość liternictwa znajduje zastosowanie przy projektowaniu podziałów ołowianych, zwanych armaturami. Ujmują one barwne szybki, tworząc system cienkich, wyraźnych linii konturowych — jakby zasadniczy rysunek kompozycji witrażowej. Stalony-Dobrzański używa również liter jako ornamentu, wkomponowując tekst modlitwy w całość przedstawienia figuralnego. (Swym zainteresowaniem literniczym daje wyraz prowadząc katedrę liternictwa w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.)



Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie zorganizowało w roku 1957 Wystawę Kartonów Witraży, które zgromadziły dorobek twórcy prof. Stalony-Dobrzańskiego na przestrzeni lat 1950-56. Przegląd ten rozpoczynały projekty siedmiu okien witrażowych absydy kościoła p. w. Św. Wojciecha w Trzebowisku. Powstały one w latach 1950-1952. Już te wczesne projekty, poza wspólnotą języka plastycznego, mają silny związek treściowy. Ten logiczny związek — to charakterystyczna cecha każdego zespołu witraży pomyślanych przez artystę jako całość, przeznaczonych dla jednego obiektu.

Przy analizie układu treści trzeba podziwiać gruntowną znajomość ikonografii. Widać od razu, że każdy projekt poprzedzony jest studiami. Tak np. watek przedstawieniowy witraży kościoła w Trzebowisku podporządkowuje Stalony -

Dobrzański inwokacji parafii, która brzmi: „Bogurodzica Dziewica Marya — usłysz głosy — napelnij myśli człowiecze + Christe Eleison + Kyrie Eleison”. Centralny witraż przedstawia Maryję z Dzieciątkiem według wizerunku częstochowskiego. Obraz uzupełniamy wkomponowany weń tekst inwokacji. Niżej, w osobnej kwaterze, św. Wojciech — patron kościoła i domniemany autor tekstu „Bogurodzicy”, przedstawiony w stroju ponuryfikalnym.

W następstwie chronologicznym omówić należy projekty okien transeptu kościoła w Rozwadowie. Duża, 15-metrowa powierzchnia ostrołkowych okien narzuciła artystycie inną koncepcję plastyczną. Liczenie się bowiem z określonym kształtem i wymiarem okna stanowi także jedną z zasadniczych cech pracy nad witrażem. Prace powstałe w latach 1954-55 pomyślane są jako pendant w sensie formalnym i treściowym. Jedno z okien wypełnia centralna postać Chrystusa - Pantokrata — w drugim figura Matki Jego, Najświętszej Maryi Panny. Każdą z postaci otaczają ujęte w rytmu pionowych i poziomych podziałów małe kwatery, wypełnione kompozycjami figuralnymi. W witrażu z Chrystusem są to sceny cudów Serca Zbawiciela.

Analiza witraży rozawadowskich od strony formy wskazuje na stopniową zmianę rysunku. Początkowy, oparty na prostokacie, kształt szybko przechodzić zaczyna w trójkąt, zmierzając ku formom kubistycznego podziału. Całość rysunku nie ztraca jednak przy tym swej komunikatywności, koniecznej — zdaniem artysty — w sakralnym dziele sztuki.

Tę samą koncepcję formalną stara się Stalony-Dobrzański rozwijać i pogłębiać w następnych projektach wykonanych dla kościoła w Zawierciu w roku 1956. Wydłużone, gotycyzujące postacie, czterech świętych niewiast: Weroniki, Marii Magdaleny, Katarzyny i Barbary wypełniają dwa okna witrażowe. Duże płaszczyzny drapowanych kunsztownie szat rozbija artysta ostrą, cienką kreską i kolorem stwarzając w ten sposób wiążący, pełen życia obraz, który przyciąga oko i interesuje zarówno w każdym

swym fragmencie, jak i w całości. Witraże te, fundowane przez kobiety Zawiercia, im zawdzięczają swą tematykę. Na tym przykładzie możemy zaobserwować, jak indywidualnie potrafi traktować artysta każdą z postaci. Różnice w ujęciu nie ograniczają się oczywiście do odmiennie skomponowanych szat. Każdą ze Świętych charakteryzuje najprostszymi środkami, określającymi typ jej osobowości. Artysta nie rezygnuje przy tym z ogólnie przyjętych konwencji ikonograficznych. Postacie, mimo pozorów hieratyczności, są pełne wdzięku. Łączą one w sobie, podobnie jak inne powstające w wyobraźni twórcy obrazy, urok średniowiecza ze współczesną inwencją plastyczną. To połączenie świeżości, siły wyrazu i tradycji stanowi o niezaprzeczalnych wartościach artystycznych witraży Stalony-Dobrzańskiego. Są one przemyślanymi, dojrzałymi dziełami sztuki, jakich niestety niewiele mamy teraz w naszych kościołach.

Mimo wielkiej różnorodności tematów stosowanych przez artystę oraz różnych koncepcji formalnych i kolorystycznych — we wszystkich witrażach Stalony -

Dobrzańskiego odkrywamy cechy wspólne. Jedną z nich jest płaszczyznowo - dekoracyjne traktowanie przestrzeni okiennej, witraż bowiem przez dopełnienie architektury ma ją zamknąć, oddalić od świata zewnętrznego. Stąd wykluczony wszelki iluzjonizm i przestrzenne traktowanie scen.

Druga cecha wspólna to wewnętrzny ład i spokój kompozycji mimo pozorów wprowadzonego przez artystę niepokoju, wynikającego z wibracji drobnych, kolorowych szybek witraży. Tę powagę liczącą z religijną treścią witrażu oddaje artysta po mistrzowsku. Polega ona na monumentalizacji figur, prostocie zasadniczego ich konturu i oszczędnym traktowaniu całości kompozycji, zarówno jedno- jak i wielo-figuralnych.

Słonność do syntezy, rozwijana stopniowo, bierze swój początek już z pierwszych prac. Problemy te artysta stara się pogłębiać w każdym następnym projekcie, dochodząc do bardzo ciekawych rozwiązań.

Równorzędnie pracuje Stalony-Dobrzański nad zagadnieniem koloryzmu w witrażu. Interesujące byłoby pójść śla-

dem artysty i przedsięwzięć poszczególne zespoły barw w jego wizji malarskiej. W każdym witrażu obiera sobie określoną tonację utrzymując w niej całość obrazu. W początkowej fazie twórczości operuje pastelowym zestawem kolorów, stopniowo jednak przechodzi na gamę ciemniejszych, bardziej nasyconych barw zbliżonych do barw witraży gotyckich. Stosować zaczyna również coraz częściej obok zasadniczych kolorów także odcienia-półtony. Dla ożywienia — kolorów kontrastujących lub dopełniających. Subtelność, a czasem śmiałość tych zestawień komponowanych z ogromnym wyczuciem, świadczy o pełni wizji malarskiej Dobrzańskiego.

Obecnie prof. Stalony-Dobrzański pracuje nad nowym wielkim zamówieniem. Witraże jego mają ozdobić wspaniałą gotycką katedrę w Nysie. Projekty zostały już zatwierdzone i wkrótce ma się zacząć ich wykonanie. Olbrzymie, 12-metrowej wysokości okna, zamknięte ostrołukiem o kamiennych laskowaniach, wypełnią znowu, jak w średniowieczu, grające barwami obrazy, szkłem i ołowiem malowane.

Irena Huml

JAN PIENKOWSKI

BOHUSZ-SZYSZKO W GALERII GRABOWSKIEGO

Malarstwo Bohusza-Szyszki jest... odrebne. Trudno więc o skalę porównawczą, na której można by oprzeć ocenę. Jest tam ogromna odwaga i wiara w wartość własnej wizji.

Tematyka tkwi w tradycji malarstwa religijnego, tradycji na pierwszy rzut oka zużytej. Malarsko religijne zabrnęło w ślepy zaułek i zmarło śmiercią naturalną. Było ono ongiś jedynym malarskim. Bizantyjskie ikony czy mozaiki, czy szkoła włoska prymitywna — były oparte na sztywnych konwencjach, na skomplikowanym systemie symboliki, nie pozwalającej na rozwój indywidualnego stylu. Stopniowo, we włoskim czy północnym malarstwie, symbole przestały wystarczać. Madonny stały się żywymi kobietami; złote tła ożyły drzewami i krajobrazami; statysci nabrali indywidualności w portretach patronów. Symbolika używana dla celów dekoracyjnych straciła sens religijny: siedem cnót głównych dokoła nagiego św. Sebastiana, czy dziewięć muz dokoła Apollina — to tylko piękne ciała. Malarsko religijne zeszło do poziomu dekoracji — jak na plafonach Tiepolo, albo do malarskiego schematu dewocjonalii St. Sulpice.

Tu leży odwaga Mariana Szyszki-Bohusza. Tworzy w tej, na pozór martwej, tradycji. Jego praca rzuca nowe światło na tematy, które tak często były już wykorzystywane. Malarsko jego jest w wielkiej mierze subiektywne i dlatego nie jest ono malarskiem religijnym w zwykłym tego słowa znaczeniu. Jest to subiektywna reakcja na wydarzenia religijne, a nie prezentacja kanonów.

Nie znaczy to, że nie używa w ogóle maszynery malarskiego religijnego — owszem, czerpie z konwencji symbolicznych. Na przykład, użycie koloru jest symboliczne, jak w obrazach „Chrystus przed Piłatem”, „Kuszenie Chrystusa”:

czyste, piękne kolory symbolizują ład i harmonię miłości chrześcijańskiej, a



Zdjęcie z krzyża

zbrudzone purpurą i gryzące barwy znaczą chaos i przewrotność zła. Jest i symbolizm w formie; przychodzi na myśl William Blake (Profesor mi wybaczy...): jak on przeciwstawia proste, spokojne formy zagmatwanym i skomplikowanym w „Pannach mądrych i głupich”, tak Bohusz-Szyszko przeciwstawia pionowy słup światła fioletowym zygzakom w „Kuszeniu”.

Malarsko Bohusza-Szyszki jest jednak przede wszystkim indywidualne. Jego najbardziej uderzającą cechą jest odrzucenie wszelkich elementów pobocznych, a przez to zwiększenie siły drama-

tycznej obrazu. Te uproszczenia mają także doniosłe uzasadnienie formistyczne: temat nie pognebia formy.

Bohusz-Szyszko stwarza własne „konwencje”. Kolor, rytm kompozycji, faktura farby są wykorzystane dla wywołania określonych uczuć. Nawet pozornie przypadkowe elementy, jak stary miedziany ryt, na którym jest namalowany wspaniały „Mojżesz”, są wyzyskane: skąpy, które przegładają na czole, uwypuklają charakter twarzy, dając nieoczekiwaną fakturę. Technika kładzenia farby jest niezmiernie ważna: tłuste rozgorączkowane zygzaki i skąpy „Ukrzyżowania”, czy płaskie zielone niebo „Zdjęcia z krzyża”, czy grubo kładzione pionowe „Zstąpienia Ducha Świętego” — uderzają widza i wznagają wyraz kompozycji.

Potęgą wizji Bohusza-Szyszki polega jeszcze na jednym ważnym elemencie, bez którego byłaby nieomal teatralna i pusta. Artysta maluje prawdziwych ludzi; ich twarze są więcej niż konwencjonalnymi maskami bólu czy złości, czy dobroci. Trzy twarze w „Zdjęciu z krzyża” wywołują problem cierpienia; twarze grzeszników w „Marii Magdaleny” przerażają bardziej niż pionące piekło średniowiecznych obrazów. Sięgając dalej niż w układ mięśni, skóry i kości, malarz chwyta nędzę i wspaniałość natury ludzkiej.

Twórczość Bohusza-Szyszki jest spotkaniem paru kierunków, łączy elementy tradycyjnego malarstwa religijnego i formizm naszej epoki. Jednocześnie wciela humanizm — podstawę malarstwa europejskiego. Artysta wkracza odważnie na pola dawno porzucone. Jego sztuka jest pełna treści, co jest chyba nie byle jakim osiągnięciem w pokoleniu, które nie ma nic do powiedzenia i mówić zapomnia.

Jan Pięnkowski

SPRAWY I LUDZIE

(Dokończenie ze str. 4)

POLSKA MACIERZ SZKOLNA ZAGRANICĄ rzuciła hasło zjednoczonego, solidarnego wysiłku polskiego dla utrzymania głębokich związków EMIGRACJI z NARODEM i do pozostania jej w zasięgu POLSKIEJ KULTURY. Przypomniała, iż:

„3 maj jest świętem OŚWIATY POLSKIEJ, a miesiąc maj Miesiącem Oświaty Polskiej.

Pielegnowanie tradycji polskiego domu rodzinnego, wszczepianie zasad religijnych, przestrzeganie zwyczajów i obyczajów narodowych, nauczanie o Polsce po polsku jest warunkiem polskości naszych dzieci i warunkiem przynależności skupień emigracyjnych do WIELKIEJ POLSKIEJ RODZINY NARODOWEJ.

Współdziałając zgodnie, gdziekolwiek losy nas rzuciły, dajemy wyraz naszej trosce o polskość młodego pokolenia emigracyjnego. Dajemy broń do walki o polskie oblicze tego pokolenia, składając ofiary na **Dar Narodowy 3 Maja**, tradycyjną, powszechną daninę Polaków na cele kulturalno-oświatowe.

Ofiarność społeczeństwa pozwoliła P.M.S. w ciągu ostatnich pięciu lat: udzielić pomocy szkolnictwu polskiemu na obczyźnie w sumie £ 4.714, przyczynić się do rozbudowy Kolegium OO. Marianów w Fawley Court sumą £ 910, wesprzeć pisma dla dzieci i młodzieży sumą £ 1075, poprzeć akcję Harcerstwa i kolonii letnich sumą £ 850, sfinansować akcję wydawnictw i zakup książek dla bibliotek szkolnych sumą £ 2.323 itd.“

Pomagać można nie tylko w maju.

Potrzeba £ 5000 rocznie!

Przesyłki adresować należy: Polska Macierz Szkolna, 55 Princes Gate, London, SW7. Czeki i przekazy pocztowe należy wystawiać po polsku na „Polską Macierz Szkolną“, banknoty wysłać listem poleconym.

★

15-LECIE ZWYCIĘSTWA POD MONTE CASSINO obchodzone było powszechnie; główna uroczystość odbyła się w Leicester, rozpoczęta Mszą św. celebrowaną przez ks. infułata B. Michalskiego. Na uroczystej akademii przemówił gen. Wł. Anders: „...Pod Monte Cassino — powiedział m. in. Dowódca zwycięskiego II Korpusu — żołnierz umiał wydobyc z siebie wysiłek wielodniowy, wysiłek cierpliwy i nieustanny. Nie wyczerpanie sił fizycznych do ostatnich granic wytrzymałości było wysiłku tego cechą najważniejszą, lecz napięcie woli i siły charakteru. Tego właśnie wysiłku woli i charakteru domaga się od nas Polska stale, także a może zwłaszcza teraz. Wiara nasza to podstawa naszej siły... Nasz cel pozostał ten sam... Chcemy Polski niepodległej. Prawdziwie niepodległej. Cieszącej się taką wolnością i takimi urządzeniami, jakimi cieszą się kraje wolnego świata. Polski, która sama sobie wybierze ustrój i sama się sobą rządzić będzie. Nie chcemy niczego więcej, nie zgodzimy się jednak na nic mniej. Potrzeba nam tyle samo sił, co w czasie bitwy. Jej wspomnienie sił tych nam doda...“

★

„**GŁOS KATOLICKI**“ — nowe polskie pismo tygodniowe we Francji i w Niemczech, którego pierwszy numer ukazał się 24 kwietnia br., jest bratnim organem londyńskiej „Gazety Niedzielnej“.

Wydawcą nowego tygodnika katolickiego jest Zgromadzenie Chrystusowe dla Wychodźców we Francji. Zadanie to zlecił Ks. Ks. Chrystusowcom Opiekun Uchodźstwa Polskiego, J. E. Ks. Arcybiskup Gawlina w porozumieniu z Rektorem Polskiej Misji Katolickiej we Francji, Ks. Prałatem K. Kwaśnym oraz Rektorem Polskiej Misji Katolickiej w Niemczech, Ks. Prałatem E. Lubowickim.

Pismo jest drukowane i rozsyłane przez K. O. W. „Veritas“; ma osiem wspólnych stron z „Gazetą Niedzielną“, cztery redagowane we Francji, jedna w odmiennie dla Polonii w Niemczech z wiadomościami tamtejszymi. Redakcja paryska mieści się w gmachu Polskiej Misji. 263-bis, rue St. Honoré.

Przedsięwzięcie symbolizuje ważką sprawę jedności dążeń i współpracy na odcinku polskiej prasy katolickiej. A realizacja była możliwa dzięki istnieniu warsztatu wydawniczego, jakim jest londyński K. O. W. „Veritas“.

★

„**SOLIDARNOŚĆ AFRYKAŃSKA** — I zebranie Komisji Ekonomicznej dla Afryki“: pod tym tytułem „Pax Romana Journal“ nr 1, 1959, ogłosił obszerny raport prof. J. Szuldrzyńskiego, który był obserwatorem Pax Romana na I posiedzeniu Komisji (CEA), powołanej przez ECOSOC — Radę Ekonomiczną i Społeczną ONZ.

★

ORGANIZACJE PARAKOMUNISTYCZNE są przedmiotem studium o. A. Retif, T.J. w piśmie „La Mission de l'Eglise“ (kwiecień b. r.); zasięg ich ilustruje wykaz organizacji objętych studium: CMP — Centre mondial de la paix; FSM — Fédération syndicale mondiale; FMJD — Fédération mondiale de la jeunesse démocratique; UIE — Union internationale des étudiants; FDF — Fédération démocratique internationale des femmes; FIR — Fédération internationale des résistants, victimes et prisonniers de guerre; AIJD — Association internationale des juristes démocrates; FMST — Fédération mondiale des travailleurs scientifiques; FISE — Fédération internationale syndicale de l'enseignement; CDCI — Comité pour le développement du commerce international; CMM — Congrès mondial des médecins; OIJ — Organisation internationale des journalistes; OIR — Organisation internationale de la radiodiffusion.

★

„**CAHIERS POLOGNE-ALEMAGNE**“ (podtytuł: „Faits et documents“) — to kwartalnik poświęcony sprawie stosunków polsko-niemieckich; nr 1 (kwiecień-czerwiec) ukazał się w Paryżu (redaktorem jest Jerzy Zdziechowski, a wydawcą „Les Editions Sarmatia“, 9, place de la Madeleine, Paris 8-e; cena: 300 frs.).

Zadaniem pisma jest „...obiektywne rozpatrywanie tych wszystkich spraw, które dzielą obecnie oba narody...“ oraz

„...ustalenie na tej podstawie przesłanek, które nakazują jednemu i drugiemu narodowi, we wzajemnym interesie, lepiej się rozumieć i żyć na zasadach dobrosąsiedzkich...“ Stosunki polsko-niemieckie będą badane w szerokich ramach europejskich, a w szczególności łącznie z zagadnieniami obszaru Europy Środkowo-Wschodniej.

Nr 1 zawiera artykuły: J. Zdziechowskiego, K. Tymienieckiego, S. Stommy, K. Skubiszewskiego, J. Kolipińskiego oraz kronikę, przegląd prasy (szczegółową analizę głosów niemieckich i zachodnich), recenzje i dział dokumentów.

★

ANDRZEJ WĄSOWSKI, jeden z najlepszych współczesnych polskich pianistów, jest obecnie w Hiszpanii, gdzie w ostatnich miesiącach dał wiele koncertów, organizowanych przez znanego iberyjskiego impresario, Don Ernesto de Quesada. W lutym br. grał w Las Palmas na Wyspach Kanaryjskich (został tam napadnięty przez opryszka, który nożem pociął mu lewą rękę, szczęśliwie bez okaleczenia).

Wąsowski przebywał przez kilka lat w Wenezueli i koncertował w różnych krajach Południowej Ameryki. W roku ub. przyjechał do Europy i grał we Włoszech. Prasa włoska, jak teraz hiszpańska, wyraża się z niezwykłym uznaniem o polskim pianiście, chwalać technikę i interpretację, wrażliwość i moc przekonania. Krytycy widzą w nim nieprzeciętnego odwórcę Chopina, Schumanna, Brahmsa, Beethovena i Bacha.

★



MAJA ŚWIEŻAWSKA wystawiała w Paryżu, w kwietniu b. r. swoje obrazy. Wystawę urządziła w pracowni Jana Styki razem z malarką hinduską, Rummana, córką znanej pisarki Zecnuth Futehally.

Abstrakcyjne kompozycje młodej polskiej malarki spotkały się z uznaniem krytyków. Zaproszono Świeżawską na urządzenie wystaw w Genewie i Mediolanie.

Maja Świeżawska ma lat 24; jest córką prof. Stefana Świeżawskiego z KUL-u. Studiowała w Polsce u Hofmana i Pronaszki, a we Francji — w Centre d'Art Sacré u prof. Jacques Le Chevalier, gdzie specjalizowała się w witrażu. — Podróż po Europie zawiodyła ją do Grecji i do Włoch. Poza malarstwem interesuje ją muzyka (śpiewa i gra na gitarze) i... żeglarsstwo (ma wziąć udział w olimpiadzie 1960 r.).

LISTY I UWAGI

DZIAŁANIA EMIGRACJI

Z kilometrowej polemiki pana J. B. z panem A. Malkiewiczem zainteresowały mnie dwa postulaty p. J. B. w artykule marcowym, przeciw którym pragnę zaprotestować. Atakuje p. J. B. akcję indywidualną oraz kwestionuje prawa emigracji nie-politycznej.

Zgodzę się, że protest o wiele jest efektowniejszy, jeżeli wszyscy protestują razem, a nie każdy osobno i przeciw czemu innemu. Ale protest to tylko manifestacja — potrzebna, owszem — ale nie produktywna. Emigracja ma działać politycznie. Nie ludźmy się — zgody wśród nas, co do tego co i jak zrobić na emigracji, nie ma. Zadne Zjednoczenie tego faktu nie zlikwiduje. Emigracja jest „zbiorowiskiem rozdartych wewnętrznymi sprzecznościami i nie wiedzających czego się trzymać jednostek”. A więc co? Mamy się ciągle kłócić na temat tego co zrobić i jak, i w rezultacie zrobić tylko minimum, na które wszyscy się zgadzają? Czekać na jakiś hipotetyczny kompromis? Lepiej jest działać na małą skalę niż nie robić nic czekając na zgodę wszystkich. Dmowski nie oglądał się na poparcie przeciwników — działał z małym gronem zwolenników — działał indywidualnie. A co zdziałał — wiemy.

Dziś na wielką politykę koniunktury nie ma. Ale na małą skalę — pole do działania jest. Podstawowa robota polityczna emigracji to uświadamianie społeczeństw zachodnich — przez kontakty indywidualne. Emigracja stanowi rynek zbytu dla książek i czasopism, które w Kraju wychodzić by nie mogły. Każdy indywidualny autor, czy każdy indywidualny odbiorca książki czy gazety przyczynia się do politycznej działalności emigracji. Do tego rodzaju akcji ani jednomyślność, ani legalizm nie są potrzebne. Emigracja nie potrzebuje „zawierać sojuszków, wypowiadać wojen, urządzać państwa”. Tym się różni emigracja od Kraju, że jej działalność jest przede wszystkim natury indywidualnej. Pewno, że gdyby była zgodna i zorganizowana praca, to byłoby lepiej. Ale jej nie ma, więc działajmy indywidualnie i w takich grupach, jakie zdołamy do danej akcji zwerbować.

P. J. B. uważa, że emigranci nie-polityczni nie mają prawa „wtrącać się w

sprawy emigracji”. Chciałby p. J. B. żeby podział między emigrantami politycznymi a nie-politycznymi „był jasny i widoczny”. Ludzie są na emigracji dla różnych powodów. Są też tacy, dla których polityka jest jednym z powodów pobytu na emigracji. Robotę indywidualną, taką jak uświadamianie Zachodu i jak kupowanie wydawnictw „Veritasu” robią zarówno ci, dla których polityka jest jedynym powodem pobytu na emigracji, jak i ci, dla których polityka jest jednym z powodów, a nawet i ci, co są tutaj dla powodów z polityką nic nie mających wspólnego. W ocenie kto ma, a kto nie ma prawa „wtrącać się w sprawy emigracji” intensywność działalności dla celów polskich winna być ważniejszym kryterium niż powód pobytu na emigracji.

Maciej Głertych
Canada.

KRYTYKA CHRZEŚCIJAŃSKA

Osobie ukrytej pod literami J. B. osobie ukryta pod literami M. M. wyjaśnia, co rozumie „pod krytyką chrześcijańską” i „kulturą serca”. (nr 3 ZYCIA, str. 35, dział „Listy i uwagi”, P.S.).

Używając wyrażenia „kultura serca”, opieram się na tym, co o kulturze uczuć i o miłości pisali nasi ojcowie: Bocheński i Woroniecki.

Nie będę więc nieudolnie powtarzała tego, co przez nich zostało wyłożone jasno i pięknie i co jest na pewno dobrze znane p. J. B.

Pod „krytyką chrześcijańską” rozumiiałam krytykę robioną przez pełnego katolika.

Pełny katolik doskonalą się w dobrych sprawnościach. Cnoty miłości, sprawiedliwości i roztropności stoją na straży jego zbytniej emocjonalności i pomagają mu w pracy.

Jeśli myśl moją odnośnie krytyki chrześcijańskiej sformułowałam niejasno, to poproszę uprzejmie o pomoc pana Jana Bielatowicza, który jako krytyk i redaktor katolickiego miesięcznika oraz kierownik literacki „Biblioteki Polskiej” wyczerpie ten temat fachowo i jak najlepiej.

M. M.

...I KULTURA UCZUĆ

Wdzięczny jestem P. M. M. za wyjaśnienia. Sądzę, że listy do redakcji,

polemizujące z wypowiedziami autorów, powinno się raczej podpisywać pełnym imieniem i nazwiskiem, natomiast autorów podpisujących się inicjałami, zgodnie z dobrą dziennikarską tradycją, nie można chyba posądzać o chęć ukrywania się, na co zapewne zgodzi się wytrawna pisarka katolicka P. Mira Małachowska.

„Kulturą uczuć” (nie „serca”) nazywają tomiści dyscyplinę natury ludzkiej, podporządkowanie uczuć rozumowi i woli. Sztuka pisania, wszystko jedno, czy większa czy mniejsza, literacka czy tylko dziennikarska, jest dziełem rozumu, winna więc kierować się przede wszystkim rozumem, a nie „sercem”, toteż rozum powinien decydować o formie wypowiedzi pisarskiej, łagodnej lub ostrej. Skala uczuć u wszystkich ludzi, a więc i u chrześcijan, jest bardzo szeroka i bynajmniej nie ogranicza się do łagodności i miękości. Chrześcijaństwo zwłaszcza to nie c'ępie piwo i nie wyklucza ostrego języka, dosadnej polemiki, mocnych określeń, Pawłowej krewkości. Osobie M. M. odsyłam do Ewangelii św. Jana (II, 14-17).

Jeśli „krytyka chrześcijańska” ma być „krytyką robioną przez pełnego katolika”, to zapewne nigdy się dotąd nie narodził prawdziwy krytyk chrześcijański. Osobie M. M. radziłbym przypomnieć sobie wypowiedzi w tej sprawie J. Maritaina, który za jedyny sprawdzian chrześcijaństwa w literaturze uważa uczciwe wypowiadanie własnych przekonań. Nawet jeśli mogą się nie podobać i nie smakować czytelnikom.

J. B.

CZYJ SONET?

Notując z uznaniem porwanie się Czesława Sliwińskiego na przekład najsłynniejszego sonetu hiszpańskiego (drukowanego w ostatnim numerze ZYCIA), pragnę zauważyć, że od kilkudziesięciu lat wiersz ten uchodzi za utwór anonimowy. Przypisywano go nie tylko św. Janowi od Krzyża, ale także św. Franciszkowi Ksaweremu, św. Teresie i innym. Można by nieomal nazwać go sonetem wszystkich Świętych.

O ile pamiętam, ZYCIE już kilka lat temu drukowało polski przekład tego sonetu pióra bodajże Z. Bohdanowiczowej.

Florian Śmieja

LEKARSTWA DO POLSKI

BEZ CŁA

HASKOBA Ltd

121, EARLS COURT RD., LONDON, S.W.5.
Tel. FRE 7888

Cenniki paczek na żądanie.

Nowość!

Nowość!

KS. DR MICHAŁ SOPOCKO

**MIŁOSIERDZIE BOGA
W DZIEŁACH JEGO**

Stron 222. Piócienna oprawa. Obwoluta. Cena 12/6.

Do nabycia

w KATOLICKIM OŚRODKU WYDAWNICZYM

«VERITAS»

12 Praed Mews, London, W.2. (England)

EGHA POLSKO - AMERYKAŃSKIE

P. Irena Dalgiewicz z Nowego Jorku (Project Supervisor NCWC) skierowała następujący list do autorki artykułu „Po amerykańsku...” (ZYCIE nr 3/564 z marca bież. roku), Ewy Gieratowej:

„For weeks I have been trying to find a moment in which to write you a note to express my admiration and appreciation of your articles in ZNAK and ZYCIE on the comprisons between Polish and American Catholicism. They are the very basic differences that I have always noted during my stay in Poland.

The true value of these articles to me is perhaps bringing about closer understanding and love between these two segments of the Mystical Body of Christ.”

KOMUNISCI SIĘ CIESZĄ

Artykuł A. Pośpieszalskiego w nr. 559 ZYCIA pt. „Jak religijni są katolicy”, wywołał ciekawą reakcję w krajowej prasie komunistycznej. Dwa pisma, „Głos Wielkopolski” z 3. 4. 59 i „Dziennik Zachodni” z 7. 3. 59 podały obszernie streszczenia artykułu, cytując gęsto co ważniejsze fakty i opinie. Artykuł — jak może czytelnik ZYCIA pamiętać — dawał analizę stanu religijności w krajach zachodniej Europy na podstawie danych statystycznych, ilustrujących procentowy udział katolików w praktykach religijnych (głównie uczęszczanie na Mszę św. niedzielną i Komunię św. wielkanocną). Te cyfry bardzo ucieszyły propagandzistów ateizmu w prasie krajowej. Wyciągnęli z nich wniosek, że religia się kończy i pośpieszyli zawiadomić o tym swych czytelników.

Poziom praktyki religijnej na Zachodzie istotnie nie jest zadowalający i artykuł stanowił ostrzeżenie przed zbyt optymistyczną (z katolickiego punktu widzenia) oceną sytuacji. Ale uciecha komunistów jest mocno naiwna i zapewne spóźniona. 50 lat temu, mieliby zapewne więcej powodów do radości. Lata gdzieś na przełomie stuleci były okresem, w którym być katolikiem było może najtrudniejsze. Przemiany socjalne doprowadziły do rozproszkowania tradycyjnych społeczności i zaniku religijności konformistycznej, zwyczajowej; równocześnie pozytywizm w filozofii i koncepcje mechanistyczne w nauce zdawały się nie zostawić we wszechświecie miejsca dla Pana Boga. To był okres masowego odwrótu od religii i religijnego zobojeźnienia. Dzisiejszy stan praktyki religijnej na Zachodzie jest w dużej mierze dziedzictwem tego krytycznego okresu. Ale czynniki, które działały wówczas, jeśli działają jeszcze, to ze zmniejszoną siłą. Religia i w szczególności katolicyzm, znalazły swe miejsce w nowoczesnym świecie. Nie tylko Francja, ale bodaj cała zachodnia Europa stały się nowym terenem misyjnym. Kościół katolicki w Wielkiej Brytanii wykazuje niezwykły dynamizm i od szeregu lat procent katolików w Anglii niewątpliwie wzrasta.

Młyny Boga miały powoli. Na to, by te obecne tendencje znalazły wyraz w statystykach praktyki religijnej, trzeba by znowu poczekać 50 lat. Ale do wycią-

gania wniosków, na jakie sobie pozwoliły oba pisma krajowe, potrzeba materiału porównawczego. Bez tego jest to tylko propaganda, choć oparta na cyfrach zaczerpniętych z katolickiego miesiecznika.

*

WYDAWNICTWA NADEŚLANE

K. P. SZYNOWŁADZKI — ERA ATOMOWA A PROBLEM RODZINY. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1959; twarda okładka, obwolutę projektował A. Klimko; stron 386. Cena £ 1.0.0; dol. 4.00.

UWAGA, FAŁSZERSTWA! — Przyczynek do metod Göttingera Arbeitskreiss — Wydawnictwo Zachodnie, Poznań — Warszawa, 1959; str. 174.

KULTURA MASOWA — FIEDLER Leslie A., GREENBERG Clement, MACDONALD Dwight, MCLUHAN Marshall, MIŁOŚZ Czesław, TUMIN Melvin — przełożył i opracował CZESŁAW MIŁOŚZ — Biblioteka „Kultury”, t. XLI — DOKUMENTY, Wydawca „Libella”, Paryż, 1959; str. 145 i nl.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI — DZIEŃ DOMINIKA — Sztuka w trzech aktach. „Londyńska Biblioteka Literacka”, t. I; wyd. B. Swiderski, Londyn 1958; winieta tytułowa Tadeusza Terleckiego, obwoluta Janiny Chrzanowskiej; str. 104. Cena 18 szyl.

JÓZEF ŻYWINA — WILCZE ZIOŁA — Poezje. „Londyńska Biblioteka Literacka”, t. V, str. 52. Winieta tytułowa i obwoluta Tadeusza Terleckiego. B. Swiderski, 1958. Cena 7 szyl.

DANUTA BIENKOWSKA — MIĘDZY LINIAMI — Wiersze — „Arkusze Poetycki”, nr 3, str. 32. Staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Nakł. B. Swiderskiego, Londyn, 1959. Cena 3/6.

L. WORONOWICZ, M. Sc. Agr. (Poznań) — ENGLISH-POLISH and POLISH-ENGLISH AGRICULTURAL DICTIONARY. Published by The Polish Farmer's Association in Gt. Britain, in cooperation with The East Europe Institute, New York. Stron 268, ryciny, twarda okładka, obwoluta.

RONALD SETH — FOR MY NAME'S SAKE — Catholic Resistance in Europe 1939-1958. Geoffrey Bles Ltd., London, 1958; str. 264. Cena 18 szyl.

THE WAYSIDE WILLOW — Prose and Verse — tłumaczone z polskiego przez członków Klubu Polskiego Columbia University. Wyd. Marion Moore Coleman; Student Editor Loretta M. Bielawska. Str. 50. Cena dol. 2.00.

GONIEC KARPACKI — kwartalnik Związku Karpaczyców pod redakcją Zygmunta Kotkowskiego — wiosna 1959 — nr 1(265), stron 72.

THE POLISH REVUE — Vol. III. N. 4, Autumn 1958 — Polish Institute of Arts and Sciences in America, N. York. Str. 135.

POLAND AND GERMANY — April 1959 — A Quarterly Review — vol. III, n. 8, published by The Studies Centre on Polish-German Affairs; str. 48. Cena 3/6.

ROZPOWSZECHNIJ Ż Y C I E

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XIII

Nr 5/6 (566/567)

Maj — czerwiec 1959 r.

Wydaje:

Katolicki Ośrodek Wydawniczy

„Veritas”, 12 Praed Mews, London, W.2
Telefony: AMBassador 6879; PADDington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-, dol. 1.50, fr. fr. 620; półrocznie: szyl. 18/-, dol. 3.00, fr. fr. 1240; rocznie: szyl. 36/-, dol. 6.00, fr. fr. 2480. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi 'crossed' (//), b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego, c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ZYCIA. Zmiana adresu szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 lam £ 1.5.0, dol. 3.00., fr. fr. 1000. Kolor 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia:** „Spotem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A., **Vistula (Aust.) Pty Ltd.**, Daking House, Rawson Place, Sydney, N. S. W. **Belgia:** Mme E. Kulakowska, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. — Pren. kwart. 60 frs. **Brazylia:** ks. dr Antoni Łatka, Praca Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania:** Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja:** W. Olaszewski, 39 Avenue de la Republique, Bessancourt (S. et O.) C. C. P. Paris 13512.43. **Holandia:** B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada:** Vatra Trade, 277 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man. **Niemcy:** St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. **Norwegia:** B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjednoczone:** „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; M. Kijowski, 1176 Woodland Ave., Plainfield, N.J. „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. **Miss Alicja Kowalczyk**, 12135 St. Aubin Hamtramck 12, Mich. **Szwajcaria:** Mme B. Gierszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto poczt. Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. **Szwecja:** Mgr B. Kurowski, Lund, Revingsgatan 13B. Pren. kwart. 7.00 krs. **Włochy:** Antoni Grzybowski, via Michele Amari 52, Roma.

TOWRY LAW & CO LTD. INSURANCE BROKERS

4, New London Street,
London, E.C.3.

Szanowny Panie!

DLACZEGO JEST POTRZEBNY POŚREDNIK UBEZPIECZENIOWY?

Odpowiedź nie trudna. Pośrednik jest potrzebny, ponieważ rozwinęła się dziś bardzo silna konkurencja w dziale ubezpieczeń i człowiek często się gubi, które z kilkuset istniejących towarzystw ubezpieczeniowych może mu zapewnić najkorzystniejsze dla niego ubezpieczenie. Jeżeli np. jakaś agencja ubezpieczeniowa daje znakomite warunki na jeden typ ubezpieczenia, to warunki te mogą się okazać o wiele mniej korzystne przy ubezpieczeniu innego rodzaju, i w rezultacie płaci się wyższą premię niż to jest konieczne.

Zadaniem naszym — jako pośrednictwa ubezpieczeniowego — jest doradzić Klientowi, które z towarzystw będzie dla niego najlepsze; możemy również służyć radą, jak przy pomocy agencji konkurencyjnej poprawić sobie warunki ubezpieczenia już dokonanego. Za porady i informacje nie liczymy nic Klientowi, gdyż całe nasze wynagrodzenie pokrywają towarzystwa ubezpieczeniowe.

Nie jesteśmy związani z żadnym z towarzystw ubezpieczeniowych i fakt udzielenia przez nas rady Klientowi nie wpływa na podwyższenie jego premii. Będzie ona dokładnie tylko taka, jaką być powinna i jaką byłaby i bez naszych usług.

Do nas należy:

- 1) staranie o to, ażeby Klient nasz nie płacił wyższej premii niż to jest bezwzględnie konieczne;
- 2) przedstawienie mu i szczegółowe wyjaśnienie wszelkich jego możliwości ubezpieczeniowych czy to w stosunku do ubezpieczenia, które już posiada, czy też w stosunku do tego, które dopiero chce wziąć pod uwagę;
- 3) służenie mu naszym doświadczeniem i rutyną, co w wielu wypadkach może okazać się potrzebne, gdy zechce nam powierzyć sprawę swych ubezpieczeń.

Aczkowiek firma nasza załatwia wszelkie typy ubezpieczeń, to jednak najczęściej mamy do czynienia z ubezpieczeniami na życie. Sądząc, że na ogół budzą one największe zainteresowanie, pozwalamy tu sobie dołączyć odpowiednią kartę do wypełnienia. Innego rodzaju wskazówek i wyjaśnień dostarczymy każdej chwili, gdy tylko pomoc nasza okaże się potrzebna.

Yours faithfully
TOWRY LAW & COMPANY LTD.

P.S. Korespondencję można przeprowadzać po polsku.

POD WSPÓLNYM DACHEM



Jeśli leki, to z apteki
GRABOWSKIEGO

APTEKA GRABOWSKIEGO

175 DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S.W.3.

Załatwia wszelkie sprawy związane z wysyłką leków, materiałów dentystycznych, okularów, kosmetyków itd.

BIURO WYSYŁKOWE

175 DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S.W.3.

Z działu ogólnego wysyłamy artykuły żywnościowe, materiały wełniane, skórę, obuwie, maszyny do szycia Singera, opoty i wiele innych rzeczy.

Cenniki wysyłamy na żądanie.

GALERIA GRABOWSKIEGO

84 SLOANE AVENUE, LONDON S.W.3.
(obok biur Apteki)

organizuje wystawy prac artystów polskich i innych narodowości.

Na miejscu stale do sprzedaży: obrazy, kilimy, stroje ludowe, ceramika.

Galeria otwarta codziennie od 10 rano do 6 wieczorem oprócz niedziel.

Wejście bezpłatne.